DAMA Z SUSPENSEM
Kulisy skandalu w Fundacji Czartoryskich

O. LUDWIK WIŚNIEWSKI
Projekt „Zatrzymaj aborcję" jest niechrześcijański

BARBARA ENGELKING
Warszawskie getto: życie, miłość i opór

MUZYKOTERAPIA
Jak śpiewać do syta i bez grzechu

Kraków 22 kwietnia 2018 nr 17 (3589) cena 7,90 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

Z PSYCHIKĄ MŁODYCH JEST GORZEJ NIŻ KIEDYKOLWIEK

Nasze kruche dzieci

W NUMERZE DODATKI:

MAGAZYN CONRAD

75. ROCZNICA POWSTANIA W GETCIE

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

VIVA MEXICO!

Wylot Warszawa - 20/10 2018

12 dni

Od 8 298 zł

- Wyżywienie: śniadania
- Hotele: 3*/4* (10 nocy)

Program wycieczki: Dzień 1. Wylot z Warszawy do Mexico City. **Dzień 2.** Mexico City. Zwiedzanie miasta. Muzeum Antropologiczne. Dom Fridy Kahlo. **Dzień 3.** Mexico City – Palenque. **Dzień 4.** Palenque i słynne ruiny Majów. **Dzień 5.** Palenque – San Cristóbal de las Casas. Krótki spacer po mieście. **Dzień 6.** San Cristóbal de las Casas. Wizyta u indiańskich plemion. **Dzień 7.** San Cristóbal de las Casas – rejs w Kanionie Sumidero – Tehuantepec. **Dzień 8.** Tehuantepec – gorzelnia mescal – lokalne rękodzieło – Oaxaca. **Dzień 9.** Oaxaca i wzgórze świątyń Monte Albán. **Dzień 10.** Oaxaca – Puebla. Spacer po mieście. **Dzień 11.** Puebla-Mexico City. Teotihuacan. Wylot z Mexico City do Warszawy. **Dzień 12**. Przylot do Warszawy.

Andaluzja Ole!

8 dni

- Wyżywienie: 2 posiłki dziennie
- Hotele: 4* (7 nocy)

Wylot 24/11 2018

Od 3 898 zł

Program wycieczki: Dzień 1. Wylot z Warszawy do Malagi, transfer do hotelu. Spacer po mieście. **Dzień 2.** Wycieczka do nadmorskiego miasta Nerja, jaskini oraz białego miasteczka - Frigiliany. **Dzień 3.** Wycieczka do Malagi. Zwiedzanie, tapas, degustacja wina i czas wolny. **Dzień 4.** Dzień do własnej dyspozycji. **Dzień 5.** Wycieczka do Rondy – spektakularnie położonego górskiego miasteczka. **Dzień 6.** Wycieczka do Sewilli - zwiedzanie, spacer po historycznej dzielnicy miasta i czas wolny. **Dzień 7.** Czas wolny. Wycieczka do Cordoby (dodatkowo płatna). **Dzień 8.** Wylot z Malagi do Warszawy.

Izrael – Ziemia obiecana

8 dni

- Wyżywienie: 2 posiłki dziennie
- Hotel: 3*/4* (7 nocy)

Wyloty 11/11 i 18/11 2018

Od 4 498 zł

Program wycieczki: Dzień 1. Wylot z Warszawy do Tel Awiwu. **Dzień 2.** Tabgha. Kafarnaum. Yardenit – miejsce chrztu Jezusa. **Dzień 3.** Kana Galilejska. Nazaret. Hajfa. **Dzień 4.** Betlejem. Góra Oliwna. Ogród Oliwny. **Dzień 5.** Jerozolima – Brama Jaffy, „Ściana Płaczu", Meczet Al-Aksa i Kopuła na Skale, Bethesda, Kościół Św. Anny, Droga krzyżowa - via Dolorosa, łuk Ecce Homo, Bazylika Grobu Świętego. Kościół Św. Piotra, Grób Dawida i Ostatnia Wieczerza. **Dzień 6.** Zachodnia Jerozolima – Kneset. Jad Waszem. En Kerem. **Dzień 7.** Jerycho – Góra Kuszenia. Kąpiel w Morzu Martwym. Masada. **Dzień 8.** Wylot z Tel Awiwu do Warszawy.

Magiczne Maroko

8 dni

- Wyżywienie: 2 posiłki dziennie
- Hotele: 3*/4* (7 nocy)

Wyloty 02/10 i 10/11 2018

Od 4 498 zł

Program wycieczki: Dzień 1. Wylot z Warszawy do Casablanki. **Dzień 2.** Casablanca - Rabat - Fez. Pałace, meczety, wyroby rzemieślnicze i bazar. **Dzień 3.** Fez. Zwiedzanie starego miasta, bazar, wyroby rzemieślnicze, Meczet Andaluzyjski, Fontanna Nejjarine, dzielnica Fes el-Jdid. **Dzień 4.** Fez - Volubilis - Meknes, marokański Wersal - Afurar. **Dzień 5.** Afurar - piękne krajobrazy i widok Gór Atlas - Marrakesz. **Dzień 6.** Marrakesz. Grobowce Saudytów, Meczet Księgarzy, Pałac Bahia, stare miasto, barwny i tętniący życiem plac Dżamaa al-Fina. **Dzień 7.** Casablanca – Meczet Hassana II. **Dzień 8.** Wylot z Casablanki do Warszawy.

Rezerwacja
+48 22 128 48 81
www.albatros.pl
Warszawa
ul. Marszałkowska 74

Konsumencki Lider Jakości 2018

Albatros travel

Skandynawska jakość od 1986 r. - Polski pilot - Bilety wstępów

Cena zawiera: opiekę polskiego pilota, przelot rejsowy z Warszawy, zakwaterowanie w pokojach 2 osobowych, wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe oraz **bilety wstępów.** Kod reklamy: TP08

KS. ADAM

Boniecki: *Ostrzegam*

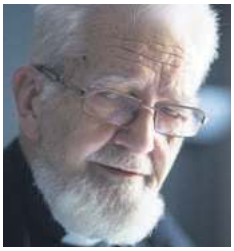

Po odsłonięciu pomnika na placu Piłsudskiego trzech panów w garniturach rozmawiało w TV Republika o wszystkich naszych polskich sprawach. Nie bardzo ich słuchałem, miałem inną robotę. Nagle dotarło do mnie, że mówią o nas, to jest o „Tygodniku Powszechnym". Jeden z panów zauważył, że są pisma, które „rozmywają katolicyzm", jak „Tygodnik", na co drugi powiedział, że to oczywiste, bo „Tygodnik" jest własnością TVN.

Nie wiem, ile osób ogląda TV Republika, ale wiem, że ci, którzy wtedy oglądali, otrzymali w krótkiej wypowiedzi trzy fałszywe informacje, jeśli liczyć tę o „rozmywaniu". Nie jest wcale oczywiste, kto i co „rozmywa". Fałszywa była informacja o własności, bo „Tygodnik" nie jest ani nigdy nie był własnością TVN. Owszem, w latach 2007-11 koncern ITI był współwłaścicielem pisma, od czerwca 2008 r. nawet współwłaścicielem większościowym. ITI jednak w roku 2011 kapitałowo się ze spółki wycofało i jedynym właścicielem pozostała Fundacja Tygodnika Powszechnego. Nabywając udziały w „Tygodniku", ITI zobowiązało się nie ingerować ani w redagowanie, ani w treść pisma, ani też w sprawy personalne. Umowy tej zresztą skrupulatnie dotrzymało i rozmywania czegokolwiek od nas nie wymagało. Wątpię, by to moje sprostowanie przeczytał którykolwiek z odbiorców wspomnianej debaty, bo w Polsce każdy śledzi tylko swoje „plemienne" media.

Napisałem to zainspirowany ważnym artykułem Józefa Majewskiego „Jezus w sieci", w którym autor wskazuje na konieczność daleko posuniętej ostrożności przy czerpaniu wiedzy ze źródła, z którego bardziej lub mniej obficie wszyscy korzystamy, mianowicie z Wikipedii.

Ale chodzi o coś więcej: o siłę przenikania do naszych głów treści wchłanianych z telewizji i innych środków przekazu. Ani się obejrzymy, a już nasz obraz świata okaże się wcale nie nasz, lecz cudzy, skądś przyswojony. Obraz świata, idei, ocen przenika do naszego myślenia poprzez ulubione media. Im bardziej są one kolorowe, tym bardziej jest on czarno-biały i tym łatwiej zostaje przyswojony. Czy nie tak jest z naszą wiedzą o uchodźcach, o Kościele, o postaciach życia publicznego? Wtrącone mimochodem zdanie z fałszywą informacją, selekcja (prawdziwych!) wiadomości, reklamy żerujące na bezkrytycznych odbiorcach skutecznie przytępiają nasz własny osąd. A ponieważ ta przyprawiona przez media i implantowana w nas „mądrość" nie wyrasta z własnych poszukiwań prawdy, jest niepewna siebie, a w konsekwencji agresywna. Przy spotkaniu z innym nie słucha, ale atakuje – jest to tzw. agresja obronna.

Nie jestem przeciw Wikipedii, nie jestem przeciw wolności słowa w debatach i „debatach", nawet wtedy, kiedy plecie się tam głupstwa albo mija z prawdą. Nie jestem za cenzurą, bo tę obrzydliwość pamiętam z czasów PRL. Nie sądzę też, by można było w wolnym kraju zmusić telewizję oraz inne media do tego, by np. sprawom ważnym poświęcały więcej miejsca niż sprawom błahym, za to sensacyjnym, dobrym uczynkom więcej niż przestępstwom, codziennej pracy więcej niż niezwykłym wyczynom. Niestety tak ten biznes działa, że od wszechstronnego wykładu ekonomii będzie wolał pełen uproszczeń spór medialnych ekspertów.

Postuluję odpowiedzialność za słowa. Postuluję podpisywanie tekstów własnym imieniem i nazwiskiem, a tam, gdzie liczy się kompetencja, podawanie informacji o kompetencji autora. Każdej stacji radia i telewizji, wszystkim redakcjom czasopism życzę wiarygodności. Nikt nie może sprawdzić wszystkiego, a każdy pragnie mediów, którym mógłby zaufać.

Odbiorcy wszelkich mediów, na litość Boską, nie dajcie robić sobie wody z mózgu. Żadnym mediom, nawet jeśli wodę z mózgu zechcą wam robić media z atestem „katolickie". I się nie łudźcie, że przez listy do redakcji albo sprostowania czy protesty je zmienicie. Kiedy więc zauważycie, że próbują za was myśleć, ideologicznie was pochłaniać, strzeżcie się ich jak zarazy. ©℗

TP

Nie przegap! Już w środę **25 kwietnia** – podwójny, pięknie ilustrowany „Tygodnik Powszechny" na majówkę! Na ponad **140** stronach:

Boniecki, Bieńczyk, Chomątowska, Dąbrowska, Dziewit-Meller, Hołownia, Horowitz, Kłoczowski, Masłowska, Stankiewicz, Stasiuk

- 1 maja: jak uleczyć naszą pracę
- Kiedy władza wchodzi na grabie
- Czy Bóg wodzi na pokuszenie
- Błogosławiona pielęgniarka
- Amerykańska Częstochowa
- Halny zmienia ludzi
- Bug pamięci
- Wędrowcy kulturalni
- Objawienie w teatrze
- Burgundia rozumie wasz zachwyt

a także: kolejny dodatek z cyklu „Wielkie Pytania" i dodatek specjalny „Włóczykij kulturalny"

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

5 Interwencja jednorazowa
WOJCIECH PIĘCIAK

6-9 Wiadomości / Komentarze

18 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

82 Tygodnik Czytelników

■ ■ KRAJ

20 Dama z suspensem
MAREK RABIJ: *Opowieść o tym, jak kolekcja Czartoryskich z daru dla społeczeństwa zmieniła się w towar*

23 Maciej Radziwiłł: List do redakcji

25 Godzina populistów
PAWEŁ MARCZEWSKI: *Spadek notowań PiS to zła wiadomość nie tylko dla obozu władzy*

27 Pamięć o Ablu
MICHAŁ OKOŃSKI: *W książce „Dalej jest noc" nie chodzi o polską winę*

■ ■ WIARA

30 Jezus w sieci
JÓZEF MAJEWSKI: *W hasłach teologicznych w Wikipedii prawda miesza się z fikcją*

34 Gniew ludu
O. LUDWIK WIŚNIEWSKI OP: *Projekt ustawy „Zatrzymaj aborcję" jest antychrześcijański*

36 Bóg obok
KS. JACEK PRUSAK SJ *o świętości*

38 Kogo szukasz?
PIOTR SIKORA: (3) *Medytacje Wielkanocne*

■ ■ ŚWIAT

40 Ludzie z Triángulo Norte
BEATA KOWALIK: *By dotrzeć do USA, migranci z Salwadoru, Hondurasu i Gwatemali muszą przedrzeć się przez Meksyk*

MATTHEW JORGENSON / GETTY IMAGES

■ TEMAT TYGODNIKA ■

10 Młodzi łatwopalni
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Trudno o równie fatalny zbieg czynników: o ile ze zdrowiem psychicznym młodych Polaków jest źle, o tyle system pomocy dla nich jest na krawędzi katastrofy.

14 Głębiej nie ma nic
ROZMOWA Z RYSZARDEM IZDEBSKIM, PSYCHOLOGIEM KLINICZNYM:

Problem w tym, że my się tak naprawdę nie znamy. Lajki nie przytrzymają kogoś, kto chce skoczyć z okna, a kumpel jednak przytrzyma.

■ FELIETONY ■

29 ANNA DZIEWIT-MELLER
39 SZYMON HOŁOWNIA
62 WOJCIECH BONOWICZ
76 JAN KLATA
83 PAWEŁ BRAVO
84 STANISŁAW MANCEWICZ
84 BARTOSZ MINKIEWICZ

■ DODATKI SPECJALNE ■

Magazyn Conrad
75. rocznica Powstania w Getcie

Okładka: MAREK ZALEJSKI
Zdjęcie: ADAM ŚMIGIELSKI / GETTY IMAGES
Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

44 Rozmowy za kratami
ROZMOWA Z MADHUMITĄ PANDEY, INDYJSKĄ KRYMINOLOŻKĄ

47 Witany jak król
DOMINIK HÉJJ: *Viktor Orbán chce walczyć o węgierskość*

49 Park Geun-hye w sidłach zemsty
ROMAN HUSARSKI *o wyroku na byłą prezydent Korei Południowej*

■ ■ NAUKA

60 Fotele zamiast CERN-u
WOJCIECH BRZEZIŃSKI: *Wszechświat stosuje się do praw ludzkiej logiki wtedy, kiedy sam chce*

■ ■ KULTURA

64 Wsadzam historię do kryminału
ROZMOWA Z PIERRE'EM LEMAITRE'EM, AUTOREM POWIEŚCI HISTORYCZNYCH I KRYMINALNYCH

68 Festiwal odkryć
JAN BŁASZCZAK: *Spring Break to platforma dla branży muzycznej i playlista dla publiczności*

70 Rzeczy naszego świata
PIOTR KOSIEWSKI: *Wystawa w krakowskim Muzeum Narodowym to pierwsza tak obszerna prezentacja polskiego dizajnu po 1989 r.*

74 Selfie w rezerwacie
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Nie jestem czarownicą"*

75 Warto zobaczyć w TV

76 Żarty i głębsze znaczenie
LEKTOR *o książce „Zapiski na paczce papierosów"*

■ ■ ZMYSŁY

78 Terapia śpiewem
DOROTA KOZIŃSKA: *Jak śpiewać do syta i bez grzechu*

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik), Błażej Strzelczyk
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Magdalena Rittenhouse, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Teresa Stylińska, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Joachim Trenkner, Marek Zając
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Makowska-Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Marta Filipiuk-Michniewicz, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

OBRAZ TYGODNIA

INTERWENCJA JEDNORAZOWA

Naloty na magazyny broni chemicznej nie zakończą dramatu Syrii. Ale wspólna akcja wzmacnia sojusz kluczowych państw Zachodu. Dziś to sporo.

WOJCIECH PIĘCIAK

Sto rakiet to za mało, by odwrócić bieg wydarzeń w Syrii, zagrozić zbrodniczemu prezydentowi Asadowi czy ulżyć Syryjczykom, od siedmiu lat doświadczanym przez wojnę. Tyle właśnie pocisków manewrujących wystrzeliły w sobotę 14 kwietnia wczesnym rankiem amerykańskie, brytyjskie i francuskie okręty oraz samoloty. Wycelowane zostały, jak podali politycy i wojskowi z tych krajów, w trzy cele na terenie kontrolowanym przez Asada: dwa magazyny z bronią chemiczną i ośrodek produkujący chemiczne środki bojowe.

Trzeba przyznać, że operację – będącą reakcją na użycie przez armię syryjską tydzień wcześniej bomb z chlorem przeciw ludności oblężonego miasta Duma – przeprowadzono w sposób przemyślany: tak, by nie doprowadzić przypadkiem do III wojny światowej. W dniach poprzedzających nalot płynęły wszak ze strony Kremla groźby, że wojska rosyjskie zniszczą nadlatujące zachodnie rakiety i zaatakują „platformy, z których je wystrzelono" (tj. zachodnie okręty i samoloty). Taka groźba konfrontacji – wypowiedziana przez rosyjskiego ambasadora w Libanie, w mediach Hezbollahu (sojusznika Asada) – została przez Rosjan szybko zrelatywizowana (ambasadora rzekomo źle przetłumaczono). Kierując rakiety tylko przeciw instalacjom chemicznym, stolice zachodnie ułatwiły więc Putinowi poniechanie tego, czym groził ambasador (jeśli tłumaczenie było jednak właściwe). Podobno zresztą Moskwę uprzedzono o akcji.

Jednym z celów nalotu był wojskowy ośrodek w stolicy Syrii. Damaszek, 14 kwietnia nad ranem.

HASSAN AMMAR / AP / EAST NEWS

↦ Sobotni nalot można więc interpretować również tak: podejmując go w bardzo ograniczonym zakresie, Waszyngton, Londyn i Paryż przekłuły budzący coraz większy niepokój balon retorycznej eskalacji. Wykreowanej w znacznym stopniu także przez Donalda Trumpa: prezydent USA znów pokazał się jako polityk nieobliczalny (przynajmniej werbalnie) i niestabilny: przecież dwa tygodnie wcześniej to Trump mówił, że USA wycofają żołnierzy z Syrii i „niech inni się o to [o Syrię – WP] martwią" (Amerykanie stacjonują we wschodniej części kraju, w liczbie kilku tysięcy; wspierali Kurdów przeciw ekstremistom z tzw. Państwa Islamskiego i byli też swego rodzaju żywą tarczą, chroniącą Kurdów przed zakusami prezydentów Turcji i Syrii).

Nalot nie tylko nie doprowadzi więc do nowej eskalacji rosyjsko-zachodniej, lecz może przyczynić się do deeskalacji na odcinku syryjskim. Bo na innych frontach można spodziewać się zaostrzenia. Po tym, jak na początku kwietnia USA zastosowały nowe sankcje – pierwsze reakcje pokazują, że są bolesne dla dotkniętych nimi ludzi z otoczenia Putina i ich biznesów – USA miały przyjąć na początku tego tygodnia kolejne, wymierzone w ludzi i firmy z Rosji, które współpracują z Asadem.

Nie ma więc złudzeń: taki nalot nie zmieni strategicznej sytuacji w Syrii. Dziś Asad, protegowany Putina, jest nietykalny (rosyjscy żołnierze stacjonują na całym obszarze kontrolowanym przez Asada), a kraj stał się rosyjsko-irańskim protektoratem. Sekretarz obrony USA mówił otwarcie, że była to akcja jednorazowa (chyba że Asad znów użyje broni chemicznej).

Wspólna akcja wzmacnia jednak sojusz państw Zachodu. W dzisiejszej atmosferze – gdy wielu wieszczy jego koniec – to niemało. Po tym, jak kraje zachodnie wystąpiły dość spójnie przeciw Rosji po jej ataku chemicznym w Salisbury, sobotni nalot to kolejny moment, gdy Zachód pokazuje, że spisywanie go na straty byłoby przedwczesne. Choć nadal niepokoi sytuacja, w której – jak to ktoś ujął – ośrodkiem władzy w USA, mającym najbardziej stabilizujący wpływ na zachowania lokatora Białego Domu, staje się Departament Obrony...

©℗ WOJCIECH PIĘCIAK

Tekst ukończono 16 kwietnia o godzinie 8.

Więcej na: **powszech.net/syria-nalot**

GORAN TOMASEVIC / REUTERS / FORUM

„NIEPOKOJE". Gdy w Demokratycznej Republice Konga dzieje się źle, media nadużywają tego ogólnego słowa. W ostatnich dniach opisywało ono m.in.: konflikt między grupami Lendu i Hema we wschodniej prowincji Ituri; ucieczkę 70 tys. ludzi do sąsiedniej Ugandy (do końca roku ONZ spodziewa się tu 200 tys. kongijskich uchodźców); organizowane przez Kościół katolicki demonstracje przeciw prezydentowi Josephowi Kabili. Problemu nie ma – twierdzą władze DRK – i bojkotują tymczasem genewską konferencję ws. pomocy dla tego kraju.
Na zdjęciu: obóz dla uciekinierów w miejscowości Bunia, prowincja Ituri, 12 kwietnia 2018 r.

©℗ ŻYM

Facebook się kaja

SKORO O PRZESŁUCHANIU Marka Zuckerberga przed Kongresem USA pisano jako o „grillowaniu" go, to on sam przypominał św. Wawrzyńca: przypiekanie na ruszcie przeszedł z niewinnym obliczem świętego. Szef Facebooka w ubiegły wtorek i środę indagowany był o aferę Cambridge Analytica i prywatność użytkowników. Wypadł o wiele lepiej niż przesłuchujący go kongresmeni (jak senator Orrin Hatch, który nie wiedział, że FB utrzymuje się z reklam), brał odpowiedzialność, deklarował poprawę. I wygrał: podczas przesłuchań wartość dołującej dotąd na giełdzie spółki wzrosła o 17 mld dolarów.

W mocy pozostaje pytanie, które zadała reprezentantka Jan Schakowsky: ile jeszcze razy Zuckerberg będzie przepraszał? Jak wyliczyła, za swe błędy kajał się już w 2003, 2006, 2007, 2010, 2011 i 2017 r. Zdaniem ekspertów i tym razem na przeprosinach się skończy: szanse na kary i regulacje są wątłe.

©℗ MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Donbas: otwarta rana Ukrainy

W PIERWSZYCH MIESIĄCACH tego roku ukraińska armia poniosła najwyższe od dawna straty w Donbasie, gdzie trwa wojna z Rosją. Wprawdzie jest to wojna pozycyjna, a front niemal nie zmienił się od wiosny 2015 r., ale codziennie dochodzi do wymiany ognia, zwykle kilkadziesiąt razy (także z użyciem artylerii). Od początku roku do końca marca na froncie zginęło co najmniej 60 ukraińskich żołnierzy, a kilka razy tyle zostało rannych. Duże są też straty niebojowe na tyłach: w marcu było to 12 zabitych (ofiary wypadków na poligonach czy samobójstw; te ostatnie zdarzają się 2-3 na tydzień). Ponadto co miesiąc umiera przedwcześnie kilku do kilkunastu zdemobilizowanych weteranów (w marcu było ich 13: zmarli wskutek powikłań po ranach, samobójstw itd.). Z analizy danych oficjalnych i pozarządowych wynika, że od wiosny 2014 r. zginęło prawie 5 tys. ukraińskich żołnierzy, a 20 tys. zostało rannych (w tym 2,3 tys. zabitych i 8 tys. rannych to straty niebojowe).

Spośród poległych w marcu najmłodszy miał 19 lat – Andrij Krywicz studiował psychologię (chciał zostać psychologiem wojskowym). W styczniu przepisał się na studia zaoczne i poszedł na front jako ochotnik. 27 marca wieczorem kula snajpera trafiła go w głowę.

Na początku kwietnia zaczął się kolejny, piąty rok tej wojny.

©℗ WOJCIECH PIĘCIAK

W SKRÓCIE

HISTORIA SIĘ KŁANIA. ONR świętował rocznicę powstania organizacji: ulicami Gdańska przeszła parada z gatunku tych, które widywano tutaj przed 80 laty, choć wykrzykująca deklaracje o bronieniu „świętej wiary"; główne obchody odbyły się w słynnej z czasów Sierpnia '80 Sali BHP Stoczni Gdańskiej.

SAME STRATY. PiS ma większe problemy niż ONR i spadki sondażowe. „Ja naprawdę na polityce nie zyskuję, tylko tracę" – powiedział Jarosław Kaczyński na spotkaniu z wyborcami w wielkopolskiej Trzciance. „Nie twierdzę, że ja jestem kimś nadzwyczajnym – dodał skromnie – ale sądzę, że dobrym radcą prawnym w Warszawie bym był – to przecież bym zarabiał parę razy więcej, niż zarabiam".

PO NAGRODACH GRANTY. Czasami nie trzeba być radcą. Jak napisał tygodnik „Wprost", ćwierćmilionowy grant w konkursie Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego dostała fundacja InnWarmia, która powstała ledwie tydzień przed jego rozpisaniem, a między szefem fundacji a przewodniczącymi komisji konkursowej istniało powiązanie.

NIEDZIELA SĄDOWA. Sklepy zamknięte, ale jak trzeba, sądy pracują w niedzielę: decyzją jednego z nich poseł PO Stanisław Gawłowski został aresztowany na trzy miesiące. Dawnemu wiceministrowi ochrony środowiska w rządzie PO-PSL postawiono pięć zarzutów, w tym trzy o charakterze korupcyjnym; on sam mówi, że choć jest niewinny, to żyje w państwie PiS, więc musi być przygotowany na wszystko.

NIE MIAŁ PYTAŃ. À propos sądów: „Chciałem panu powiedzieć, panie Macierewicz, że jest pan kłamcą, przestępcą, w przyszłości stanie pan przed sądem wolnej Polski za kłamstwa i szkody poczynione państwu polskiemu oraz pojedynczym ludziom. Zadawanie panu pytań nie ma jakiegokolwiek sensu. Żegnam" – powiedział dziennikarz „Gazety Wyborczej" Wojciech Czuchnowski podczas konferencji prasowej prezentującej „raport techniczny" podkomisji smoleńskiej i wyszedł z sali.

Zaułek Czartoryskich

PO ZESŁANIU DO DRUKU części tego wydania „TP", w której piszemy o wątpliwościach wokół przelewu pieniędzy Fundacji Czartoryskich do Liechtensteinu (w dziale Kraj), córka jej założyciela, Tamara Czartoryska, zarzuciła ojcu i jego współpracownikom działania „potencjalnie bezprawne". Dziedziczka sugeruje, że pieniądze trafiły do Szwajcarii przed 13 marca 2017 r., gdy do statutu wprowadzono zapisy umożliwiające wspieranie zagranicznych fundacji. Bez zgody swej rady Fundacja Czartoryskich miała też dotować fundacje związane z członkami jej organów statutowych.

Oświadczenie nie przesądza o winie wskazanych w nim osób. Zawiera nieścisłości, nie wiemy np., czy przelew do Szwajcarii poszedł na rachunek Fundacji, czy innego podmiotu. Błędna zdaje się być także wzmianka, że o istnieniu fundacji Le Jour Viendra Tamara Czartoryska dowiedziała się 8 miesięcy przed jej rejestracją. Jedno nie ulega jednak wątpliwości: czas, by sprawie przyjrzała się w końcu prokuratura.

©℗ MAREK RABIJ

GRAŻYNA MAKARA

Oddział intensywnej głodówki

ODWAPNIENIE, ZMIĘKCZENIE i zniekształcenie kośćca, niedokrwistość, nadmierna pobudliwość mięśniowa, drżenie i bolesne skurcze mięśni, stany lękowe, bezsenność, nadciśnienie. To nie lista chorób najskuteczniej leczonych w polskich szpitalach. Wprost przeciwnie: zestawienie schorzeń, do których może się przyczynić... szpitalne żywienie.

Raport NIK na ten temat wykazał ponadto m.in., że średni dzienny koszt wyżywienia w skontrolowanych szpitalach wynosi między 9,55 a 17,99 zł (koszt surowców między 3,70 a 8,46 zł); że pacjenci dostają posiłki nieadekwatne do stanu zdrowia i złożone ze składników niskiej jakości; że w niemal połowie szpitali korzystających z usług cateringowych nie ma dietetyka.

©℗ PW

Portfel i pięść Kaczyńskiego

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Dodatkowe pieniądze wprost do kieszeni wyborców i ostrzejsza dyscyplina w partyjnych szeregach – tak można podsumować konwencję PiS, która rozpoczęła kampanię przed maratonem wyborczym. Poza groteskowym wystąpieniem Jarosława Gowina – który uznał, że rodzice powinni móc głosować za swe nieletnie dzieci, i zapowiedział badania nad kontrolą zagranicznych chipów w smartfonach – wszystko inne przebiegło wedle ustalonego scenariusza. Premier Morawiecki zapowiedział m.in. obniżkę CIT oraz ZUS dla drobnych przedsiębiorców, a także państwową emeryturę dla matek, które urodziły co najmniej czworo dzieci, oraz 300 zł wyprawki dla każdego ucznia. Wicepremier Szydło premię dla matek, które „szybko" urodzą drugie dziecko. Zbigniew Ziobro jak zwykle ogłosił, że wsadzi wszystkich złoczyńców do więzienia.

Większość tych zapowiedzi to na razie hasła. Na pewno jednak będą wdrażane możliwie szybko, zgodnie z wyborczym kalendarzem. I tak często, jak się da – w gotówce. Obóz władzy liczy, że bezpośrednia wypłata wpłynie na gusta Polaków.

Zaraz po konwencji liderzy PiS ruszyli w Polskę powiatową – ich naturalne zaplecze. Z kolejnych wystąpień Jarosława Kaczyńskiego podczas tych gospodarskich wizyt można odczytać komunikaty dotyczące polityki na najbliższe dwa lata. Widać, że ekspresowe przyjęcie przez Sejm nowelizacji ustaw sądowych – które zawierają ustępstwa wobec Brukseli – nie jest przypadkowe. Szefostwo PiS uznało, że w proeuropejskim społeczeństwie przeciąganie niezrozumiałej wojny z Brukselą jest szkodliwe. Eurokompromis to także element rozpoczętej kampanii – i jak wszystkie poprzednie, stawia jednoczącą się opozycję z Platformy i Nowoczesnej w trudnej sytuacji. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl

LICZBA TYGODNIA

40

sekund. Tyle czasu zajęło marszałkowi Kuchcińskiemu oddalenie ośmiu wniosków opozycji na ostatnim posiedzeniu Sejmu.

W SKRÓCIE

O NACJONALIZMIE: PRYMAS... „To jest nasz, jako Kościoła, grzech zaniedbania. Nie mamy ludzi, którzy byliby gotowi iść, stanąć przed nacjonalistami i odważnie zmierzyć się z wyzwaniem. Nie tak, jak niektórzy ich obecni duszpasterze, którzy często – muszę to powiedzieć szczerze, z wielkim bólem – tylko przyklaskują herezji" – mówi abp Wojciech Polak w wywiadzie rzece „Kościół katoludzki". Premiera książki odbyła się podczas warszawskich Targów Wydawców Katolickich.

...I POLSCY BISKUPI. „Dojrzały patriotyzm nie ma nic wspólnego z nacjonalizmem i zamykaniem się na inne kultury i tradycje. Z drugiej jednak strony nie ma nic wspólnego z coraz bardziej dziś modnym internacjonalizmem, zamazującym różnice między poszczególnymi narodami" – napisali biskupi w liście do Polonii.

WATYKAN PRZECIWKO „ROBOTOM ZABÓJCOM". Każde użycie broni mogącej zadać śmierć człowiekowi wymaga rozeznania i nie może być powierzone maszynie, która nie potrafi podejmować decyzji o charakterze moralnym – przestrzegał abp Ivan Jurković. Stały obserwator Watykanu przy ONZ uczestniczył w Genewie w konsultacjach na temat automatycznych systemów uzbrojenia. „Roboty zabójcy" – w odróżnieniu od zdalnie sterowanych dronów – podejmują decyzje samodzielnie na podstawie zadanych im algorytmów.

BEATYFIKACJA MNICHÓW Z TIBHIRINE. Rząd Algierii wyraził zgodę na przeprowadzenie w Oranie beatyfikacji męczenników z Tibhirine. Siedmiu trapistów w marcu 1996 r. zostało porwanych i zamordowanych najprawdopodobniej przez islamskich ekstremistów. Zostaną oni beatyfikowani razem z 12 innymi zakonnikami i zakonnicami, zamordowanymi w Algierii w latach 1994-96, w tym z ówczesnym biskupem Oranu, dominikaninem Pierre'em Claverie'em.

SYNOD POŚWIĘCONY KOBIETOM. Papieska Komisja ds. Ameryki Łacińskiej zaproponowała, by po synodach poświęconych rodzinie i młodzieży kolejny zajął się sytuacją kobiet w Kościele. Istnieje pilna potrzeba przezwyciężenia źródeł dyskryminacji kobiet – uważają członkowie komisji.

Dlaczego papież Franciszek zbłądził

EDWARD AUGUSTYN

„POPEŁNIŁEM POWAŻNY BŁĄD" – napisał Franciszek w liście do chilijskich biskupów po zapoznaniu się z raportem w „sprawie bp. Barrosa". Przypomnijmy: podczas wizyty w Chile papież stanął w obronie biskupa oskarżanego o tuszowanie przestępstw swego mentora, o. Karadimy, jednego z największych autorytetów chilijskiego Kościoła w ostatnim ćwierćwieczu, którego Watykan uznał winnym pedofilii i usunął z kapłaństwa. Pod wpływem krytyki Franciszek, tuż po zakończeniu pielgrzymki, przeprosił za pochopne słowa. Dlaczego teraz kaja się publicznie po raz drugi?

W założonym przez o. Karadimę Centrum Formacji Młodzieży edukację odebrały setki młodych chłopców, kilkudziesięciu z nich zostało księżmi, czterech biskupami. Skargi na jego zachowanie były skrzętnie ukrywane, postępowania uchylane, skarżących pomawiano i oczerniano. Karadima miał wpływowych obrońców w kraju i w Watykanie, którzy – gdy jego wina została udowodniona – przedzierzgnęli się w jego krytyków, by bronić samych siebie.

Franciszek pisze, że w kwestii bp. Barrosa nie miał „uczciwych, obiektywnych informacji". Powiedzmy wprost: był okłamywany. Mniejsza o winnych, choć lista podejrzanych nie jest długa. Nie nazwiska są teraz istotne, ale fakt, że chodzi o osoby pełniące ważne funkcje w Watykanie. Co oznacza, że karierę w Kościele robią ci, którym brakuje odwagi, by bronić niewygodnej prawdy, iść pod prąd, zło nazywać złem, bez względu na to, czy popełnia je „obcy", czy „swój". Którzy zawsze dobrze wiedzą, kogo opłaca się krytykować, a kogo bronić.

Franciszek dał im wiarę. Zwyciężyła korporacyjna solidarność. Zdanie biskupów, choć niepoparte dowodami, miało większą wagę niż słowa pokrzywdzonych. To był poważny błąd. I papież umiał się do niego przyznać. ©℗

Jak sobie zapewnić pomoc Nieba

„ANIOŁ PAŃSKI ukazał mu się we śnie i rzekł: Józefie, synu Dawida, nie bój się" (Mt 1, 20) – odczytał na skrawku papirusu odnalezionym w zbiorach Uniwersytetu Michigan historyk Brice C. Jones. Częściowo uszkodzony papirus o wymiarach 10,8 na 2,7 cm, który trafił do USA w 1927 r., w kolekcji zakupionej w Egipcie od słynnego handlarza starożytnościami Maurice'a Nahmana, Jones datuje na VI-VII wiek.
Na odwrocie nie znajduje się żaden napis, badacz wykluczył, by był to oddarty fragment księgi. Przez środek przebiega pionowe zgięcie: papirus był najwyraźniej złożony wpół. Jones w artykule na temat zabytku dowodzi, że jest to przykład wczesnochrześcijańskiego amuletu. Chrześcijanie, przypisując słowom Pisma Świętego moc powstrzymującą demony, katastrofy, bóle głowy czy skorpiony, nosili przy sobie kawałki papirusu, pergaminu lub metalu z wybranymi cytatami. Znane są liczne amulety ze słowami Ewangelii św. Jana („Na początku było Słowo"), Psalmu 91 („Kto się w opiekę oddał Najwyższemu"), Modlitwy Pańskiej czy przedstawiające Chrystusa jako uzdrowiciela (Mt 4, 23) oraz wspominające o aniołach jako emanacji mocy i woli Boga.

©℗ MACIEJ MÜLLER

P. MICH. INV. 4944B

Europa ludzi wolnych

NA UBIEGŁOROCZNY Zjazd Gnieźnieński specjalnie z Filipin do Polski przyjechał kard. Luis Tagle. W tym roku swoją wizytę zapowiedział już m.in. kard. Peter Turkson z Ghany, prefekt Dykasterii ds. Integralnego Rozwoju Człowieka. Zjazd Gnieźnieński – jak przekonują organizatorzy – jest spotkaniem międzynarodowym i, co może jeszcze bardziej wyjątkowe, ekumenicznym. Aż 10 Kościołów chrześcijańskich zaangażowało się w przygotowania, a podczas jego trwania odbędzie się szereg spotkań, nabożeństw i debat ekumenicznych.

Wśród zaproszonych do Gniezna gości i prelegentów są m.in. prof. Chantal Delsol, prof. Rocco Buttiglione czy prof. Andrea Riccardi. Zjazd pod hasłem „Europa ludzi wolnych" potrwa od 21 do 23 września. © BS

MARCIN WOJCIECHOWSKI / AGENCJA GAZETA

KS. ADAM BONIECKI doktorem *honoris causa* Uniwersytetu Łódzkiego: „Za życiową postawę i charyzmę zjednującą sympatię, za mądrość i zatroskanie o sprawy ojczyzny i rodaków, za tolerancję i chrześcijańską pokorę w ocenach bliźnich, a przede wszystkim za pozytywistyczny trud szerzenia systemu wartości, w którym naczelne miejsce zajmuje człowiek, także ten niedoskonały" – napisała w recenzji doktoratu prof. Maria Libiszowska-Żółtowska z Uniwersytetu Warszawskiego. Nadanie tytułu odbyło się 12 kwietnia. Z wielu listów gratulacyjnych rektor UŁ odczytał dwa: od prymasa Polski abp. Wojciecha Polaka i marszałka Sejmu RP Marka Kuchcińskiego. Ks. Boniecki wygłosił wykład o niezależności dzinnikarstwa; jest on dostępny na stronie powszech.net/doktorathc ©℗

MARCELO DEL POZO / REUTERS / FORUM

Wolnościowy duch Miloša Formana

ZMARŁY 13 KWIETNIA REŻYSER nakręcił zaledwie dwanaście pełnometrażowych tytułów. Były wśród nich skromne filmy z udziałem naturszczyków: „Czarny Piotruś", „Miłość blondynki", „Pali się, moja panno", które współtworzyły jeden z ważniejszych nurtów europejskiego kina zwany czeską nową falą; ale też wysokobudżetowe produkcje z udziałem gwiazd i z Oscarami na koncie, by wymienić tylko „Lot nad kukułczym gniazdem".

W tym ostatnim filmie Forman-imigrant z komunistycznego domu wariatów dostrzegał w amerykańskim systemie opartym na wolności i demokracji znajome ściany. Była to bowiem twórczość niezwykle spójna, choć osadzona w dwóch różnych kulturach i systemach kinematograficznych. Z reżymu, który roztaczał parasol nad „najważniejszą ze sztuk", a zarazem reglamentował jej wolność, u progu 1968 r. Forman wskoczył wprost do „fabryki snów". Jego wolnościowy duch znalazł tu kolejne barwne wcielenia: w „Odlocie", „Hair", „Amadeuszu" czy „Skandaliście Larrym Flyncie".

Kręcił filmy sporadycznie, nie zdążywszy zrealizować wielu ambitnych przedsięwzięć: ekranizacji „Żaru" Sándora Máraiego czy filmu o układzie monachijskim, którego współscenarzystą był sam Václav Havel. Nigdy też nie powrócił na grunt kina czeskiego, którego twórcy ciągle czerpią z wczesnych jego filmów. I, jak wielu artystów z tej części Europy, pewnie śnią po nocach o powtórzeniu jego amerykańskiego sukcesu. ©

ANITA PIOTROWSKA

„Bieguni" na krótkiej liście

POWIEŚĆ OLGI TOKARCZUK (w tłumaczeniu Jennifer Croft pt. „*Flights*") znalazła się na finałowej liście jednej z najważniejszych współczesnych nagród literackich, Man Booker International Prize. Utworzona w 2004 r. w Wielkiej Brytanii jako międzynarodowa odnoga słynnego Bookera, przyznawana jest obecnie za książkę obcojęzyczną wydaną w języku angielskim, a kwotę z nią związaną (50 tys. funtów) dzieli się po połowie pomiędzy autora i tłumacza. Pozostali finaliści to Koreanka Han Kang i Węgier László Krasznahorkai (nagrodzeni już w poprzednich latach), Francuzka Virginie Despentes, Hiszpan Antonio Muñoz Molina oraz Irakijczyk Ahmed Saadawi. Ogłoszenie zwycięzcy – 22 maja. W ubiegłym roku do nagrody nominowano Wiolettę Grzegorzewską (Wiolettę Greg) za „Guguły". ©℗ TF

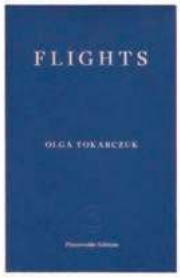

Podróże ziemniaka

GDY EUROPEJCZYCY odkryli wyspy Polinezji na południowym Pacyfiku w XVIII w., ich mieszkańcy już wtedy uprawiali bataty. Ponieważ były one wcześniej znane z Ameryki Południowej, zrodziło to hipotezy o wczesnych kontaktach rdzennych Polinezyjczyków z mieszkańcami Ameryk. Przeprowadzone przez Pabla Muñoza-Rodríguezа i współpracowników analizy genetyczne (opisane w „Current Biology") ujawniły jednak, że słodkie ziemniaki zasiedliły Polinezję sto tysięcy lat temu – czyli dziesiątki tysięcy lat przed ludźmi (niesione na falach oceanu albo transportowane przez ptaki). Choć nie było to celem prowadzonych badań, podważają one hipotezę o przedkolumbijskich kontaktach mieszkańców obu regionów. ©℗

ŁK

MŁODZI ŁATWOPALNI

Trudno o równie fatalny zbieg czynników: o ile ze zdrowiem psychicznym młodych Polaków jest źle, o tyle system pomocy dla nich jest na krawędzi katastrofy.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Te historie zaczynają być głośne, gdy nic się już nie da zrobić.

Kielce, początek roku. W jednym z mieszkań odkryte zostaje ciało 13-letniej dziewczynki. W szkole uczennicy VII klasy zostaje zwołana rada pedagogiczna. W opinii nauczycieli nic nie wskazywało na problemy, a nastolatka była „bardzo aktywna w życiu szkoły".

Kraków, zeszły rok. 16-latka skacze z dachu na jednym z osiedli.

Białostockie Dziesięciny, końcówka ubiegłego roku. Z okna bloku wyskakuje 13-letni chłopiec. W tym samym miesiącu samobójstwo – w podobny sposób – popełnia 14-latka.

Przebodźcowani

Inną historię – zakończoną szczęśliwie – opowiada mi jedna ze specjalistek pomagających ludziom młodym w kryzysie.

Nastolatka robi sobie zdjęcie w staniku. Fotografię wysyła do chłopaka, a ten – do znajomych. Zdjęcie ląduje w sieci, pojawiają się pod nim wulgarne komentarze. Kiedy nastolatka przychodzi do szkoły, niemal każdy zna fotografię. Jest poranek – uczennica zażywa leki. Podczas pierwszych zajęć zaczyna zasypiać, tracić kontakt z rzeczywistością. Nauczycielka wzywa pogotowie. Historia kończy się na szpitalnym oddziale toksykologii, potem na oddziale psychiatrii. Dziewczyna zmieni szkołę – w tej nie pojawi się już nigdy.

Podobnych historii zdarza się w Polsce wiele. Motyw cyberprzemocy jest brany pod uwagę m.in. w sprawie głośnego samobójstwa 17-letniej Nikoli spod Olsztyna. Dziewczyna wzięła dużą ilość substancji odurzających, a podczas imprezy w dwuznacznej sytuacji mieli ją nagrywać rówieśnicy. Do samobójstwa dziewczyny przyczynić się miała obawa, że film trafi do sieci.

Z opublikowanego w ubiegłym roku raportu NIK wynika, że z cyberprzemocą – prześladowaniem, zastraszaniem, wyśmiewaniem za pomocą internetu – styka się 40 proc. uczniów. A niemal połowa deklaruje, że dotknięci taką agresją, nie zwróciliby się po pomoc do dorosłych.

Agresja elektroniczna to tylko najbardziej powierzchowny element głębszego problemu. – Dzieci coraz rzadziej przeżywają emocje w realu – uważa Kinga Podolska, pedagog w szkole podstawowej z oddziałami sportowymi nr 5 w Krakowie. – A my przegapiamy moment, w którym zaczynają używać nowych mediów ryzykownie.

Według Podolskiej czasem wynika to z braku uważności dorosłych, a cza-

sem z wygody: rodzice wracają zmęczeni z pracy, a smartfon czy komputer służą im jako surogat troski. – Oczywiście nie da się spowodować, by dzieci przestały funkcjonować w sieci, bo to trochę tak, jakby w ogóle przestały istnieć – uważa Podolska. – Chodzi o to, by nie traciły kontaktu z rzeczywistością, a wraz z nią umiejętności przeżywania ważnych emocji, trudnych sytuacji w realnym życiu. Bez tego doświadczenia bardzo łatwo o psychiczny kryzys.

Rok czekania na łóżko

Katastrofa – to słowo nie padnie, choć można je sobie dopowiedzieć, wsłuchując się w szczegóły zdarzeń z ostatnich miesięcy.

Kinga Podolska: – Bywają okresy, gdy jedynie targnięcie się na własne życie daje gwarancję łóżka na oddziale. ↦

YULKA POPKOVA / GETTY IMAGES

↦ Aldona Czajkowska, psychoterapeutka, szefowa warszawskiego prywatnego Ośrodka ReGeneRacja: – Rozmowa w kuchni z koleżanką psychiatrą: „Aldona, jeszcze nigdy nie wysłałam tylu młodych z myślami samobójczymi do szpitala w ciągu roku". Był taki okropny moment, że dzieci z podobnymi tendencjami czekały dwa tygodnie na miejsce.

Prof. Barbara Remberk, kierownik Kliniki Psychiatrii Dzieci i Młodzieży w warszawskim Instytucie Psychiatrii i Neurologii, krajowy konsultant: – Odbieram dramatyczne telefony z całej Polski. Sama miałam w marcu 46 pacjentów na oddziale, na którym jest 28 miejsc.

– Gdzie ich pani umieszczała? – pytam.

– Na łóżkach polowych, gdzie się dało – odpowiada prof. Remberk.

Dr hab. med. Maciej Pilecki, psychiatra dziecięcy, kierownik Kliniki Psychiatrii Dzieci i Młodzieży w CM UJ: – Bywa, że jest jedno miejsce, w dodatku „dostawkowe" na korytarzu, a mamy kilku pacjentów, którzy powinni zostać natychmiast przyjęci. Część odsyłamy do najbliższego szpitala, w którym są miejsca, ale to czasami kilkaset kilometrów od domu. Oczywiście, jeśli pacjent jest w stanie bezpośredniego zagrożenia życia, przyjmiemy zawsze. Ale są granice: nie możemy zrobić z oddziału lazaretu z jednym łóżkiem przy drugim.

Łódź, marzec tego roku, Klinika Psychiatrii Młodzieżowej UM: nie ma miejsc nawet na korytarzach.

Trójmiasto, luty. Na łóżko na oddziale dziecięco-młodzieżowym szpitala psychiatrycznego na gdańskim Srebrzysku trzeba czekać... prawie rok.

Polski system pomocy psychiatrycznej dla młodych od kilku lat lawiruje na krawędzi zapaści.

Przepracowani

Ale to tylko najbardziej spektakularny fragment problemu. Bo obok psychiatrii dziecięcej, a więc ostatniej instancji reagowania, są jeszcze te wcześniejsze. Dom i szkoła.

Kinga Podolska mówi o pochodzących tylko z ostatnich lat kilku próbach samobójczych wśród uczniów jej placówki. Na szczęście żadna nie zakończyła się tragicznie. – Równocześnie w każdym z tych przypadków okazywało się, że dziecko już dawno powinno było zostać otoczone fachową opieką – mówi pedagog. – I w żadnym z nich pomocy psychiatrycznej nie otrzymało, bo rodzice niczego nie zauważyli, bądź mimo sygnałów zlekceważyli problem.

Według Podolskiej pod tym akurat względem w polskiej edukacji widać w ostatnich latach zmiany na lepsze: nauczyciele, pedagodzy są bardziej wyczuleni na problem, coraz częściej przechodzą też szkolenia. Takie kursy prowadzi np. dr Pilecki. Jak mówi, ich programy, choć pożyteczne, ujawniają problem trudny do rozwiązania: – Gdy mówimy nauczycielom, jak rozpoznawać kryzysy, pytają: „A jak już rozpoznamy, to jak przekonać rodzica, by zgłosił się z dzieckiem do psychiatry lub terapeuty?". Albo inne pytanie: „Gdzie właściwie miałby się zgłosić, skoro na wizytę czeka się miesiące?". I koło się zamyka. W efekcie ostry stan kryzysowy jest często pierwszym kontaktem dziecka z systemem pomocy. Powiem więcej: w zasadzie jest to reguła.

Być może bardziej skuteczna w wykrywaniu kryzysów na wcześniejszych etapach byłaby szkoła. Gdyby i ona – tak jak cały system – nie borykała się z kadrowymi niedoborami. Wedle raportu NIK w 40 proc. polskich placówek brakuje psychologa lub pedagoga na etacie. Najgorzej jest na wsiach: tam na tysiąc uczniów przypada nieco ponad połowa etatu psychologa.

W dodatku nakierowana na edukacyjny sukces, z nauczycielami rozliczanymi głównie z egzaminacyjnych wyników, szkoła przestaje być przestrzenią spotkania – a więc i uważności na przeżycia dzieci. Problem przepracowanych uczniów, zafiksowanych jedynie na przerobieniu wymaganego materiału, a wraz z nim pytanie o sensowność zadawania dużej liczby prac domowych (wedle raportu OECD polskie dzieci są nimi przygniecione wyraźnie ponad europejską średnią), stał się znowu głośny po wprowadzeniu ostatniej reformy oświatowej.

Choć zjawisko jest szersze i wymyka się ocenie tej czy innej polityki oświatowej państwa. – Wszyscy, włącznie z rodzicami, jesteśmy coraz bardziej nastawieni na naukę, zdawanie egzaminów i sukces – zauważa Aldona Czajkowska. – A skoro takie jest podejście dorosłych, przejmują je młodzi. Usłyszałam ostatnio od znajomego nauczyciela liceum: „To niesamowite, ale oni już w pierwszej klasie wiedzą, kim zostaną". Życie naszych dzieci w coraz młodszym wieku staje się „projektem", a to sprawia, że coraz prędzej pojawia się stres. Często słyszę od młodych, że coś „muszą". Równocześnie zostawiamy dzieciom coraz mniej miejsca na spontaniczną zabawę, przez co tracą możliwość poznawania samych siebie, budowania trwałych i bliskich relacji, znoszenia porażek i uczenia się współpracy, czyli tzw. umiejętności miękkich, tak ważnych przy radzeniu sobie z napięciem.

Czajkowska dodaje, że i dorośli są w trudnej sytuacji: – Nauczyciele, bo muszą „przerobić program". Rodzice, bo wydaje im się, że jak ich dzieci będą w czymś najlepsze, to sobie lepiej poradzą w dorosłym życiu. To ma swoje jasne strony, ale też i ciemniejsze: w pędzie za osiągnięciami przegapiamy moment, w którym nasze dzieci przestają sobie radzić z emocjami.

Pieniądze nic nie dadzą

Droga dojścia do katastrofy polskiego systemu psychiatrii dziecięcej to lata zaniechań. Na czele z finansowym: sektor ten jest od dawna niedofinansowany. Pokłosie tej sytuacji to likwidacja kilku oddziałów psychiatrii dziecięcej i młodzieżowej w ciągu ostatnich lat.

Dramatycznie brakuje samych specjalistów – podawana oficjalnie (a wedle opinii ekspertów i tak przeszacowana) liczba 400 psychiatrów dziecięco-młodzieżowych to o wiele za mało. Kiedy pytam o przyczyny tych niedoborów dr. Pileckiego, nie zaczyna wcale od wątku finansowego: – Psychiatrzy dziecięcy to być może najbardziej straumatyzowani specjaliści – mówi. – Pewnie, że przeżywamy swoje sukcesy i radości. Jednak ilość ryzyka, rozpaczy, samotności, złości jest tak duża, że być może właśnie nam najtrudniej zamknąć za sobą drzwi i zapomnieć o pracy. Jeśli młody lekarz w ciągu jednego dnia musi przyjąć kilkanaścioro chcących się zabić nastolatków, nie mając w dodatku sam wsparcia, to trudno się dziwić, że nie jest to specjalizacja najbardziej popularna. Jak dodamy do tego inne czynniki, np. to, że nasza praca jest mniej pre-

RDC POLSKIE RADIO
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
będzie gościem Grzegorza Chlasty w porannej audycji Radia Dla Ciebie w środę o 7.30
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

stiżowa niż praca np. kardiologa, że utrzymuje się w społeczeństwie ładunek niechęci do ludzi chorych psychicznie, a część tego odium spada na lekarzy, dostaniemy pełniejszy obraz sytuacji.

Dramatycznie brakuje też psychoterapeutów wyspecjalizowanych w problemach wieku dorastania. Nawet na prywatne wizyty czeka się tygodniami.

Aldona Czajkowska pięć lat temu założyła warszawski Ośrodek ReGeneRacja. Jak wspomina, pomysł powstał na fali frustracji, że dzieci, młodzież i ich rodzice nie mają gdzie się udać po pomoc. Szybko jednak się okazało, że ośrodek nie może się rozwijać – właśnie ze względu na brak kadry. – Założyłam więc wraz z Laboratorium Psychoedukacji szkołę psychoterapii dzieci i młodzieży, by móc sama dla siebie tę kadrę wykształcić – mówi Aldona Czajkowska.

Dziś w ReGeneRacji nie brakuje specjalistów. – Ale i u nas trzeba czekać na wizytę miesiąc lub dwa – relacjonuje szefowa ośrodka. – Jeśli mamy przypadek wymagający natychmiastowej interwencji, przyjmujemy. Ale inni muszą czekać.

Przedefiniowani

Podobne historie – jak ta, którą opowiada mi jedna ze specjalistek pracujących w dużym mieście – należą do częstych. Dziewczynka, osiem, może dziewięć lat. Podczas zabawy wymusza na innych, by robili to, czego ona sobie życzy. Nawet podczas terapii próbuje rozpaczliwie sterować dorosłymi. Chce mieć wszystko pod kontrolą, bo świat wokół niej od dawna nie podlega już żadnej kontroli: rodzice to rozstają się, to schodzą, by na koniec znowu być osobno.

Terapeuci i psychiatrzy przyznają, że często problem ujawniający się w gabinecie specjalisty to refleks zjawisk społecznych. Rozwodów, wzrastającego odsetka urodzeń w związkach nieformalnych (w 2016 r. po raz pierwszy w historii Polski co czwarte dziecko przychodziło na świat poza małżeństwem) czy emigracji.

Aldona Czajkowska mówi, że od jakiegoś czasu ćwiczymy na własnej skórze radykalną redefinicję modelu rodziny, małżeństwa oraz wychowania: – Nie chcemy już korzystać z „dobrodziejstw" pokoleń poprzednich, mamy nowe pomysły na chowanie dzieci. Coraz więcej jest demokratycznych rodzin, gdzie dzieci mają swój głos, udział w podejmowaniu decyzji. Kobiety coraz bardziej uniezależniają się od mężczyzn. Równocześnie jednak ich i ich mężów zabieganie skutkuje tym, że dzieci, które z jednej strony są w centrum oddziaływań, z drugiej coraz częściej pozostają same.

> Życie naszych dzieci w coraz młodszym wieku **staje się projektem**, a to sprawia, że coraz wcześniej pojawia się stres.

Psychoterapeutka zwraca też uwagę na wpływ rozwodów na kondycję psychiczną młodych. I nie chodzi o sam fakt rozstania rodziców, ale raczej jego styl. – Jedno z małżonków odchodzi i niemal urywa się kontakt z dzieckiem. Drugie jest pozbawione wsparcia psychicznego i finansowego: niska ściągalność alimentów jest, niestety, polską specjalnością. W efekcie jedno z rodziców, najczęściej matka, zaczyna nie radzić sobie sama ze sobą, a dziecko – to częsty schemat – wchodzi w rolę dorosłego. Bywa też w ogniu wieloletnich potyczek, a czasami w samym środku wojny, bo rodzice są tak zajęci swoim cierpieniem, że nie znajdują przestrzeni na przeżycia dziecka.

Dr Pilecki dodaje, że wpływ na kondycję psychiczną młodych mają też procesy szersze. – W 2001 r. Günter Rathner, jeden z badaczy zajmujących się anoreksją i bulimią zauważył, że problemy te pojawiają się częściej w społeczeństwach doświadczających dynamicznego rozwoju, przekształceń, „westernizacji" kultury – mówi psychiatra.

Samobójca na co dzień

Nie do końca wiadomo, na ile zatkane arterie systemu opieki psychiatrycznej to efekt choroby jego samego, a na ile nasilającego się problemu kryzysów wśród młodych.

Gdyby diagnozę problemu ograniczyć do rejestrowanych samobójstw i prób samobójczych, można by dojść do wniosku, że na przestrzeni lat niewiele się zmienia. Rokrocznie zabija się w Polsce ponad setka nieletnich, a zarejestrowanych prób samobójczych jest wśród nich kilkaset.

Ale eksperci patrzą na te dane sceptycznie. – Są skrajnie zaniżone – uważa prof. Remberk. – Po pierwsze, nastolatkowie podejmują próby, o których nikt się nie dowiaduje. Nieprecyzyjne są również dane dotyczące samobójstw: nie zawsze śmierć, będąca skutkiem targnięcia się na swoje życie, jest jako taka opisywana.

– Od kilku lat mamy do czynienia z nowym zjawiskiem – dodaje dr Pilecki. – Skrajnie ryzykownym przyjmowaniem substancji psychoaktywnych, które trudno uznać za akty samobójcze w sensie ścisłym, ale można mówić o zachowaniu, które dopuszcza ryzyko śmierci.

Według OECD Polska należy do czołówki państw w zestawieniu liczby samobójstw – również ludzi młodych – na 100 tys. mieszkańców.

Jakie są dane dotyczące kryzysów psychicznych? Niestety, i tu nie ma pełnej jasności, bo od dawna nie robiono badań epidemiologicznych (są przeprowadzane dopiero teraz). Dane udostępnione na stronie Ministerstwa Zdrowia pochodzą z 2014 r. i mówią o ok. 100 tys. młodych pacjentów, którzy skorzystali z publicznych porad psychiatrycznych lub psychologicznych. – Średnia liczba porad na pacjenta to około czterech i pół. Trudno mówić o intensywnym leczeniu, gdy zamyka się w kilku spotkaniach – komentuje prof. Remberk.

Ile jest konsultacji prywatnych, nie wiadomo, choć eksperci nie mają wątpliwości, że sektor ten też nie jest w stanie zaspokoić potrzeb. Te sięgają co najmniej 400 tys. młodych ludzi – liczba wynika z założenia, że w tej grupie wiekowej (niezależnie od kraju) między 5 a 9 proc. populacji wymaga pomocy.

Brak twardych danych nie oznacza, że niczego nie da się powiedzieć o dynamice zmian. – Jeszcze pod koniec lat 80. w ciągu całego roku zgłaszały się do nas dwie, może trzy nastoletnie pacjentki z anoreksją psychiczną – mówi dr Pilecki. – Teraz mamy kilka takich zgłoszeń tygodniowo. Jeśli chodzi o myśli i tendencje samobójcze, kilkanaście lat temu było takich przypadków jeden do kilku w miesiącu. Teraz czasami do kilku dziennie!

Na co cierpią młodzi? – Do częstych zaburzeń należą te nastroju, głównie depresja, czy zespół nadpobudliwości ruchowej z deficytem uwagi. Rozpowszechnioną dolegliwością są zaburzenia adaptacyjne, w ramach których rzeczywistość, ta szkolna czy rodzinna, przerasta dziecko. ↦

↦ U nastolatków, głównie dziewcząt, narastającym problemem są zaburzenia odżywiania – mówi prof. Remberk.

Przegapieni

Kingę Podolską pytam, jaki obraz problemów dominuje w jej praktyce. – W szkole stykam się najczęściej z następującym modelem: tzw. dobry dom, rodzice blisko dzieci, interesują się ich życiem. Tyle że przez swoją nadopiekuńczość pozbawiają ich samodzielności, nie dają przestrzeni na doświadczenie konsekwencji zachowań, wyborów. Starają się rozwiązać za dziecko problemy, awanturują się w szkole, gdy ktokolwiek cokolwiek zarzuci ich dzieciom. W okresie dojrzewania młody człowiek chce coraz bardziej przejmować kontrolę nad swoim życiem. A przez brak doświadczenia odpowiedzialności może nie być do tego przygotowanym, co prowadzi czasami do kryzysu. Kiedyś były podwórka, rówieśnicy spędzali ze sobą czas, będąc poza kontrolą dorosłych. Teraz często przechodzimy w drugą skrajność: zamiast iść krok za dzieckiem, idziemy obok niego lub nawet krok przed.

Jednak, jak podkreślają dr Pilecki i Aldona Czajkowska, dominujący rys to dziecko przez dorosłych „przegapione". Krakowski psychiatra przytacza rozpoczęte jeszcze w 1977 r., a trwające ponad dwie dekady badania, w ramach których naukowcy przyglądali się przebiegowi życia dzieci urodzonych pod koniec lat 70. – Zapamiętałem głównie jedno ustalenie badaczy, które zrobiło na mnie największe wrażenie – mówi dr Pilecki. – Porównano dzieci z najlepiej funkcjonującymi rodzinami i te mające się najgorzej, za kryterium przyjmując stabilność emocjonalną, ekonomiczną, to, czy wśród rodziców istnieją zaburzenia psychiczne bądź uzależnienia. Okazało się, że ryzyko psychopatologii w tej drugiej grupie jest stukrotnie wyższe! To potwierdza nasze doświadczenia na oddziale: bardzo rzadko spotykamy się z pacjentami doświadczającymi rodzinnej stabilizacji. I nie chodzi mi o głoszenie wyższości jedynie słusznego modelu rodziny. Raczej o to, że w każdym modelu stabilność jest najważniejszym kryterium kondycji psychicznej.

Aldona Czajkowska podkreśla wagę newralgicznego momentu w relacji rodzic–dziecko: – Zgodnie z prawami rozwoju potomek usamodzielnia się i w którymś momencie zaczyna wykrzykiwać: „Nie potrzebuję już was!". Dorosłym zdarza się zapominać, że to jedynie proces naprzemiennego oddalania się i przybliżania, i że ich dolą jest znosić te rozszalałe emocje. Tymczasem niektórzy rodzice

YURI SMITYUK / TASS / FORUM

zachowują się tak, jakby tylko na ten moment oddalenia czekali, by wreszcie w pełni zająć się sobą. Znikają z domu, a gdy okrzyknięty przedwcześnie dorosłym nastolatek do niego wraca, dom ten jest pusty.

Psychoterapeutka wspomina przedmaturalne spotkanie z rodzicami w liceum jej dzieci: – Pani dyrektor mówiła, na czym egzamin będzie polegał. A na koniec powiedziała: „Drodzy rodzice, pamiętajcie, róbcie dzieciom kanapki, one tego tak strasznie potrzebują”. Nie chodziło o same kanapki, tylko o okazywanie uwagi i bliskości. I nie mówiła tego do rodziców nadopiekuńczych ani tych, którzy nie interesują się swoimi dziećmi, tylko do tych, którzy zaczęli już swoje dzieci i ich problemy powoli przegapiać.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Głębiej nie ma nic

RYSZARD IZDEBSKI,
PSYCHOLOG KLINICZNY:

Problem w tym, że my się tak naprawdę nie znamy. Lajki nie przytrzymają kogoś, kto chce skoczyć z okna, a kumpel jednak przytrzyma.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Jakie są objawy bardzo złego stanu psychicznego młodego człowieka?

RYSZARD IZDEBSKI: Tam, gdzie widać powód do niepokoju, jesteśmy w stanie dość szybko interweniować. Rodzice martwią się nacięciami na nadgarstkach, wagarami w szkole, używaniem substancji psychoaktywnych, myślami samobójczymi, idą więc do psychologa, psychiatry, na dyżur do szpitala itp. Najgorsze są sytuacje, kiedy nie ma żadnego zwiastuna smutku i załamania linii życiowej. Wtedy następuje tąpnięcie. Jak to możliwe – zastanawia się otoczenie – przecież nie dawał żadnych znaków, że coś jest nie w porządku? A w tej chwili granica załamań psychicznych przesunęła się w dół wieku metrykalnego: po próbach samobójczych są już dwunastolatki, dawniej to byli uczniowie szkół średnich.

Przesunęła się, bo dzieci szybciej dojrzewają?

I dlatego, że kiedyś czasy były siermiężne i bardziej prymitywne, ale jednak wspólnotowe. Wszyscy nie mieli masła, a teraz każdemu brakuje czegoś innego. I trudno sobie wyobrazić, czego może brakować pięknej, młodej, 14-letniej kobiecie.

Czego może jej brakować?

Na przykład seksu. I ona nie bardzo lokuje swoje potrzeby w rówieśnikach, bo są za młodzi, więc szuka relacji z kimś dorosłym. Dorosły, oczywiście, się znajdzie i dochodzi do przestępstwa – w Polsce czynności seksualne z osobą poniżej 15. roku życia są ścigane z art. 200 kodeksu karnego. Choć dziewczyna może być zadowolona i subiektywnie doświadczać czegoś wspaniałego.

Mówię o tym dlatego, że nastolatkowie przeżywają siebie jako dużo starszych, niż są formalnie. Wyglądają jak dorośli i ryzykują jak dorośli.

Rówieśnica tej 14-latki może wyglądać jak dziecko i nie będzie ryzykować.

Czasy się pokomplikowały: każdy z młodych ludzi żyje w swoim hełmofonie. A ponieważ połączenia są wirtualne, to nie dają możliwości dotknięcia drugiego człowieka, bycia koło niego rzeczywiście, fizycznie blisko. Nawet wysłany sygnał o ratunek może utknąć w sieci, a pomoc potrzebna jest w „realu”. Ułuda doznawanej bliskości znajomych z Facebooka zgubiła niejedno dziecko i nastolatka.

Kontakty nawiązywane przez internet to stosunkowa nowość, ale deficyty – miłości, uwagi, samoakceptacji – zawsze były, są i będą. Dlaczego dzisiejszy młody radzi sobie z tym gorzej niż my dawniej?

Młodzi ludzie chodzą do dobrych restauracji, jedzą wykwintne dania, czytają coraz bardziej wyszukane menu, grzecznie odkładają sztućce w pozycji dwadzieścia po czwartej, znają się na obyczajach i winach, ale nie mają o czym rozmawiać przy tym jedzeniu. Głębiej nie ma nic. Brakuje troski o drugiego człowieka, on już nie jest dobrem. Dawniej przyjaźń to było coś ogromnie ważnego, a teraz ludzi łatwiej się porzuca i zdradza. W tych utratach pomogła dywersyfikacja, podział szkoły na poziomy formalne – podstawówkę i gimnazjum, ale też nieformalne, wynikające ze sposobów finansowania, snobizmu, miejsca w rankingu. Doprowadziło to do tego, że przestała istnieć grupa osiedlowa, chodząca do jednej klasy przez wiele lat. Ze względu na zwiększoną ruchliwość społeczną kumpel może znienacka wyjechać z rodzicami na jakąś placówkę i kontakt się urwie. Młodzież nie doświadcza świata „organoleptycznie” – nie poliżą, nie dotkną, nie zwizualizują... Gdy jadą z rodzicami samochodem, to i tak patrzą w komórkę, nie na to, co za oknem. To samo dzieje się na wyciągu narciarskim: komórka zamiast pejzażu, nagrywanie zamiast przyglądania się.

Rozmowa przez Skype’a zamiast spotkania na podwórku.

↦

↦ Jeśli teraz zdarza się odrzucenie przez grupę rówieśniczą, to ono jest dużo bardziej masywne. Kiedyś odrzucało kilka osób, a teraz robi to kilkaset. I nie ma kontaktu fizycznego – ludzie tak naprawdę się nie znają. Bliskość jest fikcyjna i sprowadza się do liczby lajków, a odrzucenie odczuwane przez adresata – prawdziwe. Lajki nie przytrzymają kogoś, kto chce skoczyć z okna, a kumpel jednak przytrzyma.

W latach 60. z dachu jednego z bloków w Nowej Hucie puszczaliśmy samoloty. W ferworze zabawy byłbym spadł, gdyby w ostatniej chwili kolega nie przytrzymał mnie za pasek – wcale nie przyjaciel, zwykły kumpel. Być może żyję dzięki temu, że on był naprawdę blisko mnie. A teraz, zanim rodzice zorientują się, że coś się stało, dziecko z grupy zostaje wykluczone i psychicznie zdewastowane.

Mówiąc to, mam jednak wahanie, czy nie histeryzujemy na temat skali zjawiska.

Chyba nie histeryzujemy, skoro wśród młodzieży rośnie liczba samobójstw.

Różne światy wokół upadają; autorytet Kościoła wśród wielu moich pacjentów praktycznie nie istnieje. Pewna 15-latka poraziła mnie tym, że nie miała pojęcia, kim byli Abel i Kain i czym była ofiara Izaaka. Choć musiała o tym słyszeć na religii, nigdy jej te opowieści nie zaangażowały emocjonalnie i moralnie. Jednym uchem wpadły, drugim wypadły. A istotne są punkty odniesienia: coś, za czym można podążać.

Obok autorytetu ważna jest bliskość. Mój dwudziestokilkuletni pacjent, którego 17-letni brat się powiesił, mówi, że wraz z jego śmiercią stracił plecy. „Nikt teraz za mną nie podąża. Przedtem byłem mocny, bo torowałem drogę młodszemu bratu, to dawało mi siłę".

Ważną rolę odgrywa swobodny dostęp do informacji: nastolatki sporo wiedzą o świecie, o innych kulturach, gdzie samobójstwo czy eutanazja mogą być jednym z rozwiązań sytuacji życiowej, traktowanych wręcz z dystansem, na spokojnie. I jeśli nie trzymają ich przesądy czy tabu religijne, mogą podjąć właśnie taką decyzję.

Czyli nastolatki nie tylko wyglądają jak dorośli, ale jak oni są inteligentne i depresyjne. Tylko emocje mają niedorosłe.

Mój niespełna 14-letni pacjent mówi: „Wiem, że pan może się ze mnie śmiać, ale ja mam kryzys wieku średniego nakładający się na kryzys adolescencji". I ten chłopiec ma dobrą diagnozę – bo on już jest w wieku średnim. Dotyka go *Weltschmerz*, ból świata, kryzys wartości, zwątpienie w sens istnienia.

Wokół upadają różne światy. Autorytet Kościoła wśród wielu moich pacjentów praktycznie nie istnieje. Coraz bardziej brakuje też zwyczajnej bliskości.

Nastolatki znajdują się w pozycji Romea i Julii, którzy źle rozpoznali rzeczywistość i niepotrzebnie się zabili. Słowem: tak młodym osobom może się wydawać, że nie ma dobrego wyjścia, a dorosły przecież to wyjście potrafi znaleźć i wskazać.

A może 14-latek tak dramatycznie przeżywa świat, bo jest najsłabszym ogniwem w rodzinie, która działa na zasadzie systemu naczyń połączonych? Może przechodzi kryzys identycznie jak rodzic widzący świat w czarnych barwach?

I ten rodzic, który wraca do domu po 23, a zrywa się do pracy o 4 rano, z konieczności musi zaniedbywać własne dziecko i go praktycznie nie widuje. A dziecko próbuje przywoływać jego uwagę rozmaitymi zachowaniami psychopatologicznymi – cięciem się, upiciem, szkolną bumelką. W sumie może to się wydawać banalne, lecz natłok tych banałów jest tak duży, że trudno zorientować się, co jest źródłem tego stanu.

Współczesna rodzina już „nie wyrabia", przestaje być dla swoich „młodych" autorytetem. Z powodu braku czasu, słabnących kompetencji wychowawczych, dezorientacji w zmieniającej się rzeczywistości. Nawet w sprawach zupełnie podstawowych, jak dostęp do internetu, rodzice nie mają sprecyzowanych poglądów. Powiększający się rozziew w sposobie i zakresie używania choćby mediów społecznościowych sprawia, że dzieci są często wychowywane, ale też demoralizowane, przez osoby spoza rodziny i przy jej całkowitej niewiedzy i bezradności.

Rodzina coraz częściej szuka pomocy na zewnątrz systemu i poszukuje specjalistów nawet w błahych sprawach.

A w poważnych jest zagubiona.

Natomiast będących na podorędziu kompetentnych osób, które są gotowe świadczyć jej pomoc, przeprowadzą dogłębną, wspierającą rozmowę, jest wciąż zbyt mało. By być skutecznym psychoterapeutą, trzeba mieć życiowe doświadczenie, sama specjalizacja nie wystarcza. O tych terapeutów należy dbać, bo są delikatnymi narzędziami zmiany. Tworzymy struktury, budujemy szpitale, malujemy ściany na ładne kolory, ale te przestrzenie bez terapeutów wypełnia pustka. Można tam dostać lekarstwa, lecz nie wsparcie emocjonalne.

Jedynie systemowo zorganizowane, szkolące się i superwizowane zespoły terapeutyczne są w stanie sprostać współczesnym zagrożeniom, przed jakimi stają młodzi ludzie. To wsparcie musi polegać na zintegrowanych oddziaływaniach indywidualnych, grupowych i rodzinnych.

Trafić na dobrego psychoterapeutę graniczy z cudem.

Mało jest też dobrych trenerów piłkarskich, tylko jeśli nie mamy niezwykłej drużyny piłkarskiej, nic złego się nie dzieje: trudno, nie wygrają mistrzostw świata. Natomiast wszystkie dzieci są spragnione bardzo dobrego specjalisty. Potrzebują mistrzowskiej ręki. Ich życie niedawno się rozpoczęło i byłoby dobrze, by turlało się potoczyście, a nie kulało.

Na kontakt z dobrym terapeutą warto dłużej poczekać, ale niekiedy czas jest ograniczony i lepiej spotkać się po prostu z certyfikowanym profesjonalistą, niż stać w wielomiesięcznej kolejce do jakiejś megagwiazdy.

Zastanawia mnie to, że rodzice „trzęsą się" nad synem i córką jak nigdy wcześniej. Chcą mu nieba przychylić i wszelkie kłody spod nóg usunąć. A mimo tych cieplarnianych warunków następuje regres: dzieci stają się mniej psychicznie odporne niż te z epoki zimnego chowu.

A jak rodzice się nie trzęsą, to społeczeństwo ich zmusza do tego, by się trzęśli, bo jeśli tego nie zrobią, to znaczy, że nie są wystarczająco dobrzy. Ale mam kontr-

Nastolatki są jak Romeo i Julia, którzy źle rozpoznali rzeczywistość i niepotrzebnie się zabili. Mam czternastoletnich pacjentów, którzy mówią o kryzysie wieku średniego.

GRAŻYNA MAKARA

RYSZARD IZDEBSKI jest psychologiem klinicznym i pedagogiem, zajmuje się psychoterapią dzieci, młodzieży oraz terapią rodzin. Posiada certyfikat psychoterapeuty i superwizora Sekcji Naukowej Psychoterapii Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego. Uprawia działalność profilaktyczną w mediach oraz wielu stowarzyszeniach i środowiskach.

przykład na to, co pani mówi. Za czasów mojej wczesnej podstawówki zdarzało się sporo śmierci dzieci. Kąpaliśmy się na gliniankach i kumpel nie wypłynął, nawet nie zauważyliśmy, że się utopił, bo tak dużo nas było. Drugiego kolegę roztrzaskała ciężarówka, kiedy przebiegaliśmy przez jezdnię. Jednak w tym niedopilnowaniu i zdaniu się na grupę rówieśniczą było dużo ryzyka i przekonania dorosłych, że dzieci są grzeczne i posłuszne. A nie są. Do tej pory niezaopiekowane dzieci giną.

Ten roztrzęsiony rodzic, o którym pani mówi, roztrzęsie też dziecko i wzajemnie będą wibrować. Tylko że w pewnym momencie „roztrzęsionemu" dziecku uda się uwolnić z więzów lęku poprzez pójście z rówieśnikami hardkorową ścieżką ryzyka. Ono jeszcze nie jest dotknięte smugą cienia, nic złego ze zdrowiem mu się nie podziało i robi rzeczy, które są dla niego śmiercionośne, np. przyjmuje do mózgu chemię w postaci jakiegoś narkotyku. Balans pomiędzy więzią i separacją, lękiem i beztroską to wyzwanie dla współczesnego rodzica.

Współczesnego rodzica, który sam potrzebuje psychoterapeutycznego wsparcia.

W dzisiejszym świecie obowiązuje coraz mniej reguł i nie da się przewidzieć, z jakim problemem przyjdzie nastolatek do gabinetu psychoterapeuty. Za dobrobyt wszyscy płacimy cenę – i rodzice, i dzieci. To pokłosie transformacji ustrojowej. Ale też mądrości mamy więcej. A ona posmutnia, także młodego. Nad tym wszystkim wisi też trauma – badania nad jej dziedziczeniem mówią, że od wojny odciska się na świadkach oraz na pokoleniu dzieci tych świadków. No i wokół dzieją się straszne rzeczy – dzieci wiedzą, że całkiem niedaleko, można tam w kilka godzin dolecieć samolotem, ich rówieśnicy giną, mają pourywane ręce, umierają z głodu. Ta wiedza o świecie w świadomości dzieci istnieje, choć one o tym nie rozmawiają. Wiedza jest ciężarem.

Jej brak też jest ciężarem.

Trzeba mieć narzędzia, by wiedzę dobrze zbadać. Kiedy 30 lat temu Anglicy z Instytutu Terapii Rodzin w Londynie szkolili nas w problematyce wykorzystania seksualnego dziecka, byliśmy przekonani, że tam u nich to nie jest za dobrze: że, mówiąc krótko, to naród „zboczeńców". Szybko się jednak okazało, że u nas jest podobnie, tylko nie mieliśmy narzędzi do badania tego problemu, bo uznaliśmy, iż w Polsce takie rzeczy nie mogą się zdarzać.

Podobnie jest z przemocą. Pamiętam sąsiadkę, która uciekała przed mężem i stukała do naszych drzwi – to się nie zmieniło. Zmieniło się mówienie o przemocy i uświadomienie skali zjawiska. Zmieniła się też i sprofesjonalizowała polska edukacja, ale jest w niej mnóstwo rywalizacji i niepewności: która szkoła i uczelnia jest dobra, a która słabsza. Dzieci są przeciążone ustawicznym wyborem i tym, że na każdym polu mają być dobre.

Spełniają w ten sposób ambicje rodziców.

Ale też mają wybór. Wczoraj jechałem taksówką, prowadził ją młody człowiek. Opowiadał, że przyjechał z Dolnego Śląska, bo chciał spróbować życia w dużym mieście, lecz nie chciał, by był to Wrocław. „Lubię jeździć samochodem, uwielbiam słuchać muzyki i mogę to robić w aucie, bo mam tu zamontowane bardzo dobre głośniki. Jeszcze zarabiam pieniądze i rozmawiam z ciekawymi ludźmi" – mówił.

Więc ten człowiek opuścił dotychczasowe miejsce zamieszkania, w innej części Polski wynajął piętro w jakimś domu i żyje pełnią życia w sposób kontrolowany, bo stracić prawa jazdy nie może. Za PRL-u też można było być taksówkarzem, ale to jednak nie było takie proste: pstryk, wynajmę sobie mieszkanie, pstryk, zmieniam miasto, pstryk, żyję innym życiem. Dziś ludzie mają mnóstwo możliwości. To jest i plus, i minus.

Bo spektrum wyboru też człowieka zabija, szczególnie młodego. Gdy idę do sklepu, wkurzam się, bo kupię to, co niepotrzebne, a zapomnę o tym, co istotne – działa przymus konsumpcyjny. Ale z drugiej strony jest coś fantastycznego w dostępności niektórych rzeczy, np. nawigacji w telefonie. Nie pamiętam, bym w obcym mieście musiał pytać kogoś o ulicę czy kilka minut gapił się w papierowy plan. Teraz jestem poirytowany, kiedy GPS zaprowadzi mnie dwie przecznice dalej.

Ale nie ma przewodnika, by trafić do drugiego człowieka. To jednak trudniejsze.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

REKLAMA

ANTYKWARIAT KWADRYGA

KUPI KSIĄŻKI, STARE POCZTÓWKI, MAPY, GRAFIKI. DOJEŻDŻAMY. TEL. 22 622 11 54

PAWEŁ

Śpiewak: *Omrydzi*

Omri (lub Amri) był szóstym królem Izraela, a jego ród panował ponad 40 lat. Wcześniej był dowódcą wojsk, ale lud wybrał go królem po śmierci kolejnego uzurpatora. Z Księgi Królewskiej dowiadujemy się, że panował lat 12, że kupił wzgórza Samarii i tam zbudował imponującą stolicę. Stworzył silne państwo, podporządkował sobie Moab, a o jego dokonaniach mówią także źródła pozabiblijne. Jak wszyscy władcy Izraela, ukazywany jest jednak w Księgach Królewskich jako ktoś, kto czynił zło przed Panem. Tron po nim przejął Achab, który również miał wywołać gniew Boga Jedynego. Achab wziął za żonę obcą kobietę, Jezabelę, córkę króla sydońskiego. Straszna to była kobieta i zła wiele uczyniła. Achab zetknął się z prorokiem Eliaszem i zmarł tak, jak mu wyprorokowano: psy wylizały jego krew. Był jeszcze król Jezebel, syn Achaba, ale też zginął marnie.

Opowieść o domu Omriego jest wyjątkowo żywa. Pełno w niej zbrodni, kłamstw, intryg, bałwochwalstwa. Wiemy, że za czasów tej dynastii Izrael obejmował całkiem znaczny kawał terytorium: sięgał królestwa Damaszku, obejmował północne ziemie obecnego Izraela i tereny należące do ludu Moabu (Zachodnia Jordania). Władcy zdołali stworzyć armię, która w sojuszu z innymi królestwami stawiła czoło nawale asyryjskiej. Ich państwo prześcignęło państwo judejskie i było jednym z najpotężniejszych na tym obszarze Bliskiego Wschodu. Samaria zbudowana przez Omriego musiała budzić podziw.

Wszystko wskazuje więc na to, że na miano sprawnego, dużego państwa zasługuje właśnie królestwo Izraela rządzone przez dynastię Omrydów – ale nic o tym w Biblii nie znajdziemy. Co gorsza: te wielkie, powstałe w IX w. budowle zostały błędnie i celowo przez autora/redaktora Pisma przypisane Salomonowi. Jeśli tak widzieć przeszłość, wtedy cały mit zjednoczonego królestwa pod berłem Dawida i Salomona się nie ostaje. Jest właśnie pięknym mitem, który daje się czytać nie tyle jako opis faktycznych zdarzeń, ale jako uzasadnienie ambicji króla Jozjasza z VII w. To za jego czasu zapewne spisano znaczną część historii Judy i Izraela, a zrobiono to w ten sposób, by dowieść, że marzenie Jozjasza o zjednoczeniu ziem południa i północy ma swoje uzasadnienie i antecedencje w wieku X, w panowaniu Dawida oraz Salomona. Pisarze królewscy idealizują przeszłość, by w utopijnej krainie szukać podstaw nowej władzy. Zarazem można podejrzewać, że niechęć biblijnego autora do Omrydów wynikała właśnie ze znaczenia i sukcesów tej rodziny. Całkowicie przerastali Judejczyków i przyznanie Judzie pierwszeństwa jest zabiegiem teologicznym, bez związku z faktami.

Gdy powstała Księga Królewska, wyrok na królestwo Izraela już zapadł. Kraj uległ zniszczeniu, ludność rozproszyła się, a ocaleli tylko ci, którym udało się uciec na południe i potem współtworzyć krótkotrwałe sukcesy królestwa Judy. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Oddaj życie*

„Popatrzcie, jaką miłością obdarzył nas Ojciec: że dziećmi Boga zostaliśmy nazwani – i nimi jesteśmy. Świat dlatego nas nie uznaje, że nie uznał Jego. Umiłowani, już teraz jesteśmy dziećmi Boga, a nie ujawniło się jeszcze, kim będziemy. Wiemy, że kiedy On się objawi, do Niego podobni będziemy, gdyż zobaczymy Go takim, jaki jest" – stwierdza Jan Apostoł. Może tak powiedzieć, gdyż mówi do przekonanych, już wierzących, że Jezus Nazarejczyk jest rzeczywiście tym, w którego słowach i czynach Bóg ukazał siebie, swój sposób myślenia i postępowania. Mówi do tych, którzy uwierzyli, że Bóg patrzy na nas jak ojciec i nie potrafi inaczej, nawet wtedy, gdy stajemy się jego wrogami. Udowodnił to Syn Boga – Jezus. W pierwszej modlitwie eucharystycznej o tajemnicy pojednania ogłaszamy: „Byliśmy umarli z powodu grzechu i niezdolni zbliżyć się do Ciebie, ale Ty dałeś nam najwyższy dowód swego miłosierdzia, gdy Twój Syn, jedyny Sprawiedliwy, wydał się w nasze ręce i pozwolił się przybić do krzyża". Dlatego Jezus ma prawo mówić o sobie: „Ja jestem dobrym pasterzem. Dobry pasterz poświęca swoje życie za owce".

Współcześnie istnienie, a tym bardziej działanie Boga przestało być oczywiste. Dlatego pierwszorzędnym zadaniem dzisiejszych apostołów Jezusa jest rozbudzenie w ludziach pragnienia Boga. Pod tym względem apostołowie mieli łatwiej, gdyż wiara w Boga była powszechnym zjawiskiem. Jeśli nad czymś się zastanawiano, to nad tym, w jakiego boga wierzyć, a wybór wcale nie był łatwy. Co prawda obecnie dzieje się podobnie, z tą różnicą, że dzisiejsi bogowie zeświecczeli, utracili charakter religijny. Jak więc mówić do nieprzekonanych, dla których Bóg nie tylko nie jest oczywistością, ale kimś zbędnym, niepotrzebnie komplikującym człowiekowi dążenie do szczęścia, do spełnienia, samorealizacji już zaraz, teraz i tutaj, a nie w jakichś tam zaświatach?

To poszukiwanie boga, który by nam pasował, stworzonego na nasz obraz i podobieństwo, nieobce jest również Kościołowi. James Martin SJ mówił, że nie może wyjść ze zdumienia, iż ci sami ludzie, którzy w czasie pontyfikatu Jana Pawła II i Benedykta XVI mówili nam, że niezgadzanie się z papieżem w jakiejkolwiek sprawie jest równoznaczne z grzechem, teraz, kiedy papieżem jest Franciszek, uważają, iż mogą się z nim nie zgadzać, a nawet być mu nieposłusznymi. Tak więc nasze przekonania też mogą stać się swoistymi bożkami, wpychającymi człowieka w błędne koło samozadowolenia.

Na szczęście istnieje Duch Święty i gdzieś tam, w głębi nas, wciąż istnieje coś takiego, co sprawia, że z przerażeniem, ze zdumieniem, ale i zawstydzeniem patrzymy np. na francuskiego policjanta Arnauda Beltrame'a, który oddał życie za życie zakładniczki. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Słowo – świadectwo – Duch

Tyś jest jednością,
wszystkim i niczym,
nie będąc jednością,
ani wszystkim. Jak Cię,
wieloimienny, zwać będę?

GRZEGORZ Z NAZJANZU

Wszystkie istoty pojawiają
się z Oddechu
i w Oddechu
ponownie znikają.

UPANISZADA CZHANDOGJA

W ubiegły czwartek liturgia dała nam słowo spójne i doniosłe. W Ewangelii (zob. J 3, 31-36) Jezus mówił o swojej misji, zleconej Mu przez Ojca. Ojciec posyła swego Syna na świat ze Słowem: „Ten bowiem, kogo Bóg posłał, mówi Słowa Boże". Słowo, które Jezus wypowiada w imieniu Ojca, wymaga od Jezusa osobistego potwierdzenia w świadectwie: „Świadczy On [Jezus] o tym, co widział i słyszał, a świadectwa Jego nikt nie przyjmuje. Kto przyjął Jego świadectwo, wyraźnie potwierdził, że Bóg jest prawdomówny".

Jezus nie tylko mówi prawdę zamkniętą w słowie, ale pokazuje ją swoim życiem. Nie tylko wypowiada słowo – jest słowem wcielonym. Słowo można wyczytać z Jego czynów.

A więc: słowo i świadectwo. Na tym jednak nie koniec, bo Jezus przynosi nam jeszcze dar (a właściwie: Dar) Ducha Świętego. Co więcej: jest to Dar, którego Ojciec udziela nam przez Jezusa „bez miary". Tak naprawdę dopiero przyjęcie przez nas Ducha Świętego i Jego intensywne działanie w nas otwierają na zrozumienie, akceptację i owocowanie w naszym życiu przekazanego nam słowa – uwiarygodnionego Jezusowym świadectwem.

Słowo – świadectwo – Duch. Tę samą triadę mogliśmy odnaleźć w pierwszym czytaniu, zaczerpniętym z Dziejów Apostolskich (zob. Dz 5, 27-33). Oto Piotr i Apostołowie stają przed Sanhedrynem. Staje się to dla nich okazją do głoszenia słowa – nie jakiegokolwiek słowa. To kerygmat. Wypowiedziany zwięźle i stanowczo, zakończony wezwaniem do nawrócenia. Wypowiedziawszy go, Piotr dodaje: „Dajemy temu świadectwo my właśnie oraz Duch Święty, którego Bóg udzielił tym, którzy są Mu posłuszni".

Misja Apostołów – jak widać – rządzi się tą samą logiką, co misja Jezusa. Trudno się dziwić. Przecież co do istoty to ta sama misja. Głoszą słowo, ale nie mogą Go nie potwierdzić życiem. Słowo bez świadectwa wydaje się teorią, abstrakcją, czczym idealizmem. Może być jeszcze gorzej: jeśli słowu towarzyszy antyświadectwo. Wtedy głoszenie ociera się o bluźnierstwo i cynizm. Ale – jak w przypadku Jezusa – również nauczanie i świadectwo apostolskie, by przyniosło plon, potrzebuje wody i ognia Ducha Świętego. Tak w przepowiadających, jak i w odbiorcach.

Tak też jest dzisiaj. W misji Kościoła. W naszym – w moim – przepowiadaniu. Ważne jest wypowiedzieć słowo: prosto, prawdziwie, z przekonaniem. Właśnie słowo, a nie coś innego... Ludzie zawsze z uwagą słuchają słowa. Argumentem dodającym słowu po naszej stronie wiarygodności jest świadectwo. Antyświadectwo może przetrącić (w tym momencie? na długo? na zawsze?) każde nauczanie – nawet najmądrzejsze...

Rozstrzygającym jednak o przyjęciu słowa i świadectwa jest działanie Ducha Świętego. Dlatego tak ważnym jest, by się modlić, jeśli chcemy otwierać innych na Bożą Prawdę. Modlić się o Dary Ducha Świętego dla nich. Modlić się za siebie, i prosić o tę modlitwę innych. Dlatego też czym innym jest katecheza, a czym innym przepowiadanie słowa w kontekście liturgii, albo przynajmniej we wspólnocie Kościoła na nawet najprostszej w formie modlitwie („gdzie dwóch albo trzech jest zebranych w imię moje – Ja jestem").

My siejemy – mówi św. Paweł – ale to Pan daje wzrost. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (22 – 29 IV)

4. Niedziela Wielkanocna:
Dz 4, 8-12; Ps 118;
1 J 3, 1-2; J 10, 11-18;
Poniedziałek, św. Wojciecha:
Dz 1, 3-8; Ps 126; Flp 1, 20c-30; J 12, 24-26;
Wtorek: Dz 11, 19-26; Ps 87; J 10, 22-30;
Środa: 1 P 5, 5b-14; Ps 89; Mk 16, 15-20;
Czwartek: Dz 13, 13-25; Ps 89; J 13, 16-20;
Piątek: Dz 13, 26-33; Ps 2; J 14, 1-6;
Sobota: Dz 13, 44-52; Ps 98; J 14, 7-14;
5. Niedziela Wielkanocna:
Dz 9, 26-31; Ps 22; 1 J 3, 18-24; J 15, 1-8.

Wybrał PIOTR SIKORA

DAMA Z SUSPENSEM

Opowieść o tym, w jaki sposób kolekcja Czartoryskich z daru dla społeczeństwa zmieniła się w towar, jest przygnębiającą historią o państwie, które rzeczywiście istnieje tylko teoretycznie.

MAREK RABIJ

Polacy, nic się nie stało – tak można streścić komunikat, który kilka dni temu opublikowało Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, odnosząc się do „nieprawdziwych informacji na temat zakupu Kolekcji Książąt Czartoryskich" krążących w przestrzeni publicznej.

Autorzy noty wyjaśniają, dlaczego wykupienie zbiorów z rąk fundacji było ich zdaniem optymalną decyzją, i zapewniają, że umowa zabezpieczyła Skarb Państwa przed ewentualnymi roszczeniami innych spadkobierców rodu Czartoryskich.

Rozczarowanie czeka jednak na każdego, kto szuka w tym komunikacie choćby zdania komentarza w sprawie, która po przeszło roku od tamtej transakcji ponownie przykuła do niej uwagę opinii publicznej: nieoczekiwanego zniknięcia z kont Fundacji Czartoryskich 441 mln zł zapłaconych przez Skarb Państwa za kolekcję.

Czy naprawdę nic się nie stało?

Dzień nadejdzie

29 grudnia 2016 r. minister kultury Piotr Gliński złożył podpis pod aktem zakupu przez Skarb Państwa kolekcji ponad 86 tys. dzieł sztuki i innych zabytkowych przedmiotów tworzących tzw. Kolekcję Czartoryskich, włącznie z najcenniejszą „Damą z gronostajem" Leonarda da Vinci. Dotychczasowy właściciel, Fundacja Książąt Czartoryskich, otrzymała za to równowartość 100 mln euro.

– Myślimy o rozwinięciu działalności prospołecznej i w dziedzinie kultury, oczywiście w kontekście dziejów rodziny Czartoryskich – wyjaśniał w imieniu władz fundacji Jan Lubomirski-Lanckoroński.

Niespełna rok później, 18 grudnia 2017 r., władze fundacji złożyły jednak w krakowskim sądzie wniosek o jej likwidację w związku z brakiem funduszy na działalność statutową. Pieniądze trafiły do Liechtensteinu, na konto nowej fundacji Czartoryskich Le Jour Viendra (fr. Dzień Nadejdzie), która – jak można przeczytać w oświadczeniu – „będzie kontynuować działania i projekty realizowane przez Fundację XX. Czartoryskich. Cele nowej fundacji są też zbieżne z celami Fundacji XX. Czartoryskich". Przelewy poszły również na konta trzech polskich fundacji: Trzy Trąby, Fundacji XX. Lubomirskich oraz Fundacji im. Feliksa hr. Sobańskiego. Były to darowizny „w uznaniu dokonań w obszarze kultury osób, które są związane z fundacją". Spośród wspartych instytucji, dwie pierwsze związane były z Maciejem Radziwiłłem i Janem Lubomirskim-Lanckorońskim, dwoma członkami zarządu Fundacji Czartoryskich, którzy objęli te stanowiska tuż przed zakupem kolekcji przez Skarb Państwa. Michał Jerzy Sobański, związany z trzecią fundacją, zasiadał z kolei w radzie Fundacji Czartoryskich.

W internecie i w mediach zawrzało. Zaskoczenie było tym większe, że o szczegółach tego transferu opinia publiczna dowiedziała się nie z pierwszej ręki, lecz od dziennikarzy. Wywołany do tablicy Adam Czartoryski zapowiedział w końcu, że w połowie kwietnia ujawni swoje plany odnośnie nowej fundacji. Na razie jego stara fundacja tłumaczy usilnie, że wybór Liechtensteinu był „podyktowany stabilnym otoczeniem prawnym, które w dużej mierze ułatwia zarządzanie majątkiem fundacji. Przepisy prawa, które funkcjonują w Polsce, a które zostały uchwalone jeszcze w okresie PRL, mają mankamenty, które skutecznie blokują rozwój fundacji z dużymi zasobami finansowymi".

Statuty czartoryskie

Czym zajmuje się w Polsce Fundacja Czartoryskich? Pierwszym z jej pięciu celów wspomnianych w aktualnym statucie jest „ochrona Muzeum i Biblioteki XX. Czartoryskich oraz nieruchomości wchodzących w skład majątku Fundacji w Krakowie i w Sieniawie – jako historycznej nierozerwalnej całości, jak również udostępnianie tych zbiorów społeczeństwu". Poza tym stawia na szeroko rozumianą działalność naukową i edukacyjną (z kształceniem studentów) oraz kulturalną (w tym również poprzez wsparcie finansowe organizacji prowadzących działalność w tym zakresie). Duże znaczenie w jej działalności ma mieć również „ochrona dziedzictwa kulturalnego w Polsce i za granicą", ze szczególnym uwzględnieniem „dziedzictwa I Rzeczypospolitej związanego z rodzinami magnacko-arystokratycznymi

DAN KITWOOD / GETTY IMAGES

„Dama z gronostajem" na wystawie w Londynie, 2012 r.

(w szczególności Rodziną Czartoryskich lub rodzinami spokrewnionymi)".

Podobne brzmienie mają cele statutowe fundacji Le Jour Viendra, zarejestrowanej w Liechtensteinie w listopadzie ub.r. Lektura profilu statutowego, który można znaleźć choćby za pośrednictwem wywiadowni gospodarczych, pokazuje jednak pewne różnice. W drugim statucie nie ma już mowy o ochronie krakowskiego muzeum i biblioteki, która przez lata stanowiła rację bytu polskiej fundacji. Dużo miejsca statut Le Jour Viendra poświęca za to rozmaitym formom wspierania i zachowywania „dziedzictwa kulturowego, w szczególności rodzin arystokratycznych w Polsce i za granicą (w szczególności rodziny założyciela, rodzin beneficjentów lub rodzin związanych z beneficjentami) oraz zabezpieczani[a] dziedzictwa i historii". Fundacja w Liechtensteinie ma dbać m.in. o konserwację zabytków historycznie związanych z rodami fundatora i jej beneficjentów, realizować programy edukacyjne na terenach wiejskich oraz fundować stypendia osobom wywodzącym się z byłych polskich Kresów Wschodnich.

Fundator i fundacja

Zatrzymajmy się na chwilę przy tajemniczych beneficjentach, o których wspominają dokumenty Le Jour Viendra. To wymienione zapewne z nazwiska osoby, uprawnione do korzystania z pomocy fundacji. W statucie polskiej Fundacji Czartoryskich podobnego zapisu brak, gdyż w świetle rodzimego prawa działalność fundacji musi mieć charakter społecznie użyteczny, a co za tym idzie – nie może faworyzować konkretnych osób, zwłaszcza z rodziny fundatora. Nie wiadomo, czy właśnie to miał na myśli zarząd Fundacji Czartoryskich mówiąc o „mankamentach" prawnych, które skutecznie blokują nad Wisłą rozwój fundacji o dużych zasobach finansowych, nie ulega jednak wątpliwości, że statut polskiej Fundacji Czartoryskich i polskie otoczenie prawne praktycznie wyłączały tę rodzinę z grona jej potencjalnych beneficjentów. Statut Le Jour Viendra już tego nie wyklucza, choć trzeba zaznaczyć, że nie skazuje też fundacji w Liechtensteinie na działalność skoncentrowaną na jej beneficjentach i rodzinie samego fundatora.

Czy podobieństwa obu statutów były dostateczną przesłanką, by część (wciąż nie wiadomo, jak dużą) majątku polskiej Fundacji Czartoryskich przekazać następczyni w Liechtensteinie? Czy kryteria działalności statutowej spełniły również darowizny dla trzech fundacji polskich arystokratów współpracujących z Czartoryskimi przy sprzedaży krakowskiej kolekcji?

Właśnie to powinno stać się teraz przedmiotem wnikliwej analizy. Polskie prawo o fundacjach, podobnie jak w innych krajach, wyraźnie oddziela bowiem majątek fundatora od majątku samej fundacji. ↦

↦ 441 mln zł, które Skarb Państwa zapłacił za kolekcję Czartoryskich, stały się własnością Fundacji Czartoryskich, a nie rodziny, która tę fundację utworzyła. Co więcej, pieniądze te mogły być następnie wydane jedynie na cele statutowe fundacji.

Stąd już blisko do kolejnego pytania: czy realizacją celu statutowego jest również przekazanie pieniędzy innej fundacji na zbliżony cel? Fundacje zarejestrowane w Polsce składają sprawozdania z działalności, w których rozliczają się ze zrealizowanych zadań. Czy zatem przelew na konto zagranicznej fundacji, która ma z tych pieniędzy ufundować np. stypendia, polska fundacja może opisać w sprawozdaniu jako ufundowanie stypendiów? W tym przypadku o terminie wypłaty zdecyduje przecież fundacja zagraniczna, niepodlegająca polskiemu nadzorowi.

Wbrew pozorom, są to pytania istotne, bo przybliżające do odpowiedzi na pytanie, czy zarząd Fundacji Czartoryskich mógł – jak sam twierdzi – oddać innym podmiotom lwią część pieniędzy należących do tej instytucji, a następnie uznać to za przesłankę do likwidacji fundacji. Nie wiadomo, w jaki sposób zinterpretował to krakowski sąd, który kilkanaście dni temu (warto podkreślić, że na niejawnym posiedzeniu) oddalił wniosek Fundacji Czartoryskich o jej likwidację. Wnioskodawcy – jak zdradziła jedynie rzeczniczka krakowskiego sądu okręgowego, sędzia Beata Górszczyk – nie udowodnili, że doszło do wyczerpania zasobów finansowych i majątku fundacji.

Co rok to statut

Pewne jest natomiast co innego – specyficzne *joint venture*, które Skarb Państwa stworzył w 1991 r. z Fundacją Czartoryskich, przedstawiciele strony rządowej przez lata traktowali jak uciążliwy obowiązek. Fundacja udostępniła kolekcję w zamian za pokrycie kosztów jej utrzymania i konserwacji. Skarb Państwa łożył na to przez lata, nie dostrzegając, że jego głos w fundacji znaczy coraz mniej. Aż wreszcie przestał znaczyć cokolwiek.

Lektura kolejnych wersji statutu Fundacji Czartoryskich to przygnębiające studium lekkomyślności rządzących od lewej do prawej strony polskiej sceny politycznej. Opozycja, która dziś aż rwie się do krytykowania ministra kultury za nabycie kolekcji od lat pozostającej pod kontrolą państwa, a następnie za dopuszczenie do transferu majątku fundacji za granicę, zachowuje się dziś tak, jakby do pierwszej ważnej zmiany w dokumentach statutowych Fundacji Czartoryskich doszło dopiero za kadencji Piotra Glińskiego. 9 grudnia 2016 r. ze statutu wykreślono istotnie dwa ważne punkty, uniemożliwiające sprzedaż kolekcji oraz jej rozdzielenie. O tym, że wykupienie zbiorów zyskało w ogóle rację bytu, zadecydowały jednak wcześniejsze zmiany.

Adam Czartoryski na otwarciu wystawy w Berlinie, 2011 r.

Nowelizacja w 2003 r. (za rządów koalicji SLD-UP) rozszerzyła dostęp do organów statutowych fundacji, wcześniej zarezerwowanych dla reprezentantów państwa i samych Czartoryskich, na przedstawicieli rodzin spokrewnionych z tym rodem.

Po kolejnej zmianie, z października 2005 r. (tuż po wygranej PiS) ze statutu znikł zapis o tym, że fundator przekazuje całość „zbiorów i nieruchomości stanowiących Muzeum i Bibliotekę XX. Czartoryskich ustanowionej przeze mnie wieczystej fundacji", a „od tego czasu Muzeum i Biblioteka XX. Czartoryskich stanowią instytucję i własność publiczną, utrzymywaną przez Państwo Polskie". Zastąpił go *passus*, w którym fundator Adam Czartoryski potwierdzał jedynie, że „własność tę [czyli kolekcję Muzeum i Biblioteki Czartoryskich – red.] przekazuję obecnie ustanowionej przeze mnie wieczystej fundacji".

We wrześniu 2007 r. (to już schyłek rządów PiS) pełna nazwa: Fundacja XX. Czartoryskich przy Muzeum Narodowym w Krakowie zmieniła się po prostu na Fundację XX. Czartoryskich. W całości wyparował ze statutu również artykuł 11., zgodnie z którym zarządzaniem zbiorami i nieruchomościami należącymi do fundacji miało się zajmować Muzeum Narodowe w Krakowie.

W październiku 2011 r. (tuż po przedłużeniu mandatu koalicji PO-PSL) do statutu wróciła wprawdzie wzmianka o tym, że majątek fundacji stanowi „historyczną nierozerwalną całość", dodano jednak do niego również, że instytucja ta realizuje swoje cele także poprzez „odpłatne wypożyczanie na wystawy" swoich zbiorów. Kolejne wersje dokumentu wprowadziły z kolei możliwość likwidacji „wieczystej" do tej pory fundacji.

Państwo w defensywie

Na wszelkie korekty brzmienia statutu musiał wyrazić zgodę najpierw zarząd fundacji, a po zmianie – jej rada. Problem w tym, że jeszcze poważniejsze zmiany nastąpiły także w układzie sił we władzach fundacji. W pierwszej wersji statutu z 1991 r. w zarządzie zasiadali głównie ludzie wskazani przez fundatora, ale prezesem miał być każdorazowy dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie. Radę nadzorczą fundacji tworzyli natomiast sami przedstawiciele instytucji publicznych – plus sam fundator.

W kolejnych wersjach statutu liczba stanowisk zastrzeżonych dla strony państwowej sukcesywnie malała. Po noweli z 2011 r. zarząd składał się już z prezesa i dwóch członków, wśród których musiał znaleźć się dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie. O składzie zarządu decydowała natomiast rada fundacji, która składała się z fundatora w roli prezydenta, pięciu osób z rodziny Czartoryskich lub spokrewnionych z nią rodów oraz od jednego do maksymalnie pięciu innych osób,

powołanych przez fundatora i pozostałych członków rady, wśród których tylko jedno miejsce jest statutowo zarezerwowane dla przedstawicieli publicznych instytucji kulturalnych. W ostatniej wersji statutu, z lipca 2017 r., w radzie nie ma już nawet tej jednej rezerwacji dla przedstawiciela Skarbu Państwa. To, czy w organach fundacji, mogących zmieniać jej statut, znajdzie się ktoś jeszcze poza przedstawicielami Czartoryskich, decydują wyłącznie Czartoryscy.

Imposybilizm władzy – by użyć ulubionego terminu Jarosława Kaczyńskiego – w stosunku do tej fundacji jest zadziwiająco trwały. Politycy partii, która nieufność do własności prywatnej i sektora pozarządowego ma wpisaną w ideologiczny genotyp (przypomnijmy słowa Lecha Kaczyńskiego, że „jeśli ktoś ma pieniądze, to skądś je ma"), w relacjach z arystokratami nagle tracą całą zdrową podejrzliwość. Ta sama władza, która uwielbia odgrywać rolę srogiego szeryfa w kolejnych miasteczkach, tym razem z góry zakłada, że nie istnieją powody do choćby rutynowej kontroli proceduralnej strony przeniesienia portfela Fundacji Czartoryskich do Liechtensteinu. Nie chce nawet zdradzić podatnikom, skąd czerpie tę pewność.

– Jeżeli macie państwo jakieś wątpliwości co do tego, w jaki sposób te środki przez fundację są spożytkowane, transferowane, rozczłonkowywane na jakieś inne fundacje, to są to pytania do tych fundacji – poradził w zeszłym tygodniu opinii publicznej wiceminister kultury Jarosław Sellin.

Bez względu na finał tej sprawy, jej konsekwencje dla państwa prawa będą opłakane. Mniejsza o to, że minister Gliński nazywa pieniądze fundacji „prywatnymi", jakby nie zdawał sobie sprawy, jak wielu Polaków nadal nie dostrzega różnicy między majątkiem fundacji a osobistym majątkiem jej fundatora – albo jakby on sam miał z tym problem. Nie chodzi nawet o utrwalenie i tak zakorzenionego w Polsce przekonania, że w obliczu prawa są równi i równiejsi. Jednych władza sprawdza, bo może. Innym nie zadaje żadnych pytań, bo nie musi.

Bardziej destrukcyjna może okazać się lekcja lekceważenia, udzielona przez rząd obywatelom, którzy zareagowali należycie na co najmniej niecodzienny rozwój scenariusza z publicznymi pieniędzmi w roli głównej.

W odpowiedzi słyszą nadal: Polacy, nic się nie stało. ©℗ MAREK RABIJ

TOBIAS SCHWARZ

Maciej Radziwiłł: List do redakcji

Podczas prac nad artykułem poprosiliśmy o rozmowę przedstawicieli Fundacji XX. Czartoryskich. Reprezentujący ją Maciej Radziwiłł nie mógł się spotkać z „Tygodnikiem", przesłał za to list do autora, komentujący naszą publikację sprzed dwóch tygodni. List publikujemy bez skrótów.

Dziękuję Panu za zainteresowanie Fundacją.

Chętnie się z Panem spotkam, jednak zanim to nastąpi, stanowczo domagam się sprostowania nieprawdziwej informacji, jakoby Liechtenstein był rajem podatkowym. Ta fałszywa informacja jest podawana przez wielu publicystów, którzy cenią sobie naszą przynależność do UE. Niech Pan zada sobie trochę trudu i sprawdzi, że kraj ten nie jest uznawany za raj podatkowy według oficjalnego stanowiska UE. Wyjaśniam zatem, że raj podatkowy to państwo, które stosuje nieuczciwą konkurencję podatkową, a przede wszystkim nie przekazuje informacji podatkowych do krajów, w których osoba działająca na terenie państwa jest podatnikiem. W Liechtensteinie, przykładowo, jeżeli osiągnę dochód jako osoba zasiadająca we władzach fundacji, właściwy dla mojego zamieszkania US otrzyma dokument roczny podobny do znanego wszystkim formularza PIT-11, który polscy pracodawcy przesyłają do urzędów skarbowych w miejscu zamieszkania pracowników. Stanie się tak dlatego właśnie, że to niewielkie państwo nie jest rajem podatkowym. Niestety kiedy obali się tezę, że Liechtenstein jest rajem podatkowym, Pana artykuł sprzed tygodnia traci jakikolwiek sens.

Jestem zbulwersowany Pana artykułem także dlatego, że wyraża Pan wątpliwość, czy przelanie środków do Fundacji Le Jour Viendra w Liechtensteinie było zgodne z prawem. Po co pisać takie rzeczy? Nawet Pan nie był łaskaw napisać z jakim prawem, z jaką ustawą czy innym przepisem. Jeżeli ma Pan wątpliwości, czy przelew zgodny był z prawem, to ja, jako czytelnik renomowanego tygodnika, domagam się, aby Pan najpierw upewnił się, a potem coś pisał na ten temat.

W Pana tekście pojawiły się swoiste rady, co fundacja w Liechtensteinie mogłaby zrobić, by fundator mógł mieć osobistą korzyść z pieniędzy. To w istocie rzeczy insynuacje, oskarżenie kogoś o coś, co być może mógłby zrobić, ale nie zrobił jeszcze. Jeżeli ma Pan jakąś wiedzę o funkcjonowaniu fundacji w Polsce, to powinien Pan wiedzieć, że i fundacja polska mogłaby kupić sobie jakiś ładny dom lub nawet przekazać pieniądze bezpośrednio na rachunek bankowy Adama Karola Czartoryskiego tytułem darowizny tak sformułowanej, że nikt by do tego nie mógł się przyczepić. Pan zaś w swoim artykule sugeruje, że przelew do fundacji w Liechtensteinie temu służył. Zapewniam Pana, że prawodawstwo w Liechtensteinie jest bardzo precyzyjne i nie pozwala na wydatkowanie pieniędzy inaczej niż w zgodzie ze statutem. Statut Fundacji Le Jour Viendra jest bardzo podobny do statutu Fundacji XX Czartoryskich, a lista celów statutowych dostępna jest w internecie.

Rzecz polega na tym właśnie, że polskie prawo o fundacjach praktycznie nie istnieje. Ustawa roku 1984, która była w czasach III RP zmieniana tylko bardzo powierzchownie, tworzy ryzyko różnych interpretacji, a nawet samowoli zarówno wewnątrz fundacji, jak i w jej otoczeniu. Ustawa o fundacjach liczy 20 artykułów, z tego nie wszystkie merytoryczne, Kodeks Spółek Handlowych regulujący funkcjonowanie podobnych bytów zawiera artykułów 633. Orzecznictwo w różnych sądach jest różne. Ustawa o fundacjach przewiduje, że fundację można zlikwidować z powodu wyczerpania środków lub wyczerpania celów. Nie przeszkodziło to Sejmowi RP zlikwidować pewną fundację w roku 2002 w drodze innej ustawy, bo uznano, że nie jest już potrzebna, chociaż ani cele tej fundacji, ani środki nie wyczerpały się. Co ciekawe, fakt ten chyba nawet ↦

↦ nikogo specjalnie nie zbulwersował. Jednocześnie warto przypomnieć, że jest kilka fundacji, które koncentrują swoją działalność charytatywną i kulturalną na Polsce, a są zarejestrowane właśnie w Liechtensteinie. O tym Pan nie pisze.

W tekście zastanawia się Pan, czy Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego wiedziało i czy zezwoliło na transfer. Dziwne. Myślałem, że „Tygodnik Powszechny" raczej obawia się, by rząd PiS-u nie ingerował zbyt głęboko w to, co czynią obywatele RP i sektor NGO. Dziwi mnie, że *implicite* uważa Pan, że nadzorujący fundację minister powinien wyrażać zgodę na każde jej większe poczynania. Czy wolność, o którą walczycie słusznie, nie dotyczy przypadków, które Panu nie podobają się?

Pana kolejna publikacja przywołuje sensacyjną wycenę kolekcji z połowy lat 90. Pisze Pan, że szacowano wtedy wartość kolekcji na 2,5-3 miliardy złotych. Kwestionuje Pan podawaną przez Fundację i MKiDN wycenę na poziomie około 10 mld zł. Nie dał Pan słowa komentarza, że przez te 23 lata ceny dzieł sztuki poszły do góry znacznie szybciej niż skumulowana inflacja mierzona wskaźnikami CPI. Sama zaś skumulowana inflacja od początku 1995 jest wyższa niż 200 proc., innymi słowy ceny w tym okresie średnio potroiły się. Dodajmy, że przedmiotem transakcji była nie tylko kolekcja dzieł sztuki, ale także biblioteka licząca 250 tysięcy woluminów, wyceniane na kilkadziesiąt milionów nieruchomości w centrum Starego Miasta Krakowa (przekazane jako darowizna), roszczenie do pałacu i parku w Sieniawie, a także prawo do przejęcia utraconych w czasie II wojny światowej dzieł, w tym portret młodzieńca malowany przez Rafaela lub Giulio Romano. Nie wiem, jak by te wszystkie korekty wpłynęły na zaktualizowaną wycenę uzupełnioną o elementy nieuwzględnione w wycenie z połowy lat 90. Po uwzględnieniu wszystkich tych elementów może będzie Pan mógł mimo wszystko ogłosić, że rabat nie wyniósł 95 proc., a „tylko" np. 93,5 proc. W stosunku do zaktualizowanej wyceny. Będzie mógł Pan ogłosić, że minister Piotr Gliński i Adam Karol Czartoryski kłamali. Pana „odkrycie" stanie się przedmiotem analizy CBA i innych służb.

Najbardziej martwi mnie nie tyle poziom publikacji na temat Fundacji XX Czartoryskich, jakie ukazały się w mediach polskich w ostatnich tygodniach, ale fakt, że po przetłumaczeniu czyta je Adam Karol Czartoryski. Po przeczytaniu Pana publikacji i kilku innych dziennikarzy, także z pism opiniotwórczych, Adam Karol zadał mi pytanie: co ja takiego zrobiłem? Podejrzewa się mnie o korupcję. Wraca się do tematu pochodzenia kolekcji z pieniędzy z wyzysku chłopów, chociaż nawet komuniści po 1945 roku nie skonfiskowali kolekcji. Wmawia się ludziom, że kolekcja nie była nigdy moją własnością. Pisze się, że wysłałem pieniądze do podatkowego raju. Powtarza się, że nie warto było kupować kolekcji nawet za kilka procent wartości. Podejrzewa się, że wpływ na transakcję miał fakt, że jeden z członków zarządu ma brata, który był ministrem zdrowia. Przecież różni poprzednicy ministra Glińskiego też byli zainteresowani kupnem kolekcji. Adam Karol Czartoryski nie pojmuje, dlaczego sprawa zakupu kolekcji stała się przedmiotem walki politycznej. A potem mnie pyta: czy w ogóle warto dawać jakieś środki na kulturę polską? Przecież cokolwiek zrobi, to i tak zostanie to zohydzone, upolitycznione, uznane za nieznaczący gest, listek figowy zasłaniający jego chciwość, ochłap rzucony pod presją opinii. Mam trudności, by mu to wszystko wytłumaczyć.

Życzę Panu większych publicystycznych sukcesów niż Pana dotychczasowe publikacje na temat Fundacji XX Czartoryskich.

Pozdrawiam, MACIEJ RADZIWIŁŁ
12 kwietnia 2018

Od autora:
Dziękuję za list, choć mam niestety wrażenie, że pomylił Pan adresatów.

Zaczyna Pan od żądania sprostowania informacji, zawartej jakoby w moim tekście, że Liechtenstein to raj podatkowy. Podobnie jak Pan, znam definicję raju podatkowego, dlatego w moich publikacjach o Fundacji Czartoryskich ani razu nie użyłem tego terminu w odniesieniu do Liechtensteinu. Omawiając w artykule „I nadszedł ten dzień" („TP" 15/2018 – powszech.net/czartoryscy) praktykę zakładania tzw. fundacji dyskrecjonalnych prawa Liechtensteinu zauważyłem tylko, że księstwo to cieszy się opinią jednego z najbardziej przyjaznych miejsc dla tzw. optymalizacji podatkowej. Jako były pracownik szwajcarskiego sektora bankowego wie Pan zapewne, że w odróżnieniu od tzw. agresywnej optymalizacji podatkowej (czyli unikania podatku) tego typu działania polegają na obniżaniu podatku za pomocą legalnych operacji księgowych – choć oczywiście budzą często wątpliwości natury etycznej.

Proszę więc nie dziwić się zaskoczeniu, z jaką część opinii publicznej (ze mną włącznie) przyjęła informację o przeniesieniu portfela Fundacji Czartoryskich do księstwa, którego gospodarka bazuje w dużej mierze właśnie na zyskach z optymalizacji podatkowej, a prawo pozwala na prowadzenie fundacji prywatnych, których jedynym celem jest dbanie o finanse fundatora i (lub) jego rodziny. Polska ustawa o fundacjach z 1984 r., którą Pan tak krytykuje za anachroniczność (*nota bene*, akt doczekał się już ośmiu nowelizacji, nie jest więc reliktem prawnym epoki komunizmu), nie daje takiej możliwości. *Dura lex, sed lex*. Dlatego z najwyższym zdumieniem przeczytałem fragment listu, w którym zauważa Pan, iż nawet w reżimie polskiego prawa Fundacja Czartoryskich mogłaby wypłacać pieniądze bezpośrednio Adamowi Czartoryskiemu „tytułem darowizny tak sformułowanej, że nikt by do tego nie mógł się przyczepić".

Wspomina Pan wreszcie, że Adam Karol Czartoryski ubolewa nad reakcją mediów i części polskiej opinii publicznej na jego ostatnie działania, dziwią go m.in. pytania o wycenę transakcji. Tę samą wycenę, którą i Pan (choćby ostatnio w wywiadzie dla Money.pl), i minister Gliński systematycznie podsuwa opinii publicznej, niestety bez podania źródła! Stwierdza Pan nawet kategorycznie, że ją kwestionuję. Przykro mi, ale nie da się kwestionować wyceny, nie znając jej metodologii i pochodzenia, a tymi informacjami ani Fundacja, ani minister kultury nie chcą się z podatnikami podzielić.

Zamiast nich, wtajemnicza nas Pan za to w nastroje Adama Karola Czartoryskiego. Być może odrobinę ulgi przyniesie więc Księciu wyjaśnienie, że ludzie żyjący z pracy własnych rąk szanują pieniądze i chcą znać wartość przedmiotów, których zakup finansują swoimi podatkami.

©℗ MAREK RABIJ

KRYSTIAN MAJ / FORUM

Inauguracja kampanii PO na temat nagród ministrów w rządzie Beaty Szydło, Warszawa, 14 marca 2018 r.

Godzina populistów

PAWEŁ MARCZEWSKI

Spadek notowań PiS to zła wiadomość nie tylko dla obozu władzy, ale i dla polskiej demokracji.

Kiedy „Fakty" TVN-u upubliczniły wyniki sondażu, który na zlecenie programu zrealizowała firma Kantar Millward Brown, polską sceną polityczną zatrzęsło. PiS uzyskał w nim 28 proc. poparcia i choć nie jest to najniższy wynik od objęcia rządu przez tę partię (np. 11 października 2016 r., w szczycie afery Misiewicza, w badaniu firmy Pollster uzyskała 24 proc.), to po pierwsze jest to spadek raptowny, po drugie idący w parze ze znaczącym wzrostem poparcia dla partii opozycyjnych, zarówno parlamentarnych (PO 22 proc. i Kukiz'15 10 proc.), jak i pozaparlamentarnych (szczególnie dobry rezultat SLD – 9 proc.).

Początkowo ludzie PiS próbowali wynik dezawuować, ale po wezwaniu prezesa Jarosława Kaczyńskiego, by ministrowie rządu Beaty Szydło przeznaczyli swoje nagrody na Caritas, i zapowiedzi obcięcia pensji posłom, senatorom oraz włodarzom miast i wsi, nie ulega wątpliwości, że wynik sondażu Kantar potwierdziły też badania realizowane na użytek partii.

Prezes Kaczyński, choć początkowo w głośnym wywiadzie dla tygodnika „Sieci" bronił rządowych nagród, zorientował się najwyraźniej, że kryzys wizerunku partii wywołany przez premie dla ministrów podkopuje poparcie dla partii rządzącej również wśród jej dotychczasowych zwolenników. Co więcej, w odróżnieniu od niektórych wcześniejszych wahnięć poparcia dla partii rządzącej, tym razem spadek idzie w parze ze wzrostem dla politycznych przeciwników, również tych, którzy – jak SLD – do niedawna w ogóle się nie liczyli. To z kolei oznacza, że sprawa pazerności rządu ma potencjał poruszania również tych grup wyborców, którzy wcześniej byli zdemobilizowani.

Choć opozycja zaciera ręce i przechodzi do medialnej ofensywy, osłabienie pozycji partii rządzącej, podyktowane rozsierdzeniem Polaków na zbyt wysokie ich zdaniem zarobki polityków, może w dłuższej perspektywie przynieść poważne szkody polskiemu systemowi demokratycznemu. Zagrożeniem jest populistyczna, nieprzemyślana reakcja partii władzy na zachwianie jej pozycji, ale i równie populistyczna odpowiedź opozycji.

Dyskusja publiczna o pieniądzach w polskiej polityce nigdy nie była merytoryczna. Zawsze dominowały w niej emocje wyborców i partykularne interesy poszczególnych ugrupowań. Sprawa nagród dla rządu i niekonsekwentna, pełna paniki reakcja PiS tylko słabość tej debaty pogłębią. Niestety, pierwsze reakcje opozycji, która usiłuje na tej sprawie zbić łatwy kapitał, też nie zwiastują przełomu – raczej regres. ↦

Konwój zamiast debaty

W odpowiedzi na spadek poparcia dla PiS Grzegorz Schetyna mówił o „patologiach, do których doprowadziły rządy PiS w kwestiach wypłacania sobie wielomilionowych nagród, premii, podwyżki uposażeń, niekontrolowanego skoku na kasę". Propozycją Platformy, jak uporać się z tymi „patologiami", nie jest jednak rzeczowa debata o finansowaniu polityki, czyli o tym, jak zapewnić politykom niezależność finansową, która pozwoli im oprzeć się naciskom nie tylko lobbystów, ale i własnego aparatu partyjnego, a rządowi umożliwi pozyskiwanie do ministerstw świetnych specjalistów. Zamiast tego w Polskę ruszył sfinansowany przez PO „Konwój wstydu": parada obwoźnych billboardów przedstawiających ministrów rządu Beaty Szydło obok kwot otrzymanych przez nich nagród. Całość opatrzono aż nazbyt prostym hasłem „Wstyd – oddajcie kasę".

Być może niektórzy uznają, że to mało finezyjne, ale przynajmniej skuteczne zagranie polityczne. Problem w tym, że PO strojąca się w szaty Kukiz'15 i formułująca własną wersję kukizowskiego „oddajcie za ośmiorniczki" wypada mało wiarygodnie. Takie działania mogą przynieść chwilowy wzrost popularności, ale prowadzą do licytacji na to, kto wyciągnął podatnikom z kieszeni więcej pieniędzy.

Ponadto ludzie Platformy winni dobrze pamiętać czasy, kiedy prasa bulwarowa i opozycja ich samych rozliczała z nagród i premii. „Od początku rządów Platformy Obywatelskiej na nagrody w ministerstwie i kancelarii premiera poszło już 473 mln złotych" – grzmiał „Fakt" w lipcu 2013 r. W efekcie nakręcona zostanie spirala niekonstruktywnego sporu pod hasłem „wszyscy kradną", która ani na jotę nie przybliży nas do bardziej przejrzystego systemu wynagradzania funkcjonariuszy publicznych.

Rozgrywki o subwencje

Oskarżanie politycznych oponentów o wykorzystywanie urzędów do bogacenia się to w demokracjach nic nowego. Specyficzny problem polskiej demokracji polega jednak na tym, że w ślad za podobnymi oskarżeniami idą populistyczne próby wprowadzania nowych, systemowych rozwiązań. Nie wystarcza rozliczenie tego czy innego polityka, który zataił dochody, przyjął łapówkę lub dopuścił się kumoterstwa. Trzeba od razu obiecać uzdrowienie całej polskiej polityki dzięki prostym, całościowym i nieprzemyślanym rozwiązaniom.

Platforma też ma swoją historię zgłaszania populistycznych pomysłów, które za jednym zamachem miały uzdrowić politykę z korupcji, a w rzeczywistości tylko wymuszały większe kombinatorstwo i szukanie sposobów na sprytniejsze ukrycie korzyści czerpanych ze stanowisk. Konikiem Platformy były subwencje. W 2009 r. partia zapowiadała ich zawieszenie do końca 2010 r., ostatecznie przeforsowała obcięcie ich o połowę, wywołując zresztą ostre protesty PSL, ówczesnego koalicjanta.

W 2013 r. Solidarna Polska, wówczas jeszcze niewchodząca w skład koalicji wyborczej z PiS, rzuciła pomysł zawieszenia finansowania partii z budżetu w latach 2014-15, czyli w okresie wyjątkowo długiego cyklu wyborczego. Ugrupowanie Zbigniewa Ziobry miało w tym wyraźny interes – liczyło na zwiększenie szans w spodziewanym starciu z PiS, utrzymującym swoją machinę przede wszystkim dzięki subwencjom. PO, ówczesnej partii władzy, byłoby o wiele łatwiej załatać dziury w budżecie wpłatami od zamożnych donatorów liczących na korzyści i sprzyjające ustawodawstwo. Platforma dobrze o tym wiedziała, dlatego od razu postanowiła przelicytować pomysł Solidarnej Polski. „Skoro Solidarna Polska chce tylko zawiesić finansowanie partii z budżetu, to my przygotujemy własny projekt, by w ogóle zlikwidować subwencje budżetowe" – mówił wówczas „Gazecie Wyborczej" ówczesny szef klubu PO Rafał Grupiński.

Pomysły obcięcia dochodów partiom, które od lat należą do instytucji życia publicznego cieszących się najmniejszym zaufaniem Polaków, zawsze przynoszą krótkotrwały wzrost popularności i wzbudzają chwilowe zainteresowanie mediów. Nie brakuje dziennikarzy przyklaskujących każdej takiej próbie i nawołujących do niepoddawania się szantażowi kasty polityków, stawiającej podatnikom ultimatum „Albo będziecie nas utrzymywać, albo znajdziemy sobie pieniądze u biznesmenów i zrobimy prawo pod nich". Korupcja polityczna to jednak całkiem realne zagrożenie i banalizowanie go za pomocą haseł o szantażu wobec podatników nie sprawi, że stanie się mniej groźne.

Niestety, demokratyczne instytucje, aby działały, muszą kosztować, a żeby były niezależne, muszą kosztować nas wszystkich. Jeśli się z tym nie zgadzamy, równie dobrze moglibyśmy powierzyć organizację wyborów prywatnej firmie, która sfinansuje ich przeprowadzenie, a w zamian za to umieści na kartach do głosowania swoje logo i zastąpi komisję wyborczą swoimi ludźmi. Takie wybory pozwolą podatnikom sporo zaoszczędzić, ale na pewno nie będą wolne i uczciwe.

Prawdziwe wyzwanie polega zatem nie na tym, aby odciąć demokracji publiczne finansowanie, ale na tym, jak zapewnić, by finansowano ją w sposób przejrzysty i łatwiejszy do kontrolowania przez wyborców. Znamienne, że te same siły polityczne (czyli poza PSL właściwie wszystkie partie parlamentarne), które ochoczo zgłaszają pomysły ograniczenia partiom i politykom dostępu do publicznych pieniędzy, mają wyjątkowo mało do powiedzenia, jeśli chodzi o przejrzystość finansowania demokratycznej polityki.

Słabość PiS a siła opozycji

Wróćmy jednak do sondażu, który wywołał tąpnięcie na scenie politycznej. Wziąwszy pod uwagę, że zdecydowana większość respondentów we wszystkich badaniach opinii opowiada się za obcięciem partiom subwencji, a uposażenia posłów i senatorów budzą powszechny resentyment, spadek poparcia dla partii rządzącej łatwo wyjaśnić nagrodami w rządzie Beaty Szydło. Trudniej natomiast wyjaśnić duży wzrost poparcia zarówno dla PO – partii, której politycy również nie wzdragali się przed przyznawaniem nagród i premii, kiedy byli u władzy – oraz SLD, które utraciło w 2005 r. władzę po jednej z najgłośniejszych afer korupcyjnych w historii III RP. Pazerność polityków jako motywacja wyborcza wydawałaby się być adekwatnym paliwem tylko dla Kukiz'15, a jednak w sondażu firmy Kantar ugrupowanie to uzyskało 10 proc. poparcia, czyli niewiele ponad 1 proc. powyżej wyniku wyborczego z 2015 r.

Zmian preferencji wyborczych, które potwierdził również kolejny sondaż, tym razem zrealizowany przez IBRiS, lepiej zatem nie sprowadzać wyłącznie do kwestii rządowych premii. Rząd otworzył jednocześnie po raz kolejny front ostrego konfliktu ze społeczeństwem o ustawę aborcyjną, w dodatku odpowiadając bezpośrednio na wezwanie biskupów do zaostrzenia prawa, co połączyło sprzeciw wobec zmian w ustawie ze wzmożoną falą antyklerykalizmu. Gniew ukierunkowany w ten sposób to dla SLD natu-

ralny kapitał i sondaż IBRiS przynosi tej partii już ponad 12 proc. poparcia. Z punktu widzenia kwestii praw reprodukcyjnych nie ma znaczenia to, że jakikolwiek pryncypializm Sojuszu wobec nagród dla rządu Szydło byłby mało wiarygodny i nie przypadkiem ta partia zdecydowała się zachować, w przeciwieństwie do Platformy, daleko idącą powściągliwość.

Powrót Sojuszu do politycznej gry to istotna lekcja dla całej opozycji. Nie wystarczy punktowanie pazerności, korupcji czy braku praworządności PiS – tego typu działania przynoszą chwilowy zysk, ale przekładają się raczej na spadek poparcia partii rządzącej niż na trwały wzrost poparcia dla partii opozycyjnych. Na dowód można przypomnieć sprawę Bartłomieja Misiewicza. Kiedy kontrowersyjny rzecznik MON, za którym ciągnęły się oskarżenia o niekompetencję i nadużywanie stanowiska, wracał do pracy pod koniec października 2016 r., notowania PiS dołowały. Nowoczesna, która zbijała na aferze kapitał polityczny rozkręcając akcję „Misiewicze", w sondażach plasowała się na drugim miejscu, dystansowała PO o kilka procent i mówiono, że depcze PiS po piętach. W styczniu 2017 r., kiedy sprawa Misiewicza przycichła, a debatę publiczną rozpalała przede wszystkim kwestia zmiany regulaminu prac Sejmu oraz wakacji Ryszarda Petru w samym środku tego kryzysu, notowania Nowoczesnej znacząco spadły, a PiS znowu powiększył przewagę nad oponentami.

Opozycja, która chce utrzymać wysokie poparcie, nie może jedynie dryfować na wznoszącej, populistycznej fali. Ta bowiem w końcu zawsze się załamuje i może łatwo podtopić tych, którzy jeszcze niedawno byli na jej szczycie. „Konwój wstydu" ostatecznie może pociągnąć za sobą puszczających go w ruch. Jeśli ugrupowania, które chcą odebrać władzę PiS, nie wykorzystają kryzysu w obozie władzy do rzetelnej pracy programowej, skandal wokół ministerialnych nagród okaże się jeszcze jednym „Misiewiczem". PiS odrobi straty, a opozycja wróci do defensywy, przy okazji pogłębiając jeszcze rozposzechnione w społeczeństwie przekonanie, że wszyscy politycy kradną.

© PAWEŁ MARCZEWSKI

MICHAŁ OKOŃSKI

Miejsce egzekucji Żydów z okupacyjnego powiatu bocheńskiego, zamordowanych w sierpniu 1942 r. Kozie Górki w Puszczy Niepołomickiej, kwiecień 2018 r.

Pamięć o Ablu

MICHAŁ OKOŃSKI

W książce „Dalej jest noc" nie chodzi o polską winę. Nie chodzi o nas i o nasze samopoczucie. Chodzi o tych, którzy zginęli, i którzy też byli przecież „nasi".

Nazywała się Etinka Marsend. Była czteroletnią dziewczynką, nauczoną przez rodziców cichego zachowania w każdej sytuacji. Podczas akcji wysiedleńczej w bocheńskim getcie nie zapłakała, gdy Niemcy przeszukiwali dom po domu, a jej rodzina i sąsiedzi postanowili się ukryć. Nie zapłakała też, gdy ojciec przemycał ją w plecaku do obozu pracy w Szebniach i jeden z SS-manów uderzył plecak kijem. Została zamordowana dopiero w obozie, gdy jej obecności nie można było dłużej ukrywać. Zginął też jej ojciec, który w ostatnim akcie odwagi ranił, a może zabił oprawcę.

To jedna z setek historii opowiedzianych przez autorów studium „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski". Mam potrzebę jej przywołania, bo jeszcze przed premierą dwutomowego dzieła historyków z Centrum Badań nad Zagładą Żydów w mediach zaroiło się od sensacyjnych informacji na temat tej książki – informacji wypaczających i ustawiających jej odbiór. „Jak Polacy dobijali Żydów" – krzyczał choćby z okładki „Newsweek", dodając: „Z każdych trzech Żydów, którzy w czasie wojny uciekli Niemcom, dwóch zamordowali Polacy – sensacyjna książka historyków, do końca ukrywana przed władzami". Pomijając nawet zafałszowanie tego, co wynika z badań Centrum („dwóch spośród każdych trzech Żydów poszukujących ratunku zginęło – najczęściej za sprawą swoich sąsiadów, chrześcijan" – piszą we wstępie Barbara Engelking i Jan Grabowski; „najczęściej" to jednak nie wyłącznie), i to, że książka nie jest sensacyjna, bo stanowi raczej kontynuację i potwierdzenie prac publikowanych przez to grono od lat kilkunastu: takie postawienie sprawy gubi istotę rzeczy. Najważniejsza jest opowieść o determinacji, odwadze i pomysłowości tych, którzy w trzeciej fazie Zagłady – czyli już po likwidacji gett – walczyli o życie swoje i swoich najbliższych.

W CIĄGU OSTATNICH KILKU LAT dziewięcioro naukowców związanych z Centrum przeprowadziło gruntowne badania na terenie dziewięciu (z ponad 50) powiatów Gene- ↦

ralnej Guberni. Analizowali wszelkie dostępne, często unikatowe źródła polskie, izraelskie, niemieckie, amerykańskie, ale też ukraińskie, białoruskie i rosyjskie. Były wśród nich dokumenty Polskiego Państwa Podziemnego, władz emigracyjnych, okupacyjnej administracji i sądownictwa, akta powojennych procesów, relacje ocalałych i świadków, korespondencje wójtów i sołtysów. Wiele z tych dokumentów wyjęto z archiwów po raz pierwszy.

W powiatach objętych badaniami w 1942 r., czyli przed rozpoczęciem „Akcji Reinhardt" polegającej na masowych mordach i wywózkach do obozów Zagłady, żyło jeszcze ok. 140 tys. Żydów. Przeżyło 2513 osób – a przynajmniej o tylu informacje udało się odnaleźć we wszystkich dostępnych źródłach. Ogromną większość pozostałych Niemcy – ze szczególnym okrucieństwem – pozbawiali życia, często na oczach polskich sąsiadów. Czasami oddziały likwidacyjne korzystały ze wsparcia policji granatowej, strażaków czy junaków z Baudienstu. Rola „zwykłych" Polaków? „Niektórzy byli gotowi pomóc uciekającym, inni łapali Żydów i oddawali ich w ręce mundurowych, ten i ów rabował dopiero co opuszczone żydowskie domy, często odnajdując przy tym poukrywane ofiary, a jeszcze inni patrzyli w przerażeniu na rozgrywające się wokół sceny masowych mordów. Wielu obserwowało toczące się wydarzenia, a ich bezczynność w sytuacji, gdy na ich oczach ginęli Żydzi, oznaczała więcej niż bierność czy obojętność" – czytamy we wstępie do książki.

„NIEKTÓRZY", „INNI", „TEN I ÓW", „WIELU"... Nie znamy i nigdy nie poznamy dokładnej liczby. Co ważniejsze: nie znamy i nigdy nie poznamy liczby tych, którzy próbowali się ratować (na pewno jednak nie można twierdzić, że ofiary były bierne albo „prowadzone jak owce na rzeź"). Badania naukowców z Centrum wydają się potwierdzać czynione jeszcze w PRL szacunki Szymona Datnera, że było ich w skali kraju 200–250 tysięcy, z których ocalało 40–50 tys. – choć różnice między badanymi powiatami są tak duże, że każą zachować ostrożność przy każdej próbie uogólnienia. Na analizowanych w „Dalej jest noc" terenach, poza obszarem wielkich miast, przeżyło ok. 30 proc. ukrywających się Żydów, ok. 60 proc. zginęło, losów ok. 10 proc. nie udało się ustalić. Zagrożenie stanowiły niemieckie wojsko i policja, granatowi policjanci, czasem członkowie

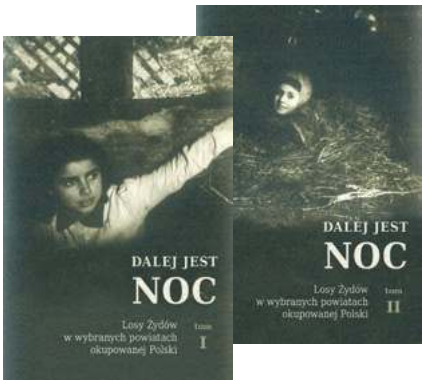

DALEJ JEST NOC. LOSY ŻYDÓW W WYBRANYCH POWIATACH OKUPOWANEJ POLSKI, *red. Barbara Engelking, Jan Grabowski, Stowarzyszenie Centrum Badań nad Zagładą Żydów 2018. Cytaty w tekście zaczerpnąłem z rozdziału Dagmary Swałtek-Niewińskiej o powiecie bocheńskim, na którego terenie mieszkam.*

konspiracji, ale również polscy cywile; Żydzi ginęli też z chorób, zimna, głodu; zdarzały się samobójstwa.

W dwutomowej pracy nie brak, rzecz jasna, świadectw o udzielaniu próbującym się ratować schronienia – o pomocy stałej (przyjmowaniu pod dach, czasem na długie miesiące) i doraźnej, np. dostarczaniu żywności. „Akty pomocy to także wsparcie moralne – pocieszanie, wspieranie na duchu, współczucie i zrozumienie, podtrzymywanie nadziei" – czytamy.

HEROIZM TYCH, KTÓRZY UDZIELALI POMOCY, nie zmienia faktów niedających się zakwestionować: skala uczestnictwa Polaków w wyniszczeniu żydowskich współobywateli była większa, niż się dotąd wydawało. Co z tego wynika dla nas dzisiaj, to oczywiście ważne pytanie. Podczas niedawnej debaty „Społeczeństwo polskie w czasie Zagłady" Dariusz Stola zauważał, że za tamte zbrodnie nie ponosimy odpowiedzialności, choć ponosimy odpowiedzialność za to, co zrobimy z wiedzą o nich. „Dalej jest noc" to 1700 stron wiedzy, której nie sposób sprowadzić do klisz o „pedagogice wstydu" – głównie dlatego, że to wiedza właśnie, a nie pedagogika.

Tyle że przedstawianie tej książki pod hasłem „Jak Polacy dobijali Żydów" nie prowadzi do przyswojenia żadnej wiedzy. Skłania raczej do dalszego budowania barykad i mnożenia kolejnych obronnych narracji o rzekomej polskiej niewinności. Co równie ważne: wypacza intencje jej autorów i narusza pamięć o jej rzeczywistych bohaterach.

JACY TO BOHATEROWIE? Ukrywający się w domu niejakiego Klimka pod Nowym Wiśniczem Szymon Dranger organizował wsparcie i samoobronę dla innych szukających schronienia w okolicy – wydawał m.in. czasopismo „Hechaluc Halochem", w którym zamieścił nawet szczegółowy poradnik, jak wybudować ziemiankę. W numerze z września 1943 r. tak pisał o „współczesnym marranie": „Kto widział go odciętego od świata w górach i lasach, skazanego na własną tylko zaradność i spryt, zależnego od słońca, deszczu, wichury, mordu – i od jednego chłopa, który czasem donosi za bochenek chleba, kto widział go, jak zalegalizowany pod obcym nazwiskiem nie ma miejsca, w którym mógłby odetchnąć swobodnie, i drży każdej chwili, by nie zostać rozpoznanym; kto spotka go, jak w otoczeniu nasiąkłym antysemityzmem musi torować sobie drogę nie przez słuszne prawa, ale poprzez zakłamanie; kto widział go wreszcie, jak z nerwami poszarpanymi do ostatka wpada w ręce policji i jeszcze usiłuje się bronić – ten musi nabrać podziwu dla człowieka, który tak umie walczyć o życie. I jest rzeczywiście wiele bezimiennego bohaterstwa w tych wszystkich, którzy nieznani nikomu prowadzą cichą walkę i mimo niej cicho też schodzą ze świata, pokonani nienawiścią ludzką". Zauważmy: jest w tej historii donos za bochenek chleba, jest otoczenie nasiąkłe antysemityzmem, jest policja. W centrum pozostaje jednak człowiek, który walczy o przetrwanie.

„Oczyścić pole Kaina to – najpierw – pamiętać o Ablu" – pisał na tych łamach Jan Błoński w pamiętnym eseju „Biedni Polacy patrzą na getto". Oczyszczenie Kainowego pola nie dokona się przez, niezbędną skądinąd, rozmowę o Kainie i jego wspólnikach, wśród których oczywiście byli także Polacy. Najpierw trzeba pamiętać o Ablu, który „nie był sam, mieszkał w naszym domu (na naszej ziemi), a więc we wspólnym domu na wspólnej ziemi". Czytając „Dalej jest noc", podziwiając benedyktyńską pracę jej twórców (za grupką badaczy nie stała bynajmniej wielka państwowa instytucja z setkami etatów), właśnie za uczynienie głównym bohaterem Abla winien jestem wdzięczność.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

ANNA

Dziewit-Meller: *Powrót do przyszłości*

Kiedy nie sposób przecisnąć się przez miasto, zastawione barierkami szykowanymi na rocznicę katastrofy smoleńskiej, trudno nie wściekać się z powodu tych tramwajów, co uciekły, szefów, którzy mają mało wyrozumiałości dla spóźnialskich, dzieci w stresie, że nie zdążą na trzecią lekcję do szkoły. Miasto Warszawa, zarówno 10 kwietnia, jak i przez wiele dni w roku, odwracane jest w stronę przeszłości, nie ono jedno zresztą – to ogólna tendencja. „Dziś" liczy się mało, „jutro" nie ma znaczenia, bo wciąż z zapałem skaczemy na główkę w minione, razem z całą Polską pławiąc się w masochistycznym uniesieniu, w rozpamiętywaniu i mniej lub bardziej kunktatorskich analizach tego, co było.

Witryny większości kiosków wołają okładkami dodatków historycznych do każdej niemal gazety – w nich stosowna wersja opowieści o przeszłości – historia na prawo, historia na lewo, historia na wesoło. Rocznice, miesięcznice, bohaterowie, wspomnienia. Nawet gdy mówimy o tym, co będzie, np. o przyszłych wyborach, wpychamy ich uczestników w grę z przeszłością – przeszłością ich samych, rzekomych dziadków z Wehrmachtu, ich formacji politycznych, od tego uzależniając swój głos.

Gdy zatem osoby takie jak ja – idealne wytwory swojej epoki, niewychodzące z mroku przeszłych opowieści – napotykają na inny sygnał, są zmieszane i bezradne. Tak właśnie: zmieszana i bezradna czułam się, spotykając niedawno na konferencji poświęconej prognozowaniu trendów, ludzi, którzy (nie bagatelizując rzecz jasna tego, co było), myślą przede wszystkim o tym, co będzie. Prawdziwy szok poznawczy. Bolesne zderzenie z własnym ograniczeniem.

Razem z podobnym mi nieco kolegą po piórze, dziennikarzem politycznym z konkurencji, wyglądaliśmy na wiecznie zszokowanych faktem, że przez trzy dni konferencji i warsztatów właściwie nikt z nami nie chciał rozmawiać o naszych ulubionych tematach, czyli o Polsce PiS, polityce historycznej i skandalu z ustawą o IPN. Ludzie ci mieli najwyraźniej znacznie lepsze rzeczy do roboty. Zastanawiali się mianowicie nad tym, jak wyglądać ma świat za wiele lat, co na to wpłynie i jak możemy próbować uruchamiać pożądane przez nas procesy, tak by zapobiec temu, czego lepiej uniknąć, a wzmocnić te tendencje, które uczynią świat przyszłości lepszym do życia. I naprawdę – ani słowa o PiS, PO i sondażach dla „Wiadomości" TVP (czyli jedynego kontaktu z prognozowaniem przyszłości, jaki regularnie miewamy w sferze publicznej).

Tymczasem – cóż za niespodzianka – okazuje się, że gdybyśmy jako społeczeństwo więcej myśleli o przyszłości, byłoby nam wymiernie lepiej. Dowodem w sprawie niech będzie wskaźnik podany mi przez obecnego na owej konferencji Dominika Batorskiego, socjologa z Interdyscyplinarnego Centrum Modelowania Matematycznego i Komputerowego na Uniwersytecie Warszawskim, który wykazuje, że użytkownicy Google'a z krajów mających wyższe PKB na głowę mieszkańca częściej szukają w sieci informacji na temat tego, co będzie, niż tego, co już było (*future orientation index*). Dowodzi to, zdaniem naukowców, że może istnieć jakiś związek pomiędzy pewną ciekawością tego, co dopiero przyjść może, a ogólnym dobrostanem mieszkańców. To doprawdy wiele tłumaczy: skoro dużo mocniej zajmuje nas dajmy na to husarska szarża pod Kirchholmem, a mniej choćby rozwój nowych technologii i ich wpływ na życie przyszłych pokoleń – to i dwudziestu innowacyjnych do szpiku kości premierów Morawieckich nam nie wystarczy, by dogonić świat. Który jak zwykle jest już gdzie indziej.

Czyż ów *future orientation index* nie powinien aby stać się dla nas doskonałym pretekstem, by wyjść w końcu z okopów, leśnych kryjówek partyzantów i wyklętych oraz archiwów IPN – i przez chwilę choć spojrzeć tam, gdzie (przynajmniej jak dotąd) nie mamy pewności, że istnieją jakiekolwiek dodatki historyczne do gazet? W przyszłość?

Nie namawiam na wiele. Wystarczy zacząć od zajrzenia w tę całkiem nieodległą (bo wrześniową), gdy w Warszawie w Centrum Nauki Kopernik odbywać się będzie kolejny już, ósmy festiwal Przemiany – poświęcony tym razem sztucznej inteligencji. Ponieważ – choć może ciężko w to uwierzyć, gdy się mieszka w Polsce – nie tylko przekaz dnia z ulicy Nowogrodzkiej kształtuje naszą rzeczywistość. Coraz większy wpływ na nią mają również uczące się algorytmy, te pierwsze jaskółki sztucznej inteligencji. Możliwe, że nawet większy, niż myślimy – istnieją przecież programy, które dzięki zdolności uczenia się i podejmowania decyzji wpływają na to, jakie wiadomości odnajdujemy w strumieniu informacyjnym płynącym z social mediów, wyliczają wysokość świadczeń ubezpieczeniowych, lokalizują zmiany nowotworowe na RTG. Kto wie, co uczynią nam zaraz. Lepiej wiedzieć niż nie. ©

OGŁOSZENIA

Sąd Rejonowy w Zielonej Górze, Wydział I Cywilny, prowadzi postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Mariannie Karpińskiej-Ostrowskiej z d. Ostrowskiej, zm. 20 września 2016 r. w Zielonej Górze, ostatnio stale zamieszkałej w Zielonej Górze (sygn. akt I Ns 1025/17 MI).

Sąd Rejonowy wzywa, aby ewentualni spadkobiercy ustawowi, którzy dotychczas nie biorą udziału w postępowaniu, w ciągu 3 miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o jego nabyciu.

Przed Sądem Rejonowym w Kamiennej Górze pod sygn. akt I Ns 899/15 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Jerzym Sysaku, zm. 19 maja 2015 r. w Kamiennej Górze, mającym ostatnie miejsce pobytu w Kamiennej Górze.

Wzywa się, aby spadkobiercy w ciągu 3 miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosili i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W innych językach
Беларуская
Беларуская (тарашкевіца)
Български
Bosanski
Brezhoneg
Català
Čeština
Dansk
Deutsch
Dolnoserbski
Eesti
Ελληνικά
English
Español
Esperanto
Euskara
Français
Galego
Hornjoserbsce
Hrvatski
Ido
Bahasa Indonesia
Íslenska
Italiano
Kaszëbsczi
Nederlands
WIKIPEDIA
Wolna encyklopedia
Strona główna
Losuj artykuł
Kategorie artykułów
Najlepsze artykuły
Często pytania (FAQ)
Dla czytelników
O Wikipedii
Kontakt
Wspomóż Wikipedię
Dla wikipedystów
Pierwsze kroki
Portal wikipedystów
Ogłoszenia
Zasady
Pomoc
Ostatnie zmiany
Narzędzia
Linkujące
Zmiany w linkowanych
Prześlij plik
Strony specjalne
Link do tej wersji
Informacje o tej stronie
Element Wikidanych
Drukuj lub eksportuj
Utwórz książkę
Pobierz jako PDF
Wersja do druku
W innych projektach
Wikimedia Commons
MediaWiki
Meta-Wiki
Wikispecies

WIARA

JEZUS W SIECI

Z Wikipedią jest jak z popularnym filmem opartym na faktach: wydarzenia historyczne, autentyczne nazwiska i prawdziwe wypowiedzi mieszają się z fikcją, domysłami i błędami. Wyraźnie to widać w hasłach teologicznych.

JÓZEF MAJEWSKI

Jak bronić się przed fake newsami, „informacjami", których celem jest dezinformacja? – pytał niedawno Franciszek. Niektórzy zalecają metody stosowane w Wikipedii, która „skutecznie radzi sobie z bzdurami", a do tego jej zasady są „dosyć proste" (Dariusz Jemielniak). Czy rzeczywiście jest ona dobrym wzorcem? Wątpię. Więcej, sama Wikipedia stała się środkiem rozpowszechniania rozlicznych fake newsów, o czym dobitnie mógł przekonać się sam... Franciszek.

Pytanie o Wikipedię nabiera szczególnej wagi w przypadku haseł o charakterze teologicznym i religijnym – i głównie z perspektywy teologiczno-religijnej zamierzam tu na nią spojrzeć. Medium to jest dziś jednym z najważniejszych zjawisk społeczno-kulturowych na Zachodzie. Wydaje się wręcz zwierciadłem nowoczesnej społeczności. Jest miejscem, do którego codziennie zaglądają, szukając wiedzy i prawdy, milionowe rzesze ludzi, nawet duchownych i naukowców. Zwykle jednak nie znają ani jej zasad, ani jej niebezpiecznych tajemnic.

Wikipedysta Rabbi?

Gdyby Jezus z Nazaretu głosił dzisiaj Ewangelię, zapewne skorzystałby z Wikipedii. Rzecz jasna, musiałby trzymać się jej zasad, które wcale nie gwarantują, że Jego tekstów inni wikipedyści by nie kasowali, nie poprawiali, nie zmieniali. Głoszą one bowiem, że konkretne hasło „może zawierać błędy merytoryczne", ponieważ wikipedysta „niekoniecznie będzie ekspertem z danej dziedziny".

Z kolei jeden z pięciu tzw. filarów Wikipedii w wersji angielskiej stwierdza bez ogródek: „Wikipedia nie ma żadnych mocnych zasad", a wersja polska dodaje: „Można śmiało modyfikować strony dla samej przyjemności edytowania i (...) nie jest wymagana od nikogo perfekcja". Obowiązuje przy tym reguła anonimowości, co oznacza, że autorzy artykułów nie ponoszą żadnej – prawnej czy moralnej – odpowiedzialności za to, co piszą. Odpowiedzialność przerzucona została na... samych użytkowników. W uwadze pod znamiennym tytułem „Wykluczenie odpowiedzialności", która znajduje się na liście wikipedyjnych „Warunków użytkowania", czytamy: „to Ty [czytelniku] ponosisz wyłączne ryzyko korzystając z naszych usług".

Rabbi z Nazaretu, nawet redagując hasło o sobie samym, zapewne musiałby, jak to się nagminnie dzieje w Wikipedii, stoczyć niejeden spór z innymi wikipedystami, choćby tymi, którzy uznaliby się za lepiej poinformowanych. I jest prawdopodobne, że przyszłoby Mu przegrać z autorami bardziej przekonującymi w oczach wikipedystów – bo w Wikipedii spory o treść haseł rozwiązuje się za pomocą głosowania. Można przy tym proponować różne progi procentowe, 80 czy 70 proc., a nawet mniej.

W dodatku niektórzy z redaktorów dodają sobie naukowego splendoru, kłamliwie prezentując się jako wybitni znawcy rzeczy. Chyba najsłynniejszym konfabulantem w krótkiej historii tego medium okazał się „teolog" o nicku Essjay, autor sporej liczby haseł, który długo przedstawiał się jako doktor teologii, profesor religioznawstwa i posiadacz kilku innych tytułów naukowych. Szybko też piął się w hierarchii Wikipedii, uzyskując nawet intratne zatrudnienie w Wikii, firmie oferującej hosting serwisom typu wiki. W końcu wyszło na jaw, że całą karierę naukową po prostu zmyślił.

„Essjay pozbył się uprawnień, usunął własną stronę dyskusji i opuścił projekt" – pisze Dariusz Jemielniak. Opuścił? A która z zasad Wikipedii stoi na przeszkodzie, by wrócił – ot, pod zmienionym nickiem, a nawet pod wieloma nickami? Wikipedia z zasady ma otwarte drzwi dla każdego, także dla kłamców i recydywistów. Na jej stronie w części pt. „Społeczność wikipedystów" czytamy, że można stać się członkiem tej społeczności „nie podając obszernych i całkiem prawdziwych informacji o samym sobie". Ba – w ogóle nie trzeba się przedstawiać, bo Wikipedia „nie wymaga podawania żadnych informacji".

Jeśli wierzyć danym polskojęzycznej strony „Społeczność wikipedystów", wśród jej redaktorów w 2017 r. można było znaleźć uczniów szkół podstawowych ↦

Budowa największego na świecie pomnika Chrystusa Króla Miłosierdzia, który stanął w Świebodzinie, 2008 r.

BARTŁOMIEJ KUDOWICZ / FORUM / MONTAŻ EDWARD AUGUSTYN

↦ (najniżej z klasy trzeciej) i gimnazjum, a także osoby wyłącznie z wykształceniem podstawowym lub gimnazjalnym – łącznie grubo ponad 13 proc. wszystkich. Grono to jest o blisko 7 proc. liczniejsze niż ci wikipedyści, którzy deklarują się jako doktorzy i profesorowie.

Jak to ujął Jimmy Wales, współzałożyciel Wikipedii: „Dla mnie kluczową rzeczą jest właściwa definicja. Nie jest dla mnie ważne, czy jest to dzieciak ze średniej szkoły [a z podstawowej lub przedszkola? – JM], czy profesor z Harvardu". Cóż znaczy ta deklaracja w perspektywie sprawy Essjaya i jeszcze takiej zasady: „Nie możemy udzielić gwarancji na to, że nasze usługi (...), będą (...) dokładne i wolne od błędów oraz że Twoje dane pozostaną bezpieczne"... Doprawdy, Wikipedia jest niebezpieczna!

W Wikipedii dyskusji, debat i sporów między redaktorami haseł co niemiara, ale bez gwarancji, że zatriumfuje w nich głębsza mądrość i szersza wiedza, nie zaś błąd czy kłamstwo. Przypuszczam, że Rabbi z Nazaretu oddelegowałby do obsługi tego medium przynajmniej jednego z apostołów, by ten ze sztabem pomocników dbał o jakość haseł teologiczno-religijnych, tak jak o hasła bardziej lub mniej znanych firm i instytucji dbają dzisiaj rzesze ich marketingowców. Bo Wikipedia przestała już być encyklopedią, a stała się narzędziem marketingu, *public relations* i w ogóle biznesu. To, że nie zarabia ona na redagowaniu haseł, nie znaczy, że nikt nie zarabia na niej.

Oskarżony Bergoglio

W 2014 r. badacze kilku uczelni z USA i Europy ułożyli ranking dziesięciu najbardziej kontrowersyjnych haseł w dziesięciu wersjach językowych Wikipedii. Posłużyli się metodologią kryptograficzną, a do artykułów kontrowersyjnych zaliczyli te, w których niezgadzający się ze sobą wikipedyści kasowali jedną wersję hasła, przywracając wcześniejszą itd. Trzecie miejsce na liście zajęły artykuły teologiczno-religijne (15 proc.), wyprzedzone tylko przez geografię (17 proc.) i politykę (25 proc.). Kolejne pozycje: historia – 9; seksualność – 7; nauka – 7; sport – 6; literatura – 4; film – 4; muzyka – 3 proc.

Hasło „Jezus" najbardziej kontrowersyjne okazało się w wersji francuskiej – miejsce 4. ; następnie w czeskiej – 6., niemieckiej – 7. oraz angielskiej – 8. Hasło to nie znalazło się w pierwszej dziesiątce w wersji arabskiej – tu z artykułów religijnych najwyżej, bo na pierwszym miejscu znaleźli się „Aszaryci" (nurt w teologii muzułmańskiej). W wersji perskiej miejsce 1. zajęło hasło „Báb" (islamski reformator religijny), a w hebrajskiej – artykuł „Chabadyzm" (odłam chasydyzmu).

Wikipedia przestała być encyklopedią, jeśli w ogóle nią była. Przynajmniej z chwilą, gdy na dobre stała się narzędziem biznesu, marketingu, reklamy i public relations, dla których stanowi – jak to kultura popularna – doskonałe tworzywo.

Wokół anglojęzycznego hasła „Jesus" od 3 marca 2001 r., gdy zaczęło ono swój wikipedyjny żywot, do chwili, kiedy to piszę, odbyło się, bagatela, ponad 29 tys. dyskusji i sporów z udziałem ok. 2,7 tys. uczestników. Miało ono w tym czasie ok. 30 tys. edycji, opracowanych przez blisko 7 tys. edytorów. Innymi słowy, każdego dnia pojawiało się blisko pięć wersji tego hasła. Wobec tej skali trudno się dziwić, że Wikipedia z zasady nie gwarantuje dostatecznych kompetencji autorów haseł, a tym samym, że jej hasła będą wolne od błędów, bzdur czy fake newsów.

Mógł się o tym przekonać, jak wspomniałem, Jorge Mario Bergoglio, przyszły papież. Jeszcze 10 lutego 2013 r., na miesiąc przed wyborem na biskupa Rzymu, mógł dowiedzieć się z Wikipedii, a może i przeczytać dzisiaj (historia haseł nie ulega likwidacji), że podczas rządów junty wojskowej w Argentynie „donosił wojskowym na lewicujących księży i zakonników, z których niektórzy potem znikali". Obecna wersja mówi już tylko o „domniemanej współpracy kardynała Bergoglia z juntą", z powołaniem na książkę Horacia Verbitsky'ego (który zresztą nie domniemuje, ale po prostu twierdzi). Dodajmy, że junta upadła na wiele lat przed tym, gdy Bergoglio został kardynałem.

Wystarczy, że ktoś gdzieś coś napisze, powie czy bąknie, najlepiej coś sensacyjnego, kontrowersyjnego czy tajemniczego, a szybko znajdziemy to w Wikipedii. To już jej sprawdzona praktyka – jakże charakterystyczna dla... kultury popularnej. Popkultura jest bowiem w tym medium wszechobecna, szczególnie w hasłach teologiczno-religijnych. W dodatku ocena każdego wikipedyjnego hasła z zasady musi mieć charakter tymczasowy, wszak treść hasła w każdej chwili może ulec zmianie, na lepsze lub na gorsze, włącznie z multiplikacją błędów czy bzdur. Wikipedia to prawdziwie płynna rzeczywistość.

Do chwili, kiedy to piszę, w polskiej Wikipedii ukazało się ponad 2 tys. edycji hasła „Jezus Chrystus". Zajmowało się nim 635 redaktorów, odbyło się ponad 520 dyskusji, w które zaangażowało się 146 uczestników. Jego część „biograficzna" ma charakter właśnie popkulturowy: jasny dla zwykłych wiernych wykład, tradycyjnie harmonizujący dane Nowego Testamentu o działalności Jezusa, kilka razy – ni stąd, ni z owąd – przeplatany jest kontrowersyjnymi rewelacjami: że Betlejem nie musiało być miejscem narodzin Jezusa, albo że niektóre opisane w Ewangeliach wydarzenia z Jego dzieciństwa mogą być fikcją, bo zostały ułożone „na wzór żydowskiego midrasza".

Autorzy hasła powołują się przy tym na tajemnicze (dla niewtajemniczonych) źródła, dodajmy – z najwyższej półki kultury naukowej: historia form, projekt *Jesus Seminar*, badacze związani z *third quest*. Dlaczego jednak Wikipedia przywołuje tylko te źródła i wyłącznie autorów jednego skrzydła biblistów, dlaczego nie prezentuje – jak wymagają jej zasady – innych w tym względzie stanowisk, których nie brakuje, nie wspierając żadnego z nich, tego nie wiadomo.

Na chybił trafił zajrzałem jeszcze do historii hasła „Jezus Chrystus" – lądując w 2004 r. Kto wtedy je czytał, dowiadywał się np., że wyznawców Chrystusa nazywano „chrześcijanami" dopiero od drugiej połowy II w. – gdy tymczasem nazwa ta była w użyciu już w pierwszej połowie wieku I w Antiochii Syryjskiej (por. Dz 11, 26). W obecnej wersji nie ma już tej rewelacji, nie kwestionuje się też historyczności Jezusa, doradzam jednak stałą czujność: w historii dyskusji nad tym hasłem wciąż powraca libertyńsko-leninowski pogląd w rodzaju: „podważano jego [Jezusa] historyczność zawsze jak sądzę, a na pewno dziś szczególnie mocno i w sposób argumentowany" (pisownia oryginalna). Oto – „jak sądzę, a na pewno"

– głos jednego z niedouczonych wikipedystów.

Błędy biskupa

Wybitnie popkulturowy charakter ma także hasło „Biskup", które w okresie od 8 marca 2006 r. do chwili, kiedy to piszę, nie należało do najbardziej kontrowersyjnych. Sięgam jednak po nie, ponieważ posiada cechy typowe dla Wikipedii.

Merytoryczne potknięcie dużego kalibru rzuca się w oczy już w samym spisie treści. W punkcie drugim – o biskupie w „Kościele katolickim" (w domyśle: rzymskokatolickim) – omawia się rozumienie biskupa... w starokatolicyzmie. Jakby starokatolicyzm był częścią tego Kościoła. A nie jest! Jak wytłumaczyć tak szkolny błąd?

Podstawową słabością hasła jest jednak milczenie o jednej z trzech fundamentalnych urzędowych funkcji biskupa w Kościele katolickim – o jego autorytecie nauczycielskim, obok dwóch innych: uświęcania i władzy. Jak ważna to sprawa, wskazał Sobór Watykański II: „[biskupi] głoszą (...) nieomylnie naukę Chrystusową wówczas, gdy (...) z zachowaniem więzów komunii między sobą i z Następcą Piotra, nauczając autentycznie o sprawach wiary i moralności, dochodzą wspólnie do przekonania, że jakieś zdanie powinno być definitywnie uznane. A zachodzi to w sposób tym bardziej oczywisty wtedy, gdy zebrani na soborze powszechnym są dla całego Kościoła nauczycielami i sędziami w sprawach wiary i moralności".

W Wikipedii znalazło się także miejsce na „biskupa" w Kodeksie prawa kanonicznego (KPK) z 1983 r. W KPK słowo to pojawia się grubo ponad 800 razy – można powiedzieć, że z prawnokanonicznego punktu widzenia Kościół biskupami stoi. Tymczasem Wikipedia sprawie „biskupa" w KPK poświęciła zaledwie dwa zdania: „Zgodnie z Kodeksem prawa kanonicznego nie można użyć wobec biskupa przemocy. Kto by się tego dopuścił, jest mocą samego prawa obłożony karą interdyktu".

Pomijając fakt, że KPK wcale nie stwierdza, by każde bez wyjątku użycie przemocy wobec biskupa pociągało za sobą karę interdyktu, do myślenia daje fakt, że z wszystkiego, co KPK mówi o biskupie, tylko przemoc znalazła uznanie Wikipedii. Niekompetentny czytelnik gotów uwierzyć, że KPK nie ma na ten temat nic innego do powiedzenia. Jakby autorzy hasła kierowali się klasyczną zasadą popkultury, dla której zwykle ważne, a nawet najważniejsze jest to, co... mało ważne albo i nieważne, byle intrygujące, kontrowersyjne, sensacyjne, związane ze zbrodnią czy właśnie przemocą. Jak w tabloidach: *bad news good news* (zła informacja to dobra informacja).

Dziecko popkultury

Wikipedia jest nie tylko dzieckiem kultury popularnej, ale i jednym z najpotężniejszych jej kół zamachowych. Jak w dobrym popularnym filmie opartym na faktach: mamy wydarzenia historyczne, autentyczne imiona i nazwiska, prawdziwe wypowiedzi i daty itd., ale dane te z natury mieszają się z fikcją, domysłami, przypuszczeniami, błędami, nieodpowiednimi rekwizytami itp. A z faktów wybiera się nie tylko te istotne, ale i mniej ważne, byle sensacyjne. Całość zaś i poszczególne epizody ujmuje się tak, by – owszem – o czymś informowały, lecz też, a może przede wszystkim, rozgrzewały emocje, chwytały za serce, trzymały w napięciu...

Wbrew deklaracjom Jimmy'ego Walesa i innych apologetów poznawczej rzetelności usług i produktów Wikipedii nie należy ona do świata kultury wysokiej, nie jest częścią świata nauki ani encyklopedią w sensie naukowym. Może prowadzić i często prowadzi na poznawcze bezdroża. Nie można jej ufać. Wikipedia „stale dezorientuje ludzi. Jej użytkownicy myślą: – No tak, skoro to encyklopedia, to dlaczego nie mogę jej zacytować? A po prostu nie możesz: nie można na niej polegać" (Marshall Poe).

Dzisiaj człowiek Zachodu przeżywa podstawowe doświadczenia swojego życia w świecie kultury popularnej, współtworzonym przez Wikipedię. W tym świecie dzieją się sprawy codzienne i odświętne, małe i wielkie, piękne i brzydkie, świeckie i religijne. Tu człowiek rodzi się i umiera, pracuje i bawi, kocha i nienawidzi. Stąd znaczenie popkultury i Wikipedii dla Kościoła – przecież, jak ujął to Jan Paweł II, człowiek „jest pierwszą i podstawową drogą Kościoła". A dzisiaj jest on zanurzony w popkulturze.

Kościołowi winno zależeć na jak najwyższej jakości wikipedyjnych haseł, zwłaszcza tych, które dotyczą spraw teologicznych, doktrynalnych czy liturgicznych. Nawet jeśli nie ma żadnych gwarancji, że kompetentne opracowania tych haseł nie zostaną odrzucone, zmienione lub przeinaczone przez wikipedyjnych decydentów.

© JÓZEF MAJEWSKI

■ Wykorzystałem m.in.: D. Jemielniak „Życie wirtualnych dzikich. Netnografia Wikipedii, największego projektu współtworzonego przez ludzi", Warszawa 2001; P. Levinson „Nowe nowe media", Kraków 2010; J.I. Miletsky, „Principles of Internet Marketing: New Tools and Methods for Web Developers", Boston 2010; P. Fichman, N. Hara (red.), „Global Wikipedia: International and Cross-Cultural Issues in Online Collaboration", Lanham 2014.

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapraszamy na „Lekcje czytania"

O ALEKSIJEWICZ W SOKOŁOWIE PODLASKIM

W środę 18 kwietnia w I LO im. M. Skłodowskiej-Curie w Sokołowie Podlaskim odbędzie się kolejna lekcja czytania, podczas której uczniowie porozmawiają o książce „Wojna nie ma w sobie nic z kobiety" Swietłany Aleksijewicz. Spotkanie poprowadzi Anna Dziewit-Meller.

■ Chcesz zorganizować u siebie „Lekcję czytania" – napisz: **lekcjeczytania@tygodnik.com.pl**

Projekt powstaje na zlecenie Krakowskiego Biura Festiwalowego w związku z realizacją programu Kraków Miasto Literatury UNESCO

Gniew ludu

O. LUDWIK WIŚNIEWSKI OP

Dla mnie – człowieka, który przez całe życie walczył o prawo do życia wszystkich nienarodzonych – projekt ustawy „Zatrzymaj aborcję" jest faryzejski i nieludzki. Ośmielę się powiedzieć: antychrześcijański.

Przed laty, późnym wieczorem, w grudniu 1970 r., kiedy w Gdańsku obowiązywała godzina policyjna, wdrapałem się na wieżę kościoła św. Mikołaja, aby patrzeć na łunę płonącego Domu Partii. To tam, na wieży kościoła, „narodziłem się dla Polski". Tam zrozumiałem, że komunistyczny system panujący w naszym kraju jest niereformowalny i należy go „kruszyć". Dobrze pamiętam, że wtedy właśnie uświadomiłem sobie, iż gniew ludu ma wielką siłę.

Przypomniałem sobie tamto wydarzenie sprzed niemal półwiecza w Czarny Piątek. Po raz pierwszy za mego życia gniew ludu obrócił się przeciwko Kościołowi. Ujawniła się wrogość do kościelnych hierarchów, popłynęły haniebne okrzyki, których nie godzi się tu powtarzać. Ale równocześnie uświadomiłem sobie, że to wszystko my sami – gorliwi katolicy, kapłani i biskupi – sprowokowaliśmy. I smutne jest nie tylko to, co się wydarzyło, ale także to, że nikt nie bije się w piersi; przeciwnie, pod adresem protestujących padają „ze świątobliwych ust" epitety w rodzaju „chorzy z nienawiści", „czarownice", „ludzie bez sumienia". A przecież to są nasze siostry i bracia, w większości przyznający się do chrześcijaństwa. Stało się coś bardzo groźnego i jeśli ze strony Kościoła nie nastąpi jakiś ważny, pasterski i ewangeliczny akt, gniew ludu na Kościół może przybierać na sile.

Wszystko rozpoczęło się od zbierania podpisów pod projektem ustawy „Zatrzymaj aborcję". Trzeba pełnym głosem stale wołać, że każda ludzka istota, także ułomna, ma prawo do życia. Kiedy tak mówi Kościół, ma do tego po stokroć prawo.

Jednakże projekt ustawy „Zatrzymaj aborcję" jest faryzejski, nieludzki i ośmielę się powiedzieć – antychrześcijański.

Każdy, kto zetknął się z rodziną wychowującą niesprawne umysłowo lub fizycznie dziecko, dobrze wie, że przyjście na świat takiego dziecka jest trzęsieniem ziemi. Matka takiego potomka musi zazwyczaj zrezygnować z zarobkowej pracy. Rodzina zaczyna żyć z jednej pensji, a tymczasem drogie lekarstwa dla chorego dziecka i zalecana terapia pochłaniają takie sumy, że dla pozostałych dzieci nie wystarcza na zaspokojenie najbardziej podstawowych potrzeb.

Rodziny, w których wychowuje się takie dzieci, jak też małżeństwa, w których – według wszelkiego prawdopodobieństwa – pojawi się nieuleczalnie chory potomek, potrzebują przede wszystkim pomocnej ręki, a nie jedynie ustawowego nakazu urodzenia dziecka.

Projekt ustawy „Zatrzymaj aborcję" dlatego jest bezduszny i nieludzki, że tak naprawdę dba jedynie o poprawną formułę prawną, a nie o człowieka. Gdyby w chrześcijańskim narodzie, a takim podobno jest polski naród, uchwalono ustawę, która stanowi, że opiekun nieuleczalnie chorego dziecka otrzymuje comiesięczne wynagrodzenie równe przeciętnej pensji, a lata opieki nad chorym dzieckiem wliczają się do świadczeń emerytalnych; gdyby ponadto ustawa gwarantowała bez-

TP

Kluby „TP" zapraszają

BIELSKO-BIAŁA, wtorek, 24 kwietnia, godz. 17.30 Spotkanie „Dialog i wolność". Gościem będzie ks. dr Grzegorz Strzelczyk. Miejsce: Sala SP nr 2 Tow. Szkolnego im. Reja (pl. Lutra 8 budynek B).

KRAKÓW, piątek, 27 kwietnia, godz. 18.00 Spotkanie „Tischner czyta katechizm": „Dialog". Miejsce: Instytut Myśli Józefa Tischnera (ul. Sławkowska 14).

LONDON, sobota, 21 kwietnia, godz. 18.15 Spotkanie poświęcone ks. Janowi Ziei. Miejsce: Sala Parafialna Matki Boskiej Częstochowskiej (419 Hill Street, London, Ontario).

WARSZAWA, sobota, 21 kwietnia, godz. 16.00 Kawiarenka klubowa „Codzienność Wielkanocy". Gościem będzie o. Wacław Oszajca. Miejsce: Stacja Muranów (ul. Andersa 13).

ZIELONA GÓRA, czwartek, 19 kwietnia, godz. 18.00 Spotkanie „Niemcy i Polacy – chrześcijanie... tak niewiele o sobie wiemy". Miejsce: Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13).

JACEK TARAN

Czarny Piątek, Rynek Główny w Krakowie, 23 marca 2018 r.

płatne lekarstwa i bezpłatną terapię dla takich dzieci – byłaby to prawdziwa troska o nienarodzonych, godna Dumnej Polski.

Dla mnie, człowieka już starego, który przez całe życie walczył, jak umiał, o prawo do życia wszystkich nienarodzonych; w którego Duszpasterstwie Akademickim powstał pierwszy albo jeden z pierwszych w Polsce ruchów w obronie nienarodzonych – „Troska o życie"; otóż dla mnie najsmutniejszą rzeczą okazało się to, że ten bezduszny projekt poparli polscy biskupi, domagając się rychłego uchwalenia go w Sejmie. Jeden z biskupów powiedział nawet: „nie można dłużej zwlekać", tego domaga się zdrowe sumienie. A ja chciałbym zapytać, czyje sumienie domaga się uchwalenia takiej ustawy, zamiast podania ręki zrozpaczonym rodzicom?

Każde życie jest święte! I skoro państwo nie zapewnia warunków do przyjęcia i wychowania nieuleczalnie chorych dzieci, a sprawa jest arcyważna, ba, najważniejsza, to powinien to uczynić Kościół. Nasz polski, potężny Kościół może to zrobić i powinien! Trzeba stworzyć ogólnopolski fundusz, z którego będą wypłacane świadczenia dla takich rodzin. Stworzenie takiego funduszu jest bajecznie proste. Wystarczy, że *iura stolae* ze ślubów i chrztów, czyli ofiary składane przy okazji tych sakramentów, będą przesyłane z całej Polski na konto takiego funduszu. Albo można wybrać inną drogę – ofiary składane przy okazji odwiedzin wiernych w okresie Bożego Narodzenia tworzą taki fundusz. Nie trzeba się obawiać, że duchowieństwo oddając te pieniądze umrze z głodu. Trzeba wierzyć w Opatrzność, a także w hojność wiernych, którzy potrafią docenić prawdziwie ludzkie gesty.

Taka forma troski o życie polskiego Kościoła, gdybyśmy się na nią zdobyli, byłaby znakiem dla całego Kościoła, a może nawet świata, prawdziwej solidarności z najmniejszymi i najuboższymi. Taka troska o nienarodzonych mogłaby być lekcją i wręcz manifestem, że ludzkie życie jest naprawdę święte. ©

Tekst pisałem w Dniu Świętości Życia, 9 kwietnia 2018 r.

Inicjatywa obywatelska

PROJEKT NOWELIZACJI USTAWY z 1993 r. o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży likwidujący tzw. przesłankę eugeniczną – dopuszczającą aborcję ze względu na duże prawdopodobieństwo ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu – trafił do Sejmu 30 listopada 2017 r. wraz z 830 tys. podpisów. Zebrał je Komitet Obywatelskiej Inicjatywy Ustawodawczej „Zatrzymaj aborcję" założony przez Fundację Życie i Rodzina Kai Godek oraz stowarzyszenie CitizenGO Polska.
10 stycznia 2018 r. Sejm skierował projekt do dalszych prac. 19 marca sejmowa komisja sprawiedliwości i praw człowieka zaopiniowała go pozytywnie, jednakże potem został dwukrotnie zdjęty z obrad komisji polityki społecznej i rodziny. Inicjatorzy akcji oskarżają PiS o „tchórzostwo polityczne" i celowe blokowanie prac nad projektem w reakcji na masowe demonstracje przeciwników nowelizacji, zorganizowane 23 marca w wielu miastach Polski w ramach tzw. Czarnego Piątku.

Wsparcie biskupów

PROJEKT „ZATRZYMAJ ABORCJĘ" biskupi poparli już w czerwcu 2017 r., przyjmując jego inicjatorów na zebraniu plenarnym Konferencji Episkopatu Polski w Zakopanem. W trakcie zbierania podpisów pod inicjatywą, w listopadzie 2017 r. prezydium KEP apelowało o wsparcie tej akcji. Podczas marcowego zebrania plenarnego biskupi apelowali do Sejmu „o niezwłoczne podjęcie prac legislacyjnych". 11 kwietnia, po zdjęciu projektu z obrad komisji polityki społecznej i rodziny, rzecznik Episkopatu ogłosił komunikat, w którym biskupi ubolewają, że „głos obywateli nie został dotąd wystarczająco usłyszany". Dwa dni wcześniej podczas obchodów Dnia Świętości Życia w Lesznie przewodniczący Episkopatu abp Stanisław Gądecki stwierdził, że „agresja skrajnie feministycznych środowisk nie może usprawiedliwiać zaniechania działań na rzecz prawa do życia każdego człowieka". ©℗ ASK

GREGORIO BORGIA / AP / EAST NEWS

Papież otwiera Drzwi Święte w bazylice św. Piotra w Watykanie, formalnie rozpoczynając Rok Bożego Miłosierdzia, 8 grudnia 2015 r.

Bóg obok

KS. JACEK PRUSAK SJ

Nie bój się świętości, to twoja droga! – mówi Franciszek do każdego z nas.

Tylko jednego dogmatu jestem pewien: że Bóg jest obecny w życiu każdej osoby, Bóg jest w życiu każdego z nas". Te słowa Franciszka wypowiedziane w rozmowie z jezuitą Antoniem Spadaro („Serce wielkie i otwarte na Boga", WAM 2013) mogą szokować „brakiem wiary". Ale tylko wtedy, kiedy się zapomni, że papież w inny sposób mówi o tym, co stanowi podstawę jezuickiego rozumienia powszechnego powołania do świętości. Z „jezuickiego dogmatu", że „Bóg działa bezpośrednio ze swoim stworzeniem" („Ćwiczenia duchowe", 15), wypływa uniwersalizm powołania do świętości, jaki odnajdziemy w najnowszej adhortacji Franciszka „*Gaudate et exsultate*", czyli „O powołaniu do świętości w świecie współczesnym".

Nie jest łatwo pisać współcześnie o świętości, ponieważ nasze czasy preferują ideę samorozwoju, samoaktualizacji, duchowości jako dobrostanu, a przeszłość pozostawiła nam w dziedzictwie bardzo często albo przesłodzony, nieżyciowy obraz „świętości od kolebki", albo jej przeciwieństwo: świętość jako misję specjalną dla elity duchowej – najczęściej odgrodzonej murami klasztoru bądź pustelni od reszty świata.

Franciszek jest jednak duchowym synem św. Ignacego z Loyoli, który poprzez swoje „Ćwiczenia duchowe" – „kuźnię chrześcijańskiej doskonałości" – wyznaczył nowe horyzonty dla myślenia o świętości. Uczy w nich, jak zwracać uwagę na fakt, że „świat jest Bożym warsztatem", czyli że „Bóg mieszka w stworzeniach" oraz „działa i pracuje dla mnie we wszystkich dziełach stworzonych na obliczu ziemi" (CD 235, 236).

Każdy jest inny

Świętość to nic innego jak odnajdywanie Boga we wszystkich rzeczach, bycie kontemplacyjnym w działaniu, spoglądanie na świat przez pryzmat Wcielenia oraz poszukiwanie wolności i obojętności wobec wszystkiego, co ogranicza nas w przyjmowaniu Bożej łaski. Świętość bowiem jest złudzeniem i pułapką, jeśli nie pociąga nas ku Najświętszemu, tylko skupia nas na sobie, a ćwiczenie się w oderwaniu („obojętności") jest nauką, jak odpowiadać osobom i wypadkom, zamiast na nie reagować.

Adhortacja nie jest jednak żadnym „samouczkiem świętości" czy poradnikiem „jak zostać świętym", co szczególnie silnie zostało wyakcentowane w rozdziałach poświęconych współczesnemu gnostycyzmowi i pelagianizmowi (GE 35-62). Świętość jest bowiem „sztuką" Ducha Świętego, a nie ludzkim „rzemiosłem". Nie ma dwóch takich samych świętych, ani nie da się „zrobić" świętego według „przepisu", nie istnieje również świętość na pokaz. Przywoływany w adhortacji inny wielki święty, hiszpański mistyk i Doktor Kościoła, Jan od Krzyża, sformułował ewangeliczne „prawo życia wewnętrznego". Brzmi ono: „to, czym jesteś, zawsze wyjdzie na jaw; to, czym pragniesz się okazać, rzadko się udaje", bo świętość nie jest pomysłem na „lepszą wersję siebie samego".

Wszyscy święci nie mieszczą się na ołtarzach, ich imiona zapisane są w niebie, a nie w mszale. Ale istnieją również karykatury świętości. Tylko dzięki odpowiedzi na wezwanie do świętości stajemy się – jak mówi Franciszek – „bardziej żywi, bardziej ludzcy". W przeciwnym wypadku „jest tylko jeden smutek, a płynie on z tego, że się nie jest świętym" (GE 34). Smutny święty to żaden święty, chyba że święty z depresją – tacy też się zdarzają. Świętość

jednak nie musi być kanonizowana, aby zaistnieć.

Mówiąc o „świętych z sąsiedztwa", Franciszek nie boi się wskazać, że są nimi rodzice, którzy z wielką miłością pomagają dorastać swoim dzieciom, mężczyźni i kobiety pracujący, by zarobić na chleb, osoby chore i starsze, które nadal się uśmiechają (por. GE 7). Świętość przestaje być elitarna i zastrzeżona dla „religijnych profesjonalistów", staje się egalitarna, ponieważ heroiczność cnót przestaje być rozumiana jako „zaawansowanie w pogardzie dla świata", jest pojmowana jako zaangażowanie w jego przemianę poprzez osobiste przebóstwienie. Nie muszą temu towarzyszyć spektakularne czyny. Świętość może zaistnieć i wzrastać dzięki „małym gestom" (GE 16) – zawsze chodzi o to, aby „przeżywać chwilę obecną, napełniając ją miłością", „wykorzystując te okazje, które nadarzają się każdego dnia, żeby dokonywać zwykłych czynów w niezwykły sposób" (zob. GE 17).

Mistyka świętości

Zdaniem papieża kontemplacja Wcielenia zgodnie ze wskazówkami „Ćwiczeń duchowych" prowadzi do „dramatycznego zaangażowania" na rzecz świętości z otwartymi oczami, ponieważ „Ignacy proponuje spojrzenie pozwalające Panu »wcielać się na nowo« w świat taki, jaki jest. Spojrzenie Trójcy Świętej jest spojrzeniem »zaangażowanym«" (Bergoglio „*Dios en la ciudad*").

Oznacza to, że Boga nie trzeba „przynosić" do świata za pośrednictwem naszych wysiłków, tak jak gdyby Go dotąd w nim nie było. Bóg już działa w świecie, i to nieustannie, a my jesteśmy powołani do tego, żeby „towarzyszyć" Mu we wzrastaniu. Bóg zatem w jakiś sposób „wzrasta", my zaś dopomagamy Mu w tym, a nasze świadectwo życia staje się „historią świętą", gdyż „całe życie ludzkie jest rozświetlone łaską". Taka działalność nas uświęca, ponieważ, jak pisze Franciszek: „jesteśmy powołani do życia kontemplacją pośród działania i uświęcamy się w odpowiedzialnym i hojnym wypełnianiu naszej misji" (GE 26).

Tak rozumiana świętość nie jest więc dodatkiem do normalnego życia, tylko przeżywaniem życia w wymiarze głębi, bez „noszenia głowy w chmurach" czy uciekania przed światem. „Nie bój się świętości – mówi papież – nie odbierze ci ona sił, życia ani radości. Wręcz przeciwnie, ponieważ staniesz się tym, co zamyślał Ojciec, kiedy ciebie stworzył, i będziesz wierny twojej istocie. Zależność od Niego uwalnia nas od zniewoleń i prowadzi nas do uznania naszej godności" (32). Tak więc – kontynuuje papież – „Nie lękaj się dążyć wyżej, dać się miłować i wyzwolić przez Boga. Nie bój się pozwolić, aby cię prowadził Duch Święty" (GE 34). Świętość to urzeczywistnienie tego, co w nas najlepsze, bez zniewolenia własnym wizerunkiem. Tak więc świętość to najlepsza „inwestycja" w naszym życiu.

Radość oświecenia

My się jednak jej boimy, bo kojarzy nam się często z heroizmem w znoszeniu cierpienia, w którym coraz bardziej wyrafinowane umartwienia albo „brane od Boga" ciosy życiowe są rękojmią naszej gotowości do noszenia krzyża. To prawda, że święty bez krzyża to aktor albo celebryta, ale święty z krzyżem to nie masochista. Musimy jednak pamiętać, że krzyż, który sami sobie wybieramy, nie jest rzeczywistym krzyżem – najczęściej jest objawem autoagresji albo agresji w stosunku do innych.

Stajemy się święci, będąc uczniami Jezusa. Jak powiedział pewien sędziwy mnich, „tym, co upodabnia nasz krzyż do Jego, jest wierność. Jezus podjął się tego, czego w Jego życiu wymagała wierność Ojcu, i my mamy uczynić podobnie. Jeśli wybraliśmy wierność Bogu, bez względu na to, ile nas kosztuje, to »krzyż« jest symbolem tej wierności" – a świętość o niej poświadcza!

Uczniem jest ktoś, kto jest gotowy na zmianę swojego życia. Żeby owa zmiana nastąpiła, relacja z Jezusem musi być oparta z naszej strony na ciągłej gotowości do uczenia się przyswajania Jego spojrzenia na Rzeczywistość. Święty to człowiek oświecony bez względu na wykształcenie i iloraz inteligencji.

Świętość jednak to nie kwestia „wewnętrznego doświadczenia", ale relacji, która wszystko zmienia. Dzięki niej widzi się Boga we wszystkich rzeczach i wszystkie rzeczy w Nim.

Wczytując się w nauczanie Franciszka, można dodać, że oświecona świętość to nie tylko sytuacja, w której nie ubóstwia się „umysłu bez Boga i bez ciała" oraz „doktryny bez tajemnicy" (współczesny gnostycyzm) ani z samokontroli i determinacji w samodoskonaleniu nie czyni się bożka (nowi pelagianie), ale również nie humanizuje się Boga, czyniąc z Niego obiekt naszych projekcji i kompleksów. Święty potrafi żyć z Tajemnicą, nie szukając Boga w sobie, tylko odnajdując siebie w Bogu.

Walka duchowa, a nie coaching

Szukając i odnajdując Boga we wszystkich rzeczach musimy pamiętać, że nie jest to *coaching* duchowy, tylko walka duchowa oparta na ciągłym rozeznawaniu, ascezie i modlitwie. Świętość bowiem to nie bonus za udoskonalanie siebie, tylko dar za przekraczanie siebie. W rzeczywistości jednak tylko niewielka liczba chrześcijan wierzy, że prawdziwym sensem życia na ziemi są powtórne narodziny.

Życiorysy świętych nie robią złudzeń: świętość nie kosztuje nigdy mniej niż wszystko, ale co to ma być za „wszystko", odkrywamy dopiero w chwili, kiedy zdajemy sobie sprawę, że musimy to oddać na krzyżu wierności Bogu. Tam ostatecznie umiera nasze ego. Walka, czujność i rozeznanie nie ograniczają się do zmagań z naszymi słabościami i nieuporządkowanymi skłonnościami – „jest to także ciągła walka z diabłem, który jest księciem zła" (GE 159).

Świętość nie jest jedynie rozkwitem tego, co w nas najlepsze, to ciągła walka z samym sobą i z szatanem, a więc ogólnie z wszelkimi przejawami grzechu, ale należy ją postrzegać jako zestrojenie człowieka z wzorcem, jakim jest Jezus. Takie zmaganie zakończy się dopiero w chwili śmierci, ponieważ opieramy się, aby odbyć czyściec na ziemi. Słuchając Franciszka przypominającego o realności zła osobowego, które w tradycji jezuickiej określane jest jako „nieprzyjaciel natury ludzkiej" (CD 10), musimy pamiętać, że walki duchowej nie należy odnosić do szatana, lecz do Jezusa. Ta walka ma umożliwić utożsamienie się z Jezusem, „przyobleczenie się" w Niego (por. Rz 13, 14; 1 Kor 15, 53-54; 2 Kor 5, 2-4; Ga 3, 27), a nie nerwicowe tropienie Zła we wszystkim i wszędzie. Świętość nie jest kontenerem dla naszych lęków, lecz drogą konfrontacji z nimi, bo święty jest świadkiem Zmartwychwstania.

Świętość to nie opcja na życie ani luksus. Poza świętością jest przeciętność bez względu na to, jakie miało się w życiu aspiracje i co się osiągnęło. Dlatego warto pójść za wezwaniem Innego, którego „echo" odnajdziemy w nauczaniu Franciszka, i wziąć sobie jego adhortację do serca. ©

Kogo szukasz?

PIOTR SIKORA

Poznanie siebie i rozpoznanie Zmartwychwstałego następuje w tym samym procesie.

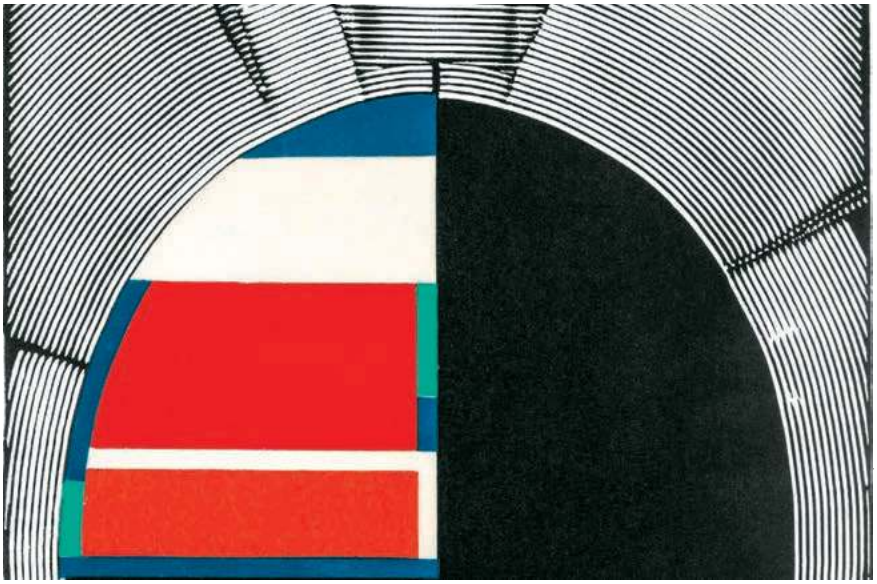

ARCHIWUM ARTYSTY

Ryszard Otręba, 145. Pozorna harmonia (gipsoryt), fragment

Miejscem obecności Zmartwychwstałego jest pusta przestrzeń między aniołami – tam, gdzie leżało ciało Jezusa, a gdzie teraz nie widać żadnego kształtu. Maria Magdalena – z którą może się utożsamić każdy czytelnik – nie zdawała sobie sprawy z Obecności, dopóki nie przeszła duchowej drogi, na której samopoznanie i stopniowe rozpoznawanie Zmartwychwstałego splotły się w jeden proces.

Wprowadzili ją na tę drogę aniołowie, stawiając pytanie: „kobieto, dlaczego płaczesz?" (J 20, 13). Dopiero jasne uświadomienie sobie przez Magdalenę przyczyny smutku: „Zabrano Pana mego i nie wiem, gdzie go położono" (J 20, 13) – pozwoliło jej dostrzec Jezusa, choć jeszcze nie była w stanie rozpoznać Jego tożsamości.

W tym momencie Mistrz przejmuje inicjatywę i stawia – jeszcze głębsze – pytanie: „kobieto, czemu płaczesz, kogo szukasz?" (J 20, 15). Jezus prowadzi Marię już nie tylko do przyczyny jej smutku, ale do uświadomienia jej najgłębszych dążeń: o co – o kogo – jej tak naprawdę chodzi?

Pytanie „kogo szukasz?" ma w tym miejscu Ewangelii wiele poziomów. Jest, owszem, pytaniem o prostą społeczną identyfikację szukanej osoby. Na tym poziomie Maria mogłaby odpowiedzieć po prostu: „szukam Jezusa z Nazaretu". Ale pytanie Jezusa ma głębszy sens – zmusza Magdalenę (i każdego z nas) do określenia, kogo szuka (szukając Jezusa). Fascynującego nauczyciela? Ciekawej postaci historycznej? Zlepionej z empirycznych (Maria) lub historycznych (my, dzisiaj) danych figury mającej zaspokoić emocjonalne pragnienia i zapewnić egzystencjalne bezpieczeństwo?

To, że można spotkać Zmartwychwstałego nie rozpoznając Jego tożsamości, widać wyraźnie z przebiegu historii opisanej w Ewangelii. Kiedy Maria myli Go z ogrodnikiem, ale nawet w – wydawałoby się – kulminacyjnym momencie, gdy zawołana przez Niego po imieniu, rozpoznaje, że to On i wykrzykuje: „Rabbuni!" (J 20, 16). Ujawnia się w tym momencie jeszcze głębiej splot samoświadomości i religijnego poznania: zapominamy (a może od początku nie wiemy), kim tak naprawdę jesteśmy – i dopiero boskie objawienie odsłania nam naszą własną, najgłębszą istotę (co, w kategoriach biblijnych, wyraża znajomość przez Boga naszego imienia). A właśnie wtedy, gdy uświadamiamy sobie tę naszą istotową tożsamość, rozpoznajemy, kogo szukamy.

Ale nie był to dla Marii (i nie jest dla nas) koniec drogi. Ona bowiem szukała (i my często szukamy) nie tego, kogo szukać należy – tj. nie tego, kim naprawdę jest Ten, kogo poszukujemy. Maria szukała bowiem Rabbiego – którego, jak jej się zdawało, dobrze przez tamte parę lat poznała, z którym związała swoje życie, którego kochała, na którego lubiła patrzeć, którego uwielbiała słuchać. My też mamy swoją, własnym wysiłkiem i na podstawie życiowych doświadczeń utworzoną wizję tego, co w naszym życiu najważniejsze, kto jest nam najdroższy; mamy własny obraz Boga.

Dopiero teraz nadchodzi kluczowy moment opowieści – i kluczowy moment naszej duchowej drogi. „*Me mou haptou*", „nie chwytaj, puść mnie" (J 20, 17) – mówi Jezus do Marii. Mówi i do nas: „Nie jestem takim, jakim mnie postrzegasz. Jeśli masz jakieś doświadczenia, wyobrażenia, koncepcje mojej osoby – to nie jestem ja w mojej prawdziwej tożsamości. Taki, jakim mnie pojmujesz, jeszcze nie wstąpiłem do Ojca – tam, gdzie moje miejsce, gdzie jestem naprawdę sobą, naprawdę zmartwychwstałym, uwielbionym Logosem Boga. Chcesz mnie rozpoznać takiego – musisz uwolnić się od wszystkich swoich religijnych przyzwyczajeń i koncepcji, w których chciałbyś mnie uchwycić, musisz uwolnić się nawet od samego pragnienia chwytania...".

Maria Magdalena przestała chwytać – puściła. I dopiero wtedy rozpoznała naprawdę i mogła powiedzieć pozostałym uczniom: „Widziałam PANA" (J 20, 18). ©℗

OGŁOSZENIE

Sąd Rejonowy w Sanoku, Wydział I Cywilny, w sprawie o sygn. akt I Ns 496/17, z wniosku Hanny Bujak, o stwierdzenie nabycia spadku po Urszuli Józefie Brykalskiej z domu Zegarska, c. Józefa i Katarzyny, zm. 14 listopada 2011 r., ostatnio zamieszkałej w Sanoku – wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od niniejszej publikacji zgłosili się i udowodnili prawo do nabycia spadku, gdyż mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

SZYMON

Hołownia:
Kropla życia

Ilekroć jadę na moją rodzinną Białostocczyznę, mam wrażenie, że coś dziwnego dzieje się tam z niebem. Za słabo przykładałem się do lekcji fizyki, żeby opisać to przy użyciu fachowych, optycznych pojęć, ale chodzi mi o wrażenie, że nieboskłon jest tam nieco niżej, rzeczywiście nachyla się ku ziemi. Nie wiem, może wciąż pracuje we mnie wdrukowana dziecku świadomość, iż cały jego świat – w którym na Zachodzie jest całkiem sporo miejsca na różne Warszawy, Gdański, Torunie i Poznanie, na Wschodzie opiera się o ścianę. Nieprzekraczalną granicę Imperium, której symbolem była metalowa brama nad torami na polsko-radzieckiej granicy w Gobiatach, z wielkim napisem „MIR".

Nie tylko pokój się tam zaczynał (rzecz jasna zdaniem fantastów, dla których był synonimem komunizmu), „*mir*" znaczy też przecież „świat". Pamiętam, jak – może dwunasto-, może trzynastoletni – oniemiały patrzyłem na tę bramę, uświadamiając sobie, że świat, który się za nią rozpędza, wyhamuje dopiero w Pacyfiku. Że ten kolejowy szlak (40 kilometrów wcześniej przebiegający prawie pod oknami naszego białostockiego mieszkania), zaraz za tą bramą połączy się krwiobiegiem torów biegnących pewnie aż tam, hen, do Władywostoku.

Ile to razy w środku nocy budziły nas dudniące po tych torach składy z węglem, z chlorem, z przykrytymi nie do końca szczelnie brezentem czołgami. Pamiętam szkolną wycieczkę z dziś podupadłej stacji Białystok Fabryczny (z której po sowieckiej napaści w 1939 r. tysiące Polaków wywożono na Syberię i do Kazachstanu) do ostatniej po polskiej stronie stacji Zubki Białostockie, którą przeżywałem tak, jak nigdy później nie przeżywałem lotów do Toronto albo Singapuru. Pamiętam szkolne biwaki w wiejskiej szkole w nieodległych Góranach (w której spaliliśmy archiwum dzienników lekcyjnych, a koledzy przeżywali swoje pierwsze przygody z pochodzącym z przemytu ruskim spirytusem znanym u nas jako „Rłajal"). Pamiętam – byłem wtedy może w połowie liceum – wyprawę pekaesem do nadgranicznych Krynek i całodzienny, pieszy powrót do Białegostoku. Kompletnie zagubione w środku Puszczy osiedla, zawijające się aż za horyzont piaszczyste drogi, Starą Grzybowszczyznę, gdzie w latach 30. XX wieku działał słynny prawosławny prorok – samozwaniec Ilja, i gdzie miała stanąć jego nowa Jerozolima – Wierszalin, a na ogłoszony przezeń koniec świata ludzie ciągnęli furmankami ponoć aż z okolic Hajnówki.

Te przestrzenie są tam i dziś, przez 30 lat nic się nie zmieniło. Przemysłu nie było tam nigdy, bo po co komu biznes pod praktycznie zamkniętą od dekad granicą. Za moich czasów była tam jednak jeszcze namiastka państwa: jeździły autobusy, były poczty, ośrodki zdrowia, sklepy. Dziś, wraz z wyjazdem dwóch młodszych pokoleń do miasta, wszystko to zwinęło się wraz z nimi, jedno po drugim. Społeczne pustynnienie obszarów wiejskich to trend ogólnoświatowy – widać go w Chinach, Mongolii, Brazylii. Kto jednak zajmie się tymi, którzy tam zostali? Zostali, bo „ty, synku, jedź, szukaj szczęścia, gdzie mnie po latach do bloków". Bo w mieście umrą jeszcze szybciej. Bo starych drzew się nie przesadza. Bo niby dlaczego mieliby, skoro z dziada pradziada są tutejszymi, a miasto nie zrozumie ich wiary, ich sposobu czytania świata, ich (cudownego, przyrządzonego z polszczyzny, rosyjskiego, białoruskiego i ukraińskiego) języka.

Parę lat temu dotarł tu człowiek, który wyczerpuje charakterystykę współczesnego Judyma, Paweł Grabowski, krakowski lekarz (pracujący później w Centrum Onkologii w Warszawie), opowiadający o sobie, że czując, iż musi zrobić coś więcej niż tylko karierę, napisał sobie „odwrócony biznesplan". Uznał, że poszuka miejsca, gdzie nikt nie chciałby pracować, gdzie nic nie ma prawa się udać, i gdzie generalnie ludzie będą pukać się w głowę, po jaką choinkę się w ogóle brać za takie rzeczy. Wylądował na wschodniej Białostocczyźnie, założył domowe hospicjum i dziś ze współpracownikami opiekuje się ponad trzydziestoma chorymi, mieszkającymi w wioskach odległych czasem o dziesiątki kilometrów od siebie. Jego marzeniem jest wybudować – pierwsze na Podlasiu, nie wiem, czy nie w Polsce – wiejskie hospicjum stacjonarne. Ma (wspaniały) projekt, kupił ziemię. Jedyne, czego potrzeba, to 15 mln złotych.

Kilka dni temu Paweł zabrał mnie na „objazd" swoich chorych. Po drodze gadaliśmy o jego Hospicjum Proroka Eliasza jako o znaku spotkania i pojednania na tym pograniczu (ma mieć dwóch patronów: katolickiego opiekuna chorych na trąd, błogosławionego ojca Jana Beyzyma i prawosławnego świętego, profesora chirurgii i biskupa Łukasza Wojno-Jasienieckiego). Później wioski: Szymki, Bondary, Ciwoniuki. Rozmowy z ludźmi, którzy naprawdę odchodzą, i takimi, którzy też mając się źle – dużo bardziej niż leków łakną człowieka, rozmowy. Łzy na koniec spotkania, podziękowania za wizytę, „niech Was Bóg błogosławi, chłopcy". Chyba po raz pierwszy dociera do mnie, jak nieprawdopodobną odpowiedzialność wkłada na człowieka taka praca, jakim zobowiązaniem jest być odpowiedzią na czyjeś modlitwy.

Jasne, że takie rzeczy powinno załatwiać państwo. Ale nie załatwia, ma inne priorytety: nie dociera do niego, że wspólnota jest tak silna jak najsłabszy jej członek. Jasne, że jest pewnie w Polsce paru ludzi, którzy mogliby postawić dziesięć takich hospicjów bez najmniejszego uszczerbku na jakości swojego życia, ale kim jestem, by mówić im, co mają robić ze swoimi pieniędzmi? Wiem, co mogę zrobić z moimi, nieporównanie mniejszymi. Moja fundacja Dobra Fabryka (www.dobrafabryka.pl) wzięła pod opiekę siedmiu chorych, zaczęliśmy też zbiórkę na stacjonarne Hospicjum Proroka Eliasza (www.hospicjumpodlasie.pl). W ciągu pierwszego tygodnia tylko na Facebooku zebraliśmy (od ponad tysiąca osób) prawie 120 tys. zł. Jasne, że kropla, ale przecież tych parę dni temu jeszcze jej tu nie było. ©

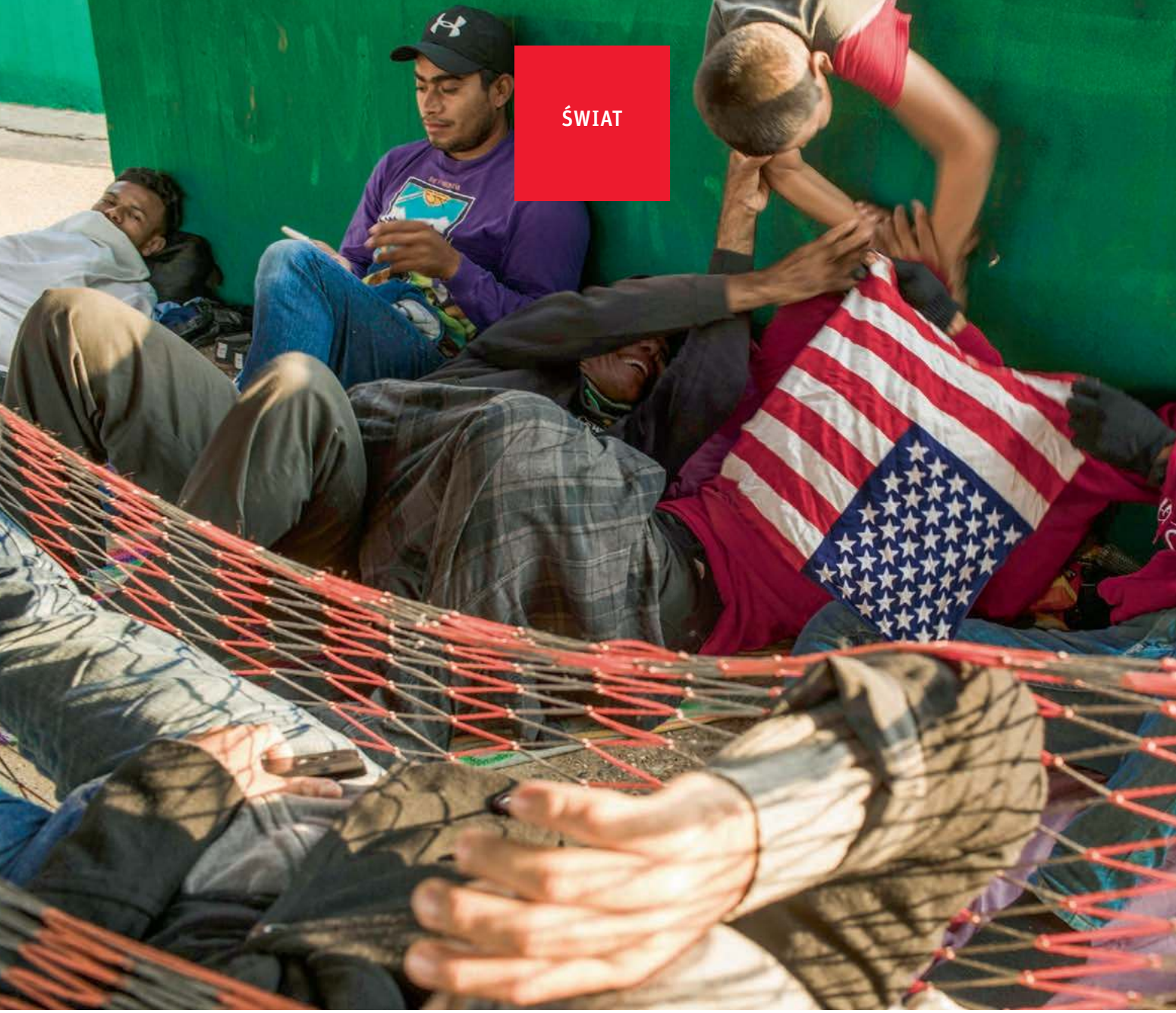

Grupa migrantów z Ameryki Środkowej odpoczywa w drodze do granicy USA. Miasteczko Matías Romero w Meksyku, 4 kwietnia 2018 r.

LUDZIE Z TRIÁNGULO NORTE

Nie wiemy, ile z ich relacji jest prawdą, a ile stworzono na potrzeby urzędników. Ale bezprawie w Ameryce Środkowej jest tak powszechne, że nie trzeba wyobraźni, by konstruować takie historie.

BEATA KOWALIK Z PUEBLI (MEKSYK)

JORDI RUIZ CIRERA / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Kiedyś wystarczyło trzy i pół tysiąca dolarów, by przekroczyć granicę Meksyku z USA. Dziś, gdy Donald Trump posyła tam Gwardię Narodową i zaostrzają się przepisy migracyjne – trzeba 7 tysięcy. Ale migranci z tzw. *Triángulo Norte* – trójkąta najbiedniejszych w tym regionie i najbardziej niebezpiecznych państw: Salwadoru, Hondurasu i Gwatemali – muszą jeszcze przedrzeć się przez Meksyk. Dla niektórych to droga krzyżowa.

Tak ją też nazywają: *Viacrucis Migrante*.

Bóg zsyła szansę

W piątek, 6 kwietnia, słynna karawana tysiąca migrantów z Ameryki Środkowej – ta, która urosła już do rangi symbolu, a której tak obawia się Donald Trump – dotarła do miasta Puebla w środkowym Meksyku. Samotni mężczyźni i kobiety, ale też rodziny lub matki z dziećmi. W tym 32 kobiety w ciąży (od soboty 31, bo jedna urodziła). Odwodnieni, głodni, z obtarciami na stopach, spaleni słońcem, poobijani. Ale szczęśliwi. Przebyli właśnie połowę drogi do USA, ich upragnionego raju.

32-letni Miguel z Salwadoru opowiada, że najpierw przez trzy dni przedzierał się przez równikowy las na granicy gwatemalsko-meksykańskiej, potem złapał lokalny autobus, a w Arriadze wskoczył do pociągu, słynnej „La Bestii". Teraz zatrzymał się w kościele na obrzeżach Puebli, tak samo jak inni ludzie z karawany. Gdy nabierze sił, ruszy pociągiem do Tijuany i stamtąd spróbuje dostać się nielegalnie do USA. – W moim kraju masz do wyboru kopać w polu i przymierać głodem albo kraść – mówi. – Nawet w Meksyku jest lepiej.

Miguel zostawił rodzinę. Będzie jej wysyłał pieniądze, jeśli wszystko się ułoży po jego myśli. Ale będzie żył w stresie: na legalny pobyt w USA nie może liczyć. Już raz był deportowany, z Florydy. – Złapali mnie za przekroczenie prędkości, a potem jeszcze znaleźli pistolet. Kupiłem dla żartów, wujkowi w Salwadorze chciałem wysłać. Młody byłem i głupi, teraz żałuję – wspomina. – Ale Bóg zawsze zsyła drugą szansę, co nie?

Wiejskie kościoły, prywatne domy, schronisko San Rafael, Comedor Papa Francisco – miejsca na tyle nieznaczące, że nie odnotowano ich na Trip Advisor ani Facebooku. To punkty wytchnienia przy granicy z Gwatemalą, w przedsionku piekła.

Niektórzy mieszkańcy przyjmują migrantów w domu, ze wszystkimi konsekwencjami, bo nie wszyscy przybysze to ludzie dobrzy. Kilka nocy zostają w schroniskach, zanim ruszą dalej. Gwatemalczycy, Salwadorczycy, Honduranie załatwiają fałszywe papiery, rozpytują o przewodników, zwanych *coyotes*. Czasem żebrzą, szukają byle jakiej pracy w lokalnych barach.

Ksiądz karmi jajecznicą

Katolicki ksiądz Gustavo Rodríguez Zárate z kościoła pod wezwaniem Nuestra Señora de la Asunción w Puebli od lat daje schronienie ludziom w drodze.

– Nie oceniam ich. Idą, bo chcą, bo cierpią biedę, bo uciekają przed przemocą – mówi. – Ale żyją złudzeniami: z tej grupy może 20-40 dostanie status uchodźcy w Stanach. To długi proces, wymaga wielu dokumentów. Nie wystarczy powiedzieć: jestem prześladowany w moim kraju. Trzeba to jeszcze udowodnić.

Co się stanie z innymi? Ksiądz: – Będą koczować przy granicy i czekać na okazję, będą się tułać po schroniskach, może znajdą pracę, by zapłacić *coyotes*. Niektórych wyłapie policja i odtransportuje do domów.

Dlatego ksiądz Gustavo (potężny, z tubalnym głosem, urodzony lider) prócz jajecznicy z warzywami, łazienki i miejsca do spania oferuje migrantom konsultacje z prawnikami, którzy wyjaśniają zawiłości systemu prawnego USA i przygotowują do wystąpienia o status uchodźcy.

– Dawniej szła cała biedota z południa. Teraz przeważa klasa średnia, która ucieka przed przemocą – zauważa ksiądz. – Przed biciem, biedą, beznadzieją w domu uciekają na północ także dzieci. Żony jadą do mężów. Rodziny, dawno temu rozdzielone, próbują się na nowo poskładać. Niekończący się marsz ludzkich nieszczęść.

Jak Ramon z Hondurasu, który podróżuje z bratem. – Jechaliśmy na dachu pociągu – wspomina. – Ciągle ktoś nas próbował okraść, ale trzymaliśmy się razem, większość facetów, ze dwa tysiące ludzi. W Chiapas koło Palenque jakaś kobieta z dwójką dzieci próbowała wskoczyć. Dzieci chwyciliśmy, ale jej się nie udało. Została tam, chyba jej obcięło nogę.

Ramon wygląda poważniej, niż sugeruje jego wiek: 27 lat. Twierdzi, że ucieka ze swojego kraju z powodu *narcos*. Nie chce zdradzić nic więcej, boi się konsekwencji w staraniach o wizę. Może był w grupie przestępczej, ale zaczęły się wojny między gangami i ratuje życie? A może zgłosili się po niego i powiedzieli „*Plata o plomo*" (Albo trzymasz z nami, albo kula w łeb)?

Gangi biorą, jak chcą

Tegoroczna karawana odbywa się pod hasłem Refugiados, uchodźców. Nie wszyscy przyjechali w „Bestii". Większość porusza się pieszo i autobusami, które sponsorują władze poszczególnych meksykańskich stanów.

W Tapachuli przy granicy z Gwatemalą (to najpopularniejsza trasa migrantów) stawiło się 1500 osób. Po drodze część oddzieliła się od karawany i podróżuje na własną rękę. Niektórzy poprosili o azyl w Meksyku. Od kiedy Trump grozi budową muru i utrudnieniami na granicy, liczba wniosków o meksykańską wizę wzrosła lawinowo. Według Comisión Mexicana de Ayuda a Refugiados w 2016 r. ↦

↦ w Meksyku wpłynęło 9 tys. wniosków o azyl (to wzrost o 155 proc. w stosunku do 2015 r.), a rok 2017 ustanowił kolejny rekord. Przy czym należy pamiętać, że rocznie południową granicę Meksyku przekracza nielegalnie 400 tys. migrantów.

Większość tułaczy celuje jednak w Stany. Tam mają rodziny i wolą zarabiać w dolarach.

Jak rodzina Caroliny z Salwadoru, która – jak mówi – chce tylko żyć godnie. I uchronić trzyletnią córkę przed strachem. Mała ma piękne zielone oczy, po prababci. Któregoś dnia mogliby przyjść po nią.

– Wchodzą do twojego domu, każą ci przechować broń albo narkotyki i nie możesz odmówić – mówi mąż Caroliny. – To samo z kobietami, biorą jak chcą, nikt im się nie stawia. Tylko bogacze za wysokimi murami żyją spokojnie, my jesteśmy na nich skazani. Nikt nie idzie na policję, bo nie chce umrzeć. Myśleliśmy, by wyprowadzić się do rodzinnego miasta mojej mamy. Ale tam z kolei rządzi Barrio 18, od razu by się na nas rzucili. W Salwadorze albo jesteś z bandy Barrio 18, albo z Mara Salvatrucha. Kontrolują wszystko, kradną, ściągają haracze, siłą wciągają do gangu, napawają się naszym strachem. Wystarczy!

Małżonkowie mają po 24 lata. Nigdy wcześniej nie byli za granicą, nie znają angielskiego. Z grupą 14 przyjaciół z miasteczka ruszyli na północ, bo nie mają innego pomysłu, jak normalnie żyć. Są zdeterminowani, by przekroczyć granicę z USA, legalnie czy nielegalnie.

Maria i córki

Nie wszyscy w karawanie są migracyjnymi nowicjuszami.

Maria, pochodząca z Hondurasu, spędziła kiedyś dwa dni na pustyni w Teksasie, płacąc za ten spacer w morderczym upale 7 tys. dolarów. Straż graniczna znalazła grupę i deportowała. Innym razem deportowali jej męża. Ale to nie powstrzymuje rodziny przed nową wyprawą.

– Teraz wzięłam córki, 13 i 15 lat – mówi cicho. – Spędziłyśmy dwa miesiące na południu Meksyku w Casa de Migrantes, czekając na okazję. I zobacz, dowiedziałam się o karawanie. Bóg chce mi pomóc w podróży. To najlepsze, co nam się mogło zdarzyć: idziemy razem, mamy co jeść i gdzie spać, jest bezpiecznie, wszyscy próbują nam pomóc.

Rzeczywiście, wkoło pełno wolontariuszy, darczyńców, ekip telewizyjnych, lekarzy i prawników.

Podchodzi do nas staruszka z koszykiem słodyczy z chili, ale Maria nie chce nawet spróbować. Boli ją głowa i prawa pierś. Rano obejrzał ją lekarz obsługujący karawanę, stwierdził duży guz. Potrzebne są kolejne badania, ale na to Maria nie ma czasu ani pieniędzy. Zresztą uważa, że Bóg jest najlepszym lekarzem. Skorzystała jedynie z odstresowującego masażu, zaproponowanego przez wolontariuszy.

Jaki jest jej plan? – Pójdziemy z karawaną, jak daleko się da. Potem zobaczę, jakie drzwi Bóg przede mną otworzy. On zna moje modlitwy. Może odnajdzie nas mąż? Nie mam z nim chwilowo kontaktu, chyba jeszcze nie kupił meksykańskiego numeru. Razem coś wymyślimy.

Maria ma ciocię w Stanach. Ale nie pamięta, w jakim mieście. Jedno wie na pewno: w Hondurasie nie da się żyć. Nie można spacerować samotnie po ulicach, nie można wychowywać dzieci ani godnie zarabiać na chleb. Twierdzi, że jako rodzina byli prześladowani przez brata męża, który gwałcił jej córki i teraz mści się na nich, bo poinformowali policję.

Akta, relacje, nekrologi

O przemocy seksualnej mówi też Eli z Salwadoru: najpierw żyła w przemocowym małżeństwie, a po rozstaniu z mężem wpadła w łapy gangu. Opowiada, że dwa dni i dwie noce trzymali ją w jakimś baraku. A potem straszyli, że zrobią to samo z jej córką, jeśli się poskarży.

Bo 24-letnia Eli ma 11-letnią córkę. – W mojej wsi dziewczynki szybko dojrzewają, szybko znajdują męża i od razu rodzą. Moja najlepsza przyjaciółka miała 12 lat, gdy została matką – wspomina. Teraz też jest w ciąży, trzeci miesiąc, z kolejnym partnerem. Razem wybrali się w drogę po lepsze życie. Córka została z babcią w Salwadorze. – Potem pomyślę, jak ją ściągnąć, gdy już się urządzimy – deklaruje.

Eli liczy, że dostanie azyl, bo wiele razy zgłaszała przemoc domową i ma poświadczenia. Ale czy to wystarczy, jeśli zdarzenia miały miejsce kilka lat temu, a jej były mąż jest już obywatelem USA, bo ożenił się z Amerykanką? Eli zadaje mi pytania, na które nie znam odpowiedzi. Ale w kościele Asunción od rana do nocy służą radą prawnicy z Meksyku i USA.

W kolejce do nich stoi Luz, samotna matka z dwójką dzieci. Mąż poszedł za pracą do USA, nigdy nie wrócił i nie płacił alimentów. Luz chce się dowiedzieć, czy rząd USA może jej pomóc w tym rodzinnym konflikcie.

Tony, wolontariusz z San Francisco (jego rodzice pochodzili z Meksyku), wyjaśnia zdezorientowanym, że największe szanse na azyl mają ci, którzy zostali przemocą wysiedleni, byli ofiarami porwań i tortur, dostawali groźby utraty życia, a ich sprawy mają solidną dokumentację. Jak np. członkowie mniejszości seksualnych, których w karawanie jest dużo, a ich pokaleczone ciała są dowodem na brak tolerancji.

Albo rodzina M. z San Vicente w Salwadorze. Ucieka wraz z mężem, dwoma córeczkami i mamą. Reszta rodziny albo została zabita, albo się ukrywa. – Mamy ze sobą dowody, akta sprawy, relacje prasowe, nekrologi bliskich, nie wrócimy tam, to kraj śmierci – mówi M.

Nie wiadomo, ile z tragicznych historii jest prawdą, a ile to opowieści stworzone na potrzeby urzędników. Najgorszą myślą jest ta, że przemoc z Ameryki Środkowej jest tak powszechna, iż nie trzeba żadnej wyobraźni, by konstruować takie historie.

Złapać „Bestię”

Maria Garibo García, doktorantka z Puebli, rok temu poszła zrobić wywiady z migrantami do swojej pracy doktorskiej. „Najlepiej będzie, jak sama zobaczysz, jedź z nami” – usłyszała. Nie zastanawiając się, w szpilkach i z teczką pod pachą, wskoczyła do „Bestii”. Z grupą kilkuset kobiet i mężczyzn uczestniczyła w podróży aż pod granicę z USA w Tijuanie.

Dlaczego pociągiem? – Bo tak jest bardziej radykalnie, w ten sposób migranci alarmują, że ich życie i zdrowie jest zagrożone, że jak dotąd żaden rząd nie próbował rozwiązać ich problemu w sposób długotrwały. Być zauważonym, przekraczać granice z godnością i legalnie: to główne cele karawany – mówi Maria.

– Czy wiesz, jak trudno wskoczyć do pędzącego pociągu? – kontynuuje. – „La Bestia” nie służy do wożenia ludzi. Ona po prostu jedzie, setki ludzi uczepionych drzwi i dachu to nie jest problem linii kolejowych. Na niektórych postojach udało mi się wybłagać, żebyśmy mogli skorzystać z toalety, odświeżyć się, kupić coś do jedzenia.

– Po wielu dniach takiej podróży uświadomiłam sobie, że już nie jestem tą samą osobą – mówi Maria. – Musiałam nauczyć się sikać w trakcie jazdy, zawieszona między wagonami. Zaczęłam śmierdzieć, mia-

BEATA KOWALIK X3

Maria z Hondurasu: „Bóg zna moje modlitwy".

Ks. Gustavo: „To marsz ludzkich nieszczęść".

Eli z Salwadoru: „Dwa dni i dwie noce w rękach gangu".

łam zniszczone ubranie, byłam głodna, zmęczona i spragniona. Nie myśl, że ludzie, których prosiliśmy o kąt do spania, chętnie otwierali nam drzwi. Oberwani tułacze ze Środkowej Ameryki są na ostatnim miejscu w łańcuchu społecznym.

Tapachula, Arriaga, Tenosique, potem Puebla, miasto Meksyk, Guadalajara, Torreón, Saltillo i dalej do przygranicznych miast: Tijuany, Juárezu, Nuevo Laredo, Reynosy – to szlaki pociągów towarowych przez Meksyk, które zbiorczo zyskały miano „Bestii". Codziennie jedzie nimi kilkuset ludzi. Z lekkim bagażem i niewielkimi zasobami finansowymi, większość słabo orientuje się na mapie Meksyku i w trasach kolejowych. Byle najdalej na północ.

– Zaskoczyło mnie, jakim szacunkiem traktuje się tam kobiety – mówi Maria. – One i dzieci zawsze siedzą w środku, dla bezpieczeństwa, pomaga się im. Czułam się bezpiecznie, choć nikogo nie znałam i byłam jedyną Meksykanką. Piłam, gadałam i cierpiałam upał razem z nimi, głodowałam, byłam poniżana i mierzona wzrokiem jak oni. Nikt, kto tego nie przeżył, nie jest sobie w stanie wyobrazić, jakie to uczucie, być tak zależnym od dobrej woli innych.

Kubek gorącej kawy

Czasami, po złych doświadczeniach, zachowują się jak ścigane zwierzęta, są nieufni, zdezorientowani. Polują na nich gangi i policjanci. Przy południowej granicy są w dobrej kondycji zdrowotnej, dopiero zaczęli podróż – na północ dotrą inni ludzie.

Ana Rubio Reyes widzi migrantów, którzy dotarli do Guadalajary. Rano i wieczorem, gdy jest najzimniej, Ana wychodzi z grupą wolontariuszy na ulice, proponując kubek herbaty. Widzi ludzi, którzy stracili skromny dobytek, zdrowie, nadzieję. Kolejne brudne ciało na chodniku. Ich wzrok się zmienia, gdy dostają coś do jedzenia. „Miłość i sprawiedliwość nie istnieje w tej podróży" – mówią.

Kiedyś Ana znalazła na ulicy Gwatemalczyka. „Trzy dni leżał. Nie jadł, nie korzystał z łazienki, umierał. Gdy go znaleźliśmy, nie chciał iść do szpitala, bał się deportacji. Powiedział, że okradli go, pobili i zrzucili z pociągu. Był w sytuacji tragicznego wyboru: śmierć na ulicy albo pomoc i powrót tam, skąd uciekał. Z tego, co wiem, został deportowany. Taka jest procedura. Nie rozumiem jej. Ale robię, co mogę. A mogę dać kubek gorącej kawy" – mówiła Ana na konferencji „*Migración y Salud Sociedad, Tiempo y Espacio*", która odbyła się w Puebli w styczniu tego roku.

W Meksyku – na portalach społecznościowych i w mediach – słychać często krytykę i zdegustowanie tym, że żebrzący uchodźcy są obecni w meksykańskich miastach: to nie są migranci, tylko przebierańcy, nie dawajmy im pieniędzy, to ich tylko zachęca do żebrania.

Maria, która wskoczyła do „Bestii", doprowadziła grupę migrantów do Tijuany. Tych, którzy mieli szansę na azyl w USA, odstawiła na przejście graniczne. Wróciła samolotem, po królewsku. Dopiero po wszystkim przyznała się rodzicom, co przeżyła.

Mówi, że nie może już słuchać o migrantach naciągaczach: – Nikt z ludzi, z którymi rozmawiałam, nie marzył o tym, by zostawić dom i podróżować na dachu pociągu.

Z danych Amnesty International wynika, że w regionie znacząco maleje liczba migrantów ekonomicznych do Stanów. Rośnie za to liczba migracji wymuszonych, głównie za sprawą przemocy, przestępczości i niewydolności państw Ameryki Środkowej w zapewnieniu bezpieczeństwa swym obywatelom. Liczba Meksykanów, którzy próbują dostać się do USA z powodów bytowych, też znacząco spada. W ostatnich latach po 7-10 tys. Meksykanów występowało o azyl w Stanach, motywując to strachem przed zorganizowaną przestępczością.

Z daleka od kamer

Pueblo Sin Fronteras – organizacja wspierająca *Viacrucis Migrante* – uważa, że człowiek ma prawo szukać najlepszego miejsca do życia. „Migracja to nie przestępstwo" – deklaruje. Stąd w karawanie biorą udział nie tylko autentyczni migranci, ale też aktywiści. Wielka karawana, której towarzyszy zainteresowanie mediów i wolontariuszy, jest dość bezpieczną formą podróżowania przez Meksyk.

W pozostałych dniach roku migranci narażają życie i zdrowie, z daleka od spojrzeń kamer.

W 2016 r. liczba zatrzymanych na terenie Meksyku uciekinierów z południa przekraczała średnio 500 dziennie. Wprawdzie działania tutejszego rządu doprowadziły do zmniejszenia nielegalnych podróżnych na grzbiecie „La Bestii", ale zdeterminowani biedacy zaczęli wybierać bardziej niebezpieczne drogi, kontrolowane przez gangi.

Królowie tych mniej uczęszczanych dróg biorą łapówki za przejazd, okradają, ↦

wymuszają usługi seksualne, czasem porywają dla okupu. Wielu podróżnych skończyło jako ofiara handlu ludźmi (do branży seksualnej), członkowie gangów lub niewolnicy w posiadłościach mafiosów. Amnesty International szacuje, że 20 tys. rocznie jest porywanych dla pieniędzy. Migranci to towar jak każdy inny, ma swoją wartość: okup wynosi 3-5 tys. dolarów amerykańskich.

Na antenie stacji radiowych w Meksyku oddaje się czasem głos krewnym, szukającym ojców, synów, mężów, córek, którzy tu gdzieś zaginęli i nikt ich nie szuka. W grudniu kraj mariachi przemierzy *Caravana de Madres de Migrantes Desaparecidos* – pochód matek z południa, szukających zaginionych dzieci.

Niektórzy twierdzą, że przerzut przez Meksyk w całości kontrolują kartele.

Trójkąt meksykański

W 2010 r. w meksykańskim stanie Tamaulipas odkryto zwłoki 72 przybyszów z Ameryki Środkowej. Sześć miesięcy później w tym samym miejscu odnaleziono kolejne 193 ciała. Rok potem, w sąsiednim stanie, szczątki 47 osób. Podejrzewa się, że to migranci, którzy nie mieli rodzin w Stanach, gotowych zapłacić okup. A ilu zniknęło bez śladu?

Trójkąt bermudzki, jakim stał się Meksyk dla banitów z południa, ma swoje tajemnice.

W tym samym stanie Tamaulipas, graniczącym z USA, w ciągu jednego tylko miesiąca tego roku odnaleziono 600 żywych uciekinierów, większość z Ameryki Środkowej, stłoczonych na niewielkiej przestrzeni, czekających na możliwość nielegalnego przerzutu do Teksasu. Kolejnych 198 znaleziono upchniętych w ciężarówkach. Innych w przyczepach. Odwodnionych, niedożywionych. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Większość zapłaciła organizatorom tego przemytu.

Odnalezionych rząd Meksyku deportuje do kraju pochodzenia – w 2017 r. było to, według oficjalnych statystyk, ponad 80 tys. osób. Organizacje praw człowieka twierdzą, że podczas deportacji dochodzi do łamania prawa (rozdzielania rodzin, przetrzymywania w nieludzkich warunkach, nieinformowania o możliwości wystąpienia o azyl). Do tego bicie, poniżanie, odbieranie rzeczy osobistych, pieniędzy. I na koniec deportacja, choć większość zgłaszała obawę o życie i zdrowie w kraju pochodzenia.

„Byłem deportowany 27 razy. Agentów Instituto Nacional de Migración nie interesowało, czemu uciekłem z ojczyzny. Śmiali się ze mnie" – takie zeznanie 23-letniego Honduranina zanotowali ankieterzy Amnesty International w 2016 r. Mężczyzna twierdził, że uciekł z gangu, do którego został przymusowo wcielony w wieku 13 lat. Mówił, że za ucieczkę grozi mu śmierć.

Obciążenie specyficzne

Tony – wolontariusz z San Francisco, który przybył do Puebli z grupą przyjaciół – uważa, że to tutaj, w połowie drogi, jest najlepszy moment, by wyjaśnić wątpliwości i w razie czego namówić migrantów na inne rozwiązania: powrót do kraju, staranie się o legalny pobyt w Meksyku, ewentualnie skompletowanie dokumentów do wystąpienia o azyl w Stanach.

– Ludzie mają prawo do godnego życia, do skorzystania z szansy, jaką daje prawo – mówi Tony. – Niektórzy zarzucają nam, że jesteśmy szpiegami rządu USA, by odsiać „fałszywych uchodźców". Nic z tych rzeczy. Nie zgadzam się z polityką Trumpa. Z drugiej strony zdaję sobie sprawę, że nie możemy przyjąć wszystkich uchodźców. Sytuacja jest tragiczna.

W jednym z licznych tweetów komentujących tegoroczną karawanę prezydent Trump zagroził, że USA nie przyjmą uchodźców i Meksyk ma obowiązek powstrzymania tych ludzi przed dotarciem do granicy.

Tymczasem od 2016 r. w okolicach przygranicznych meksykańskich miast Tijuany i Mexicali obserwuje się nowe zjawisko: schroniska i centra pomocy przyjmują obywateli Haiti, Konga, Ghany, Senegalu, Somalii i Mali.

„Meksyk otrzymał szczególne miejsce na mapie świata: jest krajem pochodzenia wielu emigrantów, ale też miejscem tranzytowym dla rzeszy ludzi z krajów, gdzie jest przemoc i przestępczość zorganizowana – mówiła dr Maria de Lourdes Rosas López z Uniwersytetu UPAEP w Puebli na konferencji o migracji. – I z tym specyficznym obciążeniem musi sobie jakoś poradzić".

© BEATA KOWALIK

Autorka jest dziennikarką, podróżniczką i blogerką. Od kilku lat mieszka w Meksyku. Wkrótce nakładem wydawnictwa Dowody na Istnienie ukaże się jej książka pt. „To jest mój macho. Kobieta w Meksyku".

Rozmowy za kratami

MADHUMITA PANDEY, INDYJSKA KRYMINOLOŻKA:

Dla wielu moich koleżanek obmacywanie w autobusie było codziennością. W Indiach świadomość zmienia się od niedawna.

AGNIESZKA ROSTKOWSKA: Niech zgadnę: wszystko zaczęło się od sprawy Jyoti Singh, zgadza się?

MADHUMITA PANDEY: Tak, na pomysł przeprowadzenia badań wpadłam w grudniu 2012 r. Choć nie mieszkałam już w New Delhi, ale w Wielkiej Brytanii, gdzie robię doktorat. Tam też szeroko komentowano gwałt na Nirbhayi [z języka hindi: Nieustraszona – przydomek nadany Jyoti Singh – red.]. Zresztą mówił o nim cały świat. To zapoczątkowało w Indiach debatę o przemocy seksualnej, wcześniej temat był tabu. Uznałam, że to dobry moment, by przyjrzeć się aspektom psychologicznym, przesuwając centrum uwagi z ofiar na oprawców. Mimo porażającej skali problemu, w Indiach nigdy nie prowadzono badań wśród skazanych za przestępstwa seksualne. W innych krajach to norma, prowadzi się je regularnie od lat 50. XX w. Wyniki odgrywają wielką rolę w zapobieganiu tego typu przestępstwom i w resocjalizacji.

Jak prowadziłaś badania?

Podstawą były znane specjalistom kwestionariusze: skala postaw wobec kobiet (Attitudes toward Women Scale, AWS) i tzw. Multicultural Masculinity Ideology Scale (MMIS). Oraz wywiad osobisty, w formie swobodnej rozmowy. Pytałam o dzieciństwo, o związki, jakie w życiu stworzyli, sposób traktowania kobiet w rodzinach, o okoliczności przestępstwa. Najważniejszy był sposób, w jaki tłumaczyli swoje zachowanie i opisywali ofiarę.

ARCHIWUM PRYWATNE

Madhumita Pandey przebadała setkę mężczyzn, skazanych w Indiach za przestępstwa seksualne.

Nie bałaś się, że skończy się jak z „*India's Daughter*", głośnym dokumentem, w którym reżyserka Leslee Udwin oddała głos m.in. oprawcom Jyoti? Emisji w Indiach zakazano, a gdy film umieszczono na YouTubie, zablokowano do niego dostęp.

Kontrowersje wokół filmu wiązały się głównie z tym, że ci ludzie nie byli prawomocnie skazani, a film mógł wpłynąć na wyrok. Ja badałam osadzonych, których sprawy były zamknięte. Poza tym nie zajmowałam się tak medialnymi przypadkami. O moich rozmówcach prawie nikt nie słyszał, choć czyny, których się dopuścili, bywały równie drastyczne. A opinia publiczna dowiaduje się o moich badaniach dopiero teraz, gdy jestem na półmetku.

Jaki jest oddźwięk?

Raczej pozytywny. Choć były głosy, że jestem „kolejną pieklącą się feministką, która chce dowalić mężczyznom". Na szczęście mam wielkie wsparcie uczelni. Bez niego prawdopodobnie nawet nie przekroczyłabym progu więzienia, bo uzyskanie pozwoleń na rozmowy z osadzonymi nie było łatwe. Nie mówiąc już o tym, że zaczynając badania, byłam ledwie 22-letnią, świeżo upieczoną absolwentką socjologii, pełną obaw.

Jakie obawy były najsilniejsze?

Czy uda mi się utrzymać emocje na wodzy, zachować bezstronność. Nie chciałam przystępować do badań z założeniem, że ci mężczyźni to bestie bez ludzkich uczuć. Obawiałam się też agresji czy wulgarnych komentarzy z ich strony. Udział w badaniach był dobrowolny, ale przecież miałam zadawać im intymne pytania, które mogłyby rozwścieczyć każdego. Ku mojemu zaskoczeniu wszyscy zachowywali się wobec mnie bez zarzutu. Co po części jest zasługą władz więzienia, które słynie z wyjątkowo skutecznego programu resocjalizacji. Chętnie odpowiadali na pytania. I całkiem otwarcie. Niektórzy pod koniec płakali, rozmowa była dla nich *katharsis*. Będąc od lat w izolacji – bo niemal wszyscy odsiadywali wyroki od 7 do 10 lat – łaknęli kontaktu z drugim człowiekiem, szczególnie z zewnątrz.

Nie udawali?

Największą trudnością była właśnie niepewność, czy mówią prawdę. Nie mogłam zweryfikować wszystkich historii, jeździć do ich rodzinnych wiosek i sprawdzać, czy np. ich ojcowie rzeczywiście bili ich matki. Musiałam uważnie interpretować ich słowa i wyciągać z nich wnioski.

Co mieli ze sobą wspólnego?

Najczęściej pochodzili z najuboższych indyjskich stanów, jak Orisa czy Jharkhand. Wielu ukończyło jedną czy dwie klasy szkoły podstawowej, a potem przerywali edukację, by pomóc rodzicom ↦

Jak Jyoti Singh zmieniła Indie

TO, CO SPOTKAŁO 23-letnią Jyoti Singh, dla wielu kobiet z Indii miało okazać się przełomem w ich własnym życiu. Choć sama Jyoti już się o tym nie dowiedziała. W grudniu 2012 r. razem ze swoim chłopakiem wracała wieczorem z kina w New Delhi, indyjskiej stolicy. Wsiedli do autobusu. Tam dziewczynę zgwałciło sześciu mężczyzn, z bestialską brutalnością – do penetracji używali m.in. metalowego pręta, którym poszarpali jej jelita. Jej chłopaka dotkliwie pobili. Potem nieprzytomną parę po prostu wyrzucili z autobusu. Znaleźli ich przypadkowi przechodnie, którzy zawiadomili policję.

W następnych dniach o dramatycznej walce lekarzy o życie Jyoti można było przeczytać we wszystkich indyjskich gazetach i najważniejszych światowych mediach. Pamiętam to dobrze, bo w tym czasie studiowałam na Uniwersytecie Jawaharlala Nehru w New Delhi. Wtedy, w drugiej połowie grudnia rozmawialiśmy ze znajomymi tylko o Jyoti. Nic innego nie miało w tych dniach znaczenia. Nie tylko ze względu na skalę bestialstwa wyrządzonego tej dziewczynie. Szokujący był też fakt, że Jyoti padła ofiarą gwałtu, choć stosowała się do rad, które nieraz słyszała każda kobieta mieszkająca w indyjskiej stolicy: nie wracaj w późnych godzinach wieczornych i nigdy sama.

Na przystanek, na którym wsiadła do autobusu, znosiliśmy kwiaty i świece, stał się on też docelowym punktem licznych marszów protestacyjnych. Marszów nie tylko w geście sprzeciwu wobec przemocy seksualnej wyrządzanej kobietom, ale też sprzeciwu wobec ignorowania tego problemu przez władze. Protesty szybko rozlały się na cały kraj i ostatecznie doprowadziły do ukarania sprawców. Ale Jyoti nie udało się uratować – zmarła po dwóch tygodniach. Jej dramat zapoczątkował w Indiach zmiany społeczne, których kontynuatorką chce być Madhumita Pandey, doktorantka kryminologii na Anglia Ruskin University w Cambridge. Pandey kończy właśnie badania na temat przemocy seksualnej, które przez trzy lata prowadziła wśród ponad stu indyjskich więźniów skazanych za gwałt i inne przestępstwa seksualne. Wszyscy odsiadują wyroki w Tihar – największym więzieniu Azji Południowej, które znajduje się w New Delhi.

© AGNIESZKA ROSTKOWSKA

↦ w pracy, zatrudniali się w hotelach lub domach prywatnych np. jako sprzątacze. Po kilku latach w poszukiwaniu lepszych zarobków wyjeżdżali do Delhi. Ale uwaga: ubóstwo, braki w edukacji czy migracja to tylko mikroczynniki środowiskowe, które nie przekładają się na ogólną charakterystykę osoby dopuszczającej się gwałtu. Nie można stwierdzić, że ktoś spełnia kryteria typowego gwałciciela, to uproszczenie. Gwałtu może dopuścić się każdy, również osoba dobrze nam znana. Wśród moich rozmówców byli ojcowie skazani za gwałt na swoich córkach albo partnerzy i koledzy zgwałconych kobiet.

Jak opisywali swoje ofiary?

Większość opisywała skrzywdzone kobiety w podobny sposób. Mówili, że „to leżało w jej charakterze", że „na pewno tego chciała", albo że „perfidnie mnie sprowokowała". Nie przyznawali się do winy, obwiniali swoje ofiary. Słowo „gwałciciel" jest tak potężnym stygmatem, że nie byli w stanie go zaakceptować nawet sami przed sobą. Przytaczali szczegóły, które nie pozostawiały wątpliwości, że doszło do gwałtu. Ale opis sytuacji kończyli komentarzem, że „to już wszystko, nie zrobiłem nic więcej, nie zgwałciłem jej". Niektórzy po prostu nie wiedzieli, czym jest gwałt.

To znaczy?

Pewien mężczyzna twierdził, że sprowokowała go córka właściciela mieszkania, w którym wynajmował pokój. Właściciel wysyłał córkę po odbiór czynszu. Mężczyzna zalegał, więc przychodziła kilkukrotnie. W jego odczuciu było to upokarzające, problemy finansowe odbierał jako wstyd, a ona mu o nich przypominała. Dlatego postanowił „dać jej nauczkę". Gdy kolejny raz zapukała, wciągnął ją do pokoju, zaczął szarpać, a potem pocałował. Opowiadał, że „sprawy szybko potoczyły się tak, że wylądowaliśmy w łóżku".

Zapytałam, czy ma pewność, że ona tego chciała. Odparł, że tak, bo go nie powstrzymała. Jakby uznał, że dopóki ta dziewczyna jednocześnie nie wrzeszczy, nie kopie i nie trzyma transparentu „Zostaw mnie!", to ma ochotę na seks. Dopytałam, czy jest pewien, że jej nie zgwałcił. Odparł, że tak, „bo jej nie ubrudził". Zarzekał się, że „nigdy nie ubrudziłby żadnej kobiety". Nie zrozumiałam, co ma na myśli. Wytłumaczył, że nie doszło do ejakulacji. Dla niego gwałt był równoznaczny z wytryskiem w ciele ofiary.

HINDUSTAN TIMES / GETTY IMAGES

Protest przeciwko bezczynności rządu po gwałcie i zabójstwie studentki Jyoti Singh. New Delhi, grudzień 2012 r.

Która rozmowa była najtrudniejsza?

Po pierwszym wywiadzie byłam przerażona. Mężczyzna utrzymywał, że został wrobiony. Opowiadał o konflikcie jego rodziny z sąsiadami. Twierdził, że posłużyli się swoją córką, która go uwiodła i oskarżyła o gwałt. Odpowiadał zdawkowo, bez emocji. Pomyślałam, że jeśli wszystkie rozmowy będą takie, uzyskam dane o sytuacji rodzinnej więźniów i tyle.

Ale następni byli bardziej wygadani. Szczególnie utkwił mi w pamięci mężczyzna, który zgwałcił pięciolatkę. Jako jeden z niewielu się przyznał. Żałował, że zrujnował jej życie, okazał skruchę, chciał naprawić szkody. Był świadomy, że w Indiach kobieta, która nie jest dziewicą, ma małe szanse na znalezienie męża. Zwłaszcza na prowincji, gdzie już zawsze będzie społecznie napiętnowana. Dlatego postanowił, że gdy wyjdzie, to się z nią ożeni. Wiedział, jak ją odnaleźć. Uznał, że tak rozwiąże jej problemy. To tylko jeden z przykładów, jak niewykształceni i nieświadomi skutków własnych czynów są ci mężczyźni.

Brak edukacji, także seksualnej, to główny powód, dla którego problem występuje w Indiach na wielką skalę?

Psychologowie badający motywy, którymi kierują się gwałciciele, są zgodni co do jednego: nie da się wyodrębnić głównego powodu. W Indiach rzeczywiście nie ma edukacji seksualnej, dziewczynki i chłopcy nie mają świadomości ani swoich ciał, ani praw, a temat seksu czy jakichkolwiek relacji damsko-męskich to wciąż tabu. Na tyle silne, że nawet teraz rozmowy z osadzonymi na tak intymne tematy były dla mnie krępujące.

Jednak gwałt na Jyoti Singh miał ogromny oddźwięk społeczny.

Zanim doszło do masowych protestów, nigdy bym nie pomyślała, że podobna sprawa może poruszyć cały kraj. W Indiach przemoc seksualna jest bagatelizowana, traktowana jako część codziennego życia. Sama wychowywałam się i dorastałam w New Delhi. Jeśli idąc ulicą z przyjaciółką zauważyłabym, że jakiś mężczyzna taksuje nas wzrokiem z lubieżnym uśmiechem, to nawet przez myśl by mi nie przeszło, aby zapytać go: „czemu gapisz się na mój biust?". Obie spuściłybyśmy wzrok lub zboczyły z drogi, aby go ominąć. Dla wielu moich koleżanek obmacywanie w autobusie w drodze na uczelnię było niemal codziennością. Ja na zajęcia jeździłam własnym autem, więc nic takiego mnie nie spotkało. Zresztą moi rodzice bardzo starali się temu zapobiec: kazali mi wcześniej wracać do domu, zabraniali chodzić do dzielnic uznawanych za niebezpieczne.

Od tamtych protestów minęło ponad pięć lat. Co się zmieniło w Indiach?

Demonstracje uświadomiły rzeszom kobiet, że mają prawo stawiać granice, a mężczyznom, że ich przekraczanie jest niedopuszczalne. Gwałt nie jest już tabu, wiele dziewczyn zrozumiało, że nie muszą milczeć i mają prawo zgłosić sprawę na policję. Poza tym już w grudniu 2012 r. powołano komitet pod przewodnictwem J.S. Vermy, byłego ministra sprawiedliwości. Miał opracować zmiany, które ułatwią walkę z przemocą seksualną. Verma zaprosił do współpracy organizacje pozarządowe i stowarzyszenia kobiece.

Według danych rządowych przy reformie prawa uwzględniono 90 proc. rekomendacji komitetu. Poza tym utworzono placówki, tzw. *One Stop Centres*, gdzie kobiety mogą uzyskać szybką pomoc – medyczną, prawną, psychologiczną. Podobne punkty powstały w szpitalach, gdzie ofiary są badane przez kobiety-lekarki, a zawiadomienie policji jest obowiązkiem szpitala.

Proces zgłaszania przestępstw stał się więc łatwiejszy i mniej traumatyczny dla ofiar. Policja jest czujniejsza na ten problem. Dlatego liczba zgłaszanych gwałtów z roku na rok rośnie. To wszystko znaczny postęp, ale wciąż jest wiele do zrobienia.

Wykorzystasz swoje badania do jakichś dalszych działań?

Prowadziłam je w ramach doktoratu, który bronię w lipcu. Potem jego fragmenty chcę opublikować w pismach specjalistycznych. Część wniosków już prezentowałam na międzynarodowych konferencjach Brytyjskiego Towarzystwa Kryminologicznego i Amerykańskiego Towarzystwa Kryminologicznego. To ważne, bo nauki społeczne są w Indiach marginalizowane i niedofinansowane. A przecież bez nich nie rozwiążemy problemów trapiących społeczeństwo. Zauważyłam, że inni indyjscy naukowcy podejmują teraz podobne badania. Niektórzy proponowali mi współpracę. To dla mnie radość, bo tylko łącząc siły możemy opracować kompleksowe wnioski. Mam nadzieję, że dla Indii będzie to kolejny krok naprzód.

© Rozmawiała
AGNIESZKA ROSTKOWSKA

Witany jak król

DOMINIK HÉJJ Z SZÉKESFEHÉRVÁR

„Magyarság" – to słowo trudno przełożyć tak, by oddać wszystkie sensy i emocje z nim związane. Wojownikiem walczącym o „magyarság" chce być dziś Viktor Orbán. To jedna z tajemnic jego sukcesu. Choć nie jedyna.

Zaskoczenia nie było. Choć zdziwili się zapewne ci młodzi ludzie, którzy w XI dzielnicy Budapesztu stanęli w długiej kolejce – pewni, że wysoka frekwencja, do której dołożyli swój własny głos, będzie oznaczać problemy dla Viktora Orbána.

Węgierskie wybory na długo pozostawią swój ślad. Nie tylko z powodu niespotykanych od ćwierć wieku kolejek do urn, ale też za sprawą jeszcze głębszej polaryzacji w kraju. A także trzęsienia ziemi w partiach opozycji: po tej klęsce niemal wszyscy ich liderzy ustąpili. Niektórzy – rzecz niezwyczajna – zrzekli się nawet mandatu posła.

U siebie

Z Budapesztu do Székesfehérvár – miasta, w którym Fidesz kończył swoją kampanię – jedzie się około godziny. Miejsce to dla Orbána nieprzypadkowe: tu urodził się w 1963 r., tu ukończył gimnazjum Blanki Teleki. I to tutaj, na dwa dni przed głosowaniem, miało paść ostateczne wezwanie do mobilizacji.

Dlatego pociąg, którym zwykle pod koniec tygodnia wracają do domu ludzie pracujący w Budapeszcie, tego dnia wypełnił się także zwolennikami Fideszu, ubranymi w charakterystyczne pomarańczowe barwy. Już na miejscu dziarskim krokiem pokonywali dwa kilometry dzielące dworzec od placu ratuszowego. W większości były to osoby w wieku okołoemerytalnym.

Plac szybko wypełnił się zwolennikami Orbána, czekającymi na jego przybycie. Emeryci, ale także sporo rodzin z dziećmi. Młodzi byli praktycznie niewidoczni – choć według sondaży Fidesz wygrywa we wszystkich grupach wiekowych.

Jest w tym jakaś symbolika, że Orbán był tu witany jak król. To o tyle symboliczne, że Székesfehérvár (nazwę miasta tłumaczy się jako Biały Kamienny Zamek) to pierwsza stolica Węgier. Założone jeszcze w X stuleciu przez Gézę – ojca Stefana, pierwszego króla Węgier (ogłoszonego potem świętym). To tu aż do roku 1526 – kiedy to kraj uległ tureckiej nawale – koronowano 43 węgierskich królów.

Székesfehérvár uznawane jest za kolebkę węgierskiej państwowości, chrześcijańskiego kraju, a także „węgierskości" w ogóle. Choć „węgierskość" to za mało – określenia *magyarság* nie sposób adekwatnie przetłumaczyć tak, aby oddać wszystkie związane z nim sensy i emocje.

Obrońca „węgierskości"

Właśnie to słowo, *magyarság*, pojawiało się wielokrotnie w płomiennym przemówieniu Orbána w Székesfehérvár. Ubrana w *magyarság*, wizja Orbána o migracyjnym zagrożeniu, o hordach, które miałyby pozbawić Węgrów kultury i tożsamości, w jej kolebce brzmiała podniośle.

Orbán podkreślał, że osiem lat rządów jego koalicji (Fideszu i chrześcijańskich demokratów) udowodniło, iż istnienie państwa narodowego nie jest zagrożone. Przekonywał, że głos na Fidesz to decyzja przesądzająca o losie Węgier nie tylko dla obecnego pokolenia, lecz także dla kolejnych generacji. W tej wizji wojownikiem o „węgierskość", jej obrońcą, jednoznacznie miałby być właśnie on – Viktor Orbán.

Premier dowodził, że po 2010 r. Fidesz spłacił zadłużenie, m.in. wobec Międzynarodowego Funduszu Walutowego, obniżył dług publiczny, oparł gospodarkę na pracy, wsparł emerytów i rodziny. Opozycja, która chce przejąć władzę, w jego wizji miałaby być synonimem wszelkiego zła. Przyjmując migrantów, rozdałaby im publiczne pieniądze – zamiast redystrybuować środki do dotychczasowych beneficjentów. ↦

DARKO VOJINOVIC / AP / EAST NEWS

Viktor Orbán na wiecu kończącym kampanię Fideszu. Székesfehérvár, 6 kwietnia 2018 r.

Oparcie przekazu tylko na kryzysie migracyjnym sprawia, że sukces Fideszu – jakim było uzyskanie w niedzielę 8 kwietnia konstytucyjnej większości w parlamencie – można rozpatrywać jako wotum zaufania wobec polityki migracyjnej rządu. Tym bardziej że wyniki wyborów w wielu miejscach pokrywają się z wynikami referendum w sprawie odrzucenia mechanizmu relokacji migrantów z 2016 r. (niewiążącego z powodu za małej frekwencji).

Mobilizując w Székesfehérvár zwolenników, Orbán przypomniał, że w 2002 r. „byliśmy w sobotę i poniedziałek, ale nie było nas w niedzielę". Było to nawiązanie do wyborów, w których Fidesz uległ lewicowo-liberalnej koalicji, choć różnica była niewielka. O ile więc pozycja Fideszu jest dziś niekwestionowana, o tyle Orbán wolał przypomnieć sympatykom, że dominacja w sondażach (nieprzerwanie od 12 lat) nie oznacza automatycznego zwycięstwa.

Mobilizacja okazała się skuteczna.

Prowincja wie swoje

Węgry są krajem silnie podzielonym nie tylko w układzie miasto–wieś, ale też na linii: Budapeszt i cała reszta. Wysnuwanie wniosków o sytuacji politycznej jedynie w oparciu o to, co można zaobserwować w Budapeszcie, byłoby błędne.

I tak, w kampanii opozycja eksponowała afery rządu, dobrze udokumentowane. Sondaże wskazują, że w powszechnej opinii po 2010 r. korupcja jest większa niż za poprzedniej koalicji lewicowo-liberalnej, którą uważano ongiś za przykład krańcowy.

Jednak o ile taka wiedza ma wartość w Budapeszcie, o tyle na prowincji odwoływanie się do niej w ogóle nie działa – nawet jeśli wieś głośno komentowała rozprzedanie ziemi rolnej między klanami oligarchów powiązanych z politykami Fideszu.

Na węgierskiej prowincji dominuje przekonanie, że wszędzie tak jest, a nadużycia władzy są immanentną częścią jej sprawowania. Fidesz pozyskał 295 tys. nowych głosów (na 8,3 mln uprawnionych do głosowania) i bardzo zyskał na terenach wiejskich, odbierając część wyborców Jobbikowi, który na dwa lata przed wyborami porzucił swój prawicowy radykalizm i prezentował bardziej centrowe oblicze.

Fidesz trzyma w garści także setki tysięcy ludzi zatrudnionych w sektorze publicznym. O tym, czy ktoś będzie mieć pracę, decyduje burmistrz – najczęściej z Fideszu. Ekonomiści szacują, że realne bezrobocie nie wynosi 3,7 proc., lecz co najmniej dwukrotnie więcej. Inna rzecz, że opozycja nie była w stanie przedstawić wyborcom z obszarów wiejskich czegokolwiek, poza wizją zmiany samej władzy.

Budapeszt jest inny

W dzień wyborów niezwykle wysoką frekwencję widać było w Budapeszcie już od rana – do głosowania ustawiały się długie kolejki. Chętni napływali do późna i Narodowe Biuro Wyborcze zdecydowało, że o dziewiętnastej zostaną zamknięte nie lokale wyborcze, lecz kolejki do nich – tak aby umożliwić oddanie głosu wszystkim, którzy w nich czekali. Przy ulicy Eötvös w Budapeszcie o dziewiętnastej kolejka, i to podwójna, ciągnęła się jeszcze na 100 metrów. A i tak jeśli ktoś chciał, mógł do niej dołączyć także po jej oficjalnym „zamknięciu".

Jeszcze więcej chętnych oczekiwało cierpliwie w XI dzielnicy – tam w czterech komisjach wyborczych, zlokalizowanych w jednym budynku przy ulicy Bocskai, do rejestru wyborców dopisało się aż 11 tys. ludzi (tj. głosujących poza miejscem zamieszkania).

Gdy dotarłem tam przed dwudziestą, kolejka miała ponad pół kilometra długości i stało w niej jakieś cztery tysiące ludzi – niemal sami młodzi. Bez wątpienia ogromna większość przyszła z nadzieją, że odsuną Fidesz od władzy. Uderzały spokój i cierpliwość. Dzielili się między sobą wodą. Jeśli ktoś rozmawiał, to na wesoło. Mało kto pewnie sądził, że ich nadzieja się nie spełni.

Tym bardziej że również w tym stołecznym okręgu jednomandatowym wygrał kandydat Fideszu – minister obrony narodowej István Simicskó. Choć jego przewaga nad Erzsébet Németh, kandydatką Koalicji Demokratycznej, wyniosła tylko 858 głosów. Wniosek był prosty: gdyby w tej dzielnicy opozycja wystawiła wspólnego kandydata, wygrałaby bez problemu. Takich miejsc w stolicy było sześć. Bez tych sześciu mandatów Fidesz nie miałby konstytucyjnej większości.

Tymczasem stawką tych wyborów była właśnie większość konstytucyjna. Fideszowi udało się zmobilizować elektorat, a nawet go poszerzyć. Po raz kolejny kunszt polityczny Orbána, jego umiejętność wyczuwania nastrojów i rozgrywania opozycji okazały się dla niej przeszkodami nie do pokonania. Polityka nie zna sentymentów: jeśli nie dojdzie do przebudowy opozycji – dziś rozproszonej i skłóconej – w 2022 r. Orbán będzie mieć czwartą z rzędu kadencję w kieszeni.

© DOMINIK HÉJJ

Park Geun-hye w sidłach zemsty

ROMAN HUSARSKI

24 lata więzienia i grzywna o równowartości ponad 17 mln dolarów. Taki wyrok – po ponad rocznym procesie o korupcję – usłyszała była prezydent Korei Południowej.

KIM HONG-JI / REUTERS / FORUM

W drodze na rozprawę, Seul, sierpień 2017 r.

Sąd uznał, że pani Park Geun-hye miała żądać aż 22 mln dolarów łapówek od trzech największych konglomeratów biznesowych w kraju: Samsunga, Lotte i SK Group. Dla 66-letniej kobiety tak wysoki wyrok (gwałciciele i zabójcy rzadko kiedy dostają tu więcej niż 10 lat) w praktyce może oznaczać dożywocie. Jej przyjaciółkę Choi Soon-sil skazano na 20 lat – Park dzieliła się z nią sprawami najwyższej wagi państwowej i przekazywała jej pieniądze.

Czy naprawdę zasłużyła

Kara takiego kalibru dla kogoś, kto pełnił funkcję głowy państwa, mogła szokować świat. W Korei Południowej większość przywitała ją jako upragnioną sprawiedliwość. Protestujący w obronie byłej prezydent to głównie emeryci, z sympatią wspominający jej ojca, generała Park Chung-hee, którzy rządził krajem w latach 1963-79. Grupa ta stanowi obecnie margines.

Trudno jednak odrzucić przekonanie, że Park – niezależnie od jej winy – stała się politycznym kozłem ofiarnym. W chwili kryzysu wielu sojuszników odwróciło się od niej. W mediach robiono z niej dyktatorkę, marionetkę w rękach „szamanki" Choi Soon-sil, a nawet morderczynię. Wielu Koreańczyków wierzy, że to ona ponosi winę za katastrofę promu Sewol w 2014 r. (zginęło w niej ponad 300 osób). W koreańskich mediach i internecie Park stała się ucieleśnieniem zła. Tymczasem gdy jeszcze w 2013 r. obejmowała władzę, uzyskała najwyższy wynik w historii wyborów powszechnych w Korei (51 proc.).

Praktycznie każdy z poprzednich rządzących miał coś na swoim sumieniu. Pytanie, czy Park zasłużyła na tak surowy wyrok? Bez wątpienia była łatwym celem, bo była kobietą – pierwszą na takim stanowisku w historii kraju o silnie patriarchalnej kulturze. Jej dzieciństwo w cieniu zamordowanych rodziców (oboje zginęli w zamachach) i samotność nie tylko nie okazały się czynnikiem łagodzącym, lecz zostały wykorzystane przeciw niej. Jak pisałem na tych łamach, było to polowanie na czarownice [patrz „TP" nr 48/2016 – red.]. Sąd nad nią został już ogłoszony jako wielkie zwycięstwo nowej administracji obecnego prezydenta Moon Jae-ina.

Dobijanie przegranych

Polityka w Korei Południowej jest brutalna: wygrany zgarnia wszystko i nie bierze jeńców. Pierwszy prezydent Rhee Syngman (rządził w latach 1948-60) musiał uciekać z kraju, a prezydent Park Chung-hee (1963-79) został zastrzelony przez szefa służb specjalnych. Chun Doo-hwan (1979-88) i jego następca Roh Tae-woo (1988-93) zostali osądzeni w 1996 r., gdy władzę objęła opozycja – pierwszy za masakrę na studentach otrzymał wyrok śmierci, drugi 22,5 roku więzienia za korupcję (rok później obu zwolniono, za wstawiennictwem prezydenta Kim Dae-junga, który sam kilka lat spędził w celi śmierci). Liberalni prezydenci Kim Young-sam (1993-98), wspomniany Kim Dae-jung (1998–2003) i Roh Moo-hyun (2003-08) uwikłani byli w afery korupcyjne, a członkowie ich rodzin usłyszeli wyroki skazujące (Roh popełnił samobójstwo, prawdopodobnie nie mogąc znieść wstydu).

Najwidoczniej obecnie rządzący nie dostrzegają dziejowej prawidłowości. Mówiąc językiem klasyków polskiej polityki, postanowili „dorżnąć watahę". Następny w kolejce po Park Geun-hye jest Lee Myung-bak – prezydent w latach 2008-12, też z obozu konserwatystów. Właśnie usłyszał 14 zarzutów, w tym przekupstwa, nadużywania władzy czy fałszowania wyborów. Tzw. postępowcy z rządzącej dziś Partii Minju uważają, że skazanie go będzie kolejnym krokiem na drodze do historycznej sprawiedliwości.

Nie widzą przy tym różnicy między autokratą a politykiem wybranym demokratycznie. Kim Min-seok – szef think tanku rządzącej partii – mówił miesiąc temu, że Lee i Park wraz z dyktatorami poprzedniej epoki reprezentują „antydemokrację, zdradę, współpracę z Japonią, podział Półwyspu i zimną wojnę". Wzniosłe hasła są tu przykrywką dla brutalnej zemsty.

System trwa

Jeśli skazanie Park Geun-hye ma pełnić rolę egzorcyzmu na niestabilnym społeczeństwie, to jest on niepełny i chwilowy. Niejaki Jay Y. Lee – faktyczny szef Samsunga – opuścił w lutym więzienie z uśmiechem na twarzy. Wyrok 5 lat za oferowanie łapówek Choi (wspomnianej przyjaciółce pani prezydent) został zamieniony przez sąd apelacyjny na dwa lata w zawieszeniu.

Wielu badaczy Korei Południowej wskazuje, że źródłem problemów kraju jest specyficzny system, w którym tzw. czebole – wielkie konglomeraty ekonomiczne, jak Samsung – od lat ingerują w politykę. ©

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

ROMAN HUSARSKI będzie gościem radia TOK FM w czwartek 19 kwietnia o godz. 15.20
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

Suwerenni dzięki Wam, nadal rośniemy!

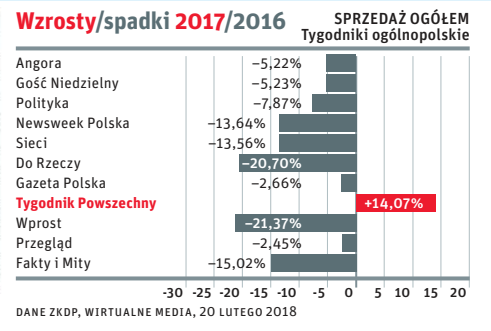

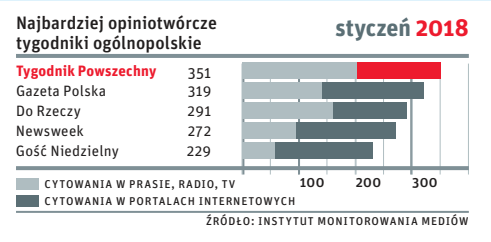

Mija kolejny rok, w którym coraz więcej Czytelniczek i Czytelników sięga po „Tygodnik Powszechny". Ufamy, że ten wynik to nie tylko efekt docenienia przez Państwa niezależności oraz dbałości o obiektywizm i wiarygodność informacji w naszym piśmie, ale także tego, że zabiegamy o jakość debaty publicznej, nie angażując się bezpośrednio w spory partyjne.

ODPOWIEDZIALNE DZIENNIKARSTWO to także niedopuszczenie do degradacji więzi i relacji tworzących wspólnotę. Dlatego na naszych łamach nie stajemy po żadnej ze stron, lecz relacjonujemy fakty, opisujemy postawy i komentujemy poglądy. W działalności pozawydawniczej (festiwale Conrad i Copernicus, akcja społeczna Lekcje Czytania, debaty) staramy się łączyć, nie dzielić, poznawać różne punkty widzenia, dyskutować i poszerzać horyzonty, widząc w tym drogę do pełniejszego poznania świata i wyzbycia się lęku.

JESTEŚMY PRZEKONANI, że los odpowiedzialnego dziennikarstwa leży Państwu na sercu. Dlatego prosimy o przekazanie 1% podatku **FUNDACJI TYGODNIKA POWSZECHNEGO**. Jej najważniejszym zadaniem jest zachowanie dziedzictwa „Tygodnika". Fundacja ponosi też właścicielską odpowiedzialność za suwerenny rozwój pisma. Festiwale kulturalne i akcje społeczne, które organizujemy, pozwalają wyjść z misją „TP" poza gazetowe łamy i przyciągnąć nowych czytelników.

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

SKALA I SKUTECZNOŚĆ działań Fundacji Tygodnika Powszechnego zależą od naszych Czytelników i Przyjaciół. Za wszelkie wsparcie: 1% podatku, darowizny pieniężne czy sponsoring naszych przedsięwzięć – jesteśmy Państwu ogromnie wdzięczni.

1%

Fundacja Tygodnika Powszechnego posiada status OPP, co oznacza, że można, i że warto przeznaczyć na jej działalność 1 procent podatku, wpisując w rozliczeniu rocznym PIT w odpowiedniej rubryce nr KRS:
0000125605
Darowizny na rzecz Fundacji prosimy wpłacać na konto:
31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

Ks. Adam Boniecki
redaktor senior, przewodniczący Rady Fundacji TP

Aleksander Kardyś
prezes zarządu Fundacji TP

Edyta Płachta
członkini zarządu Fundacji TP

Jacek Ślusarczyk
prezes zarządu „TP"

Maja Kuczmińska
członkini zarządu „TP"

Piotr Mucharski
redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego"

OGŁOSZENIE OPP / FOT. GRAŻYNA MAKARA

TYGODNIK POWSZECHNY

75. ROCZNICA POWSTANIA W GETCIE WARSZAWSKIM

„TP" 17/2018

W czasie zawieszonym

BARBARA ENGELKING:

Wola życia jest ogromna i ma swoje prawa. W getcie zakładano ogródki, dawano koncerty, czytano. I kochano.

BEATA CHOMĄTOWSKA: „Staramy się żyć normalnie. Rozumiesz – normalnie, w takich warunkach" – mówił Pani Jerzy, świadek Zagłady. Jak można było zachować normalność w getcie?

BARBARA ENGELKING: Może to właśnie pomogło mu w przeżyciu? Świat getta był normalny i nienormalny zarazem. Normalny w takim sensie, że żyli w nim ludzie, a więc istniały ludzkie uczucia, więzi i potrzeby. Lekarze leczyli chorych, zakochiwano się, pobierano, rodziły się dzieci. Odwołując się do piramidy potrzeb Maslowa, gdzie podstawą są potrzeby fizjologiczne i bezpieczeństwa, można powiedzieć, że ci, którzy nie byli bardzo głodni, mogli w takich warunkach nawet odczuwać i realizować potrzeby wyższego rzędu. Bo warunki, o jakich mowa, normalne z pewnością nie były. Getto warszawskie to stłoczenie ludzi na niewielkiej przestrzeni, gdzie wszystko się dzieje naraz, jest skondensowane i zagęszczone w czasie. Słowem: to, co zwykle możemy obserwować w różnych punktach globu, gdzie w jednym miejscu ludzie umierają z głodu, w drugim się zabijają, a w innym kochają, od listopada 1940 r. skupia się tam w obrębie czterech kilometrów kwadratowych.

Jak znalezienie się w takim miejscu wpływa na ludzi?

Zwykłe zachowania w warunkach przegęszczenia zostają zaburzone. Etnolog Edward Hall nazywa taką sytuację bagnem behawioralnym, gdzie ludzie, skrępowani niewielkim terytorium, na którym muszą egzystować, czują się wpędzeni w różne niechciane sytuacje, więzi, reakcje emocjonalne, na które reagują co-

ODBITKA W ZBIORACH ŻIH / HEINRICH JOST

Ul. Miła od Zamenhofa w kierunku pl. Muranowskiego (dziś okolice Intraco), Warszawa, wrzesień 1941 r.

raz większym stresem. Wszechobecny tłum, tłok, hałas, do tego nieustanne poczucie zagrożenia.

W getcie warszawskim ujawniają się też nieprawdopodobne kontrasty. To 450 tys. osób, czyli duże miasto, mniej więcej takie jak dzisiejszy Gdańsk. Wśród jego przymusowych mieszkańców są przedstawiciele różnych klas, o różnym stopniu zamożności, różnym poczuciu tożsamości, o rozmaitych upodobaniach. W jednym miejscu znaleźli się ci, którzy wcześniej mieszkali na tym terenie i zostali w swoich, wyposażonych w różne dobra mieszkaniach, i ci, którzy zostali tu przesiedleni. Wśród tych ostatnich będzie najwięcej umierających z głodu. Wojna pozbawiła ich zasobów i możliwości zarobkowania. Dotarli tu, tracąc resztki dobytku w kolejnych punktach przesiadkowych. Gdy pomoc społeczna funkcjonująca w getcie okazała się niewystarczająca, szybko spadli na samo dno. W ciągu dwóch i pół roku w getcie umiera z głodu mniej więcej 100 tysięcy ludzi.

Przedwojenne hierarchie społeczne nadal w getcie obowiązywały?

Getto nawet je w pewnym sensie rozwinęło, bo dysproporcja między zamożnymi a biednymi była większa i bardziej znacząca niż przed wojną. O podwójnym szczęściu mogła mówić jedna z mieszkanek getta, która tuż przed wojną wygrała na loterii. Starczyło jej, by kupić życie dla całej rodziny w getcie i potem po aryjskiej stronie. To było nietypowe źródło zamożności, ale zwykle ci, którzy mieli jakieś zasoby, zyskiwali większą szansę na przetrwanie. Zwykle – bo im więcej czytam i im dłużej zajmuję się gettem, tym bardziej stronię od kategorycznych sformułowań w rodzaju „zawsze" i „nigdy". Można było być bogatym i zginąć, albo biednym i bez szans – a przeżyć. Zresztą przy próbach zrozumienia życia w getcie zderzamy się ciągle z faktem, że nasza wiedza opiera się w dużej mierze na przekazach przedstawicieli klasy średniej i wyższej, którzy przeżyli. To w jakiś sposób wypacza obraz.

Janina Bauman pisze we wspomnieniach: „Tę drugą zimę w getcie pamiętam jako czas niezdrowej stabilizacji. Nauczyłam się żyć w morzu cierpienia, które podchodziło pod próg mojego domu". A inna, anonimowa autorka: „W zimie 1942 r. widziało się nawet na ulicach getta ludzi bosych. Nie robiło to nawet takiego wrażenia". Wraca pytanie: jak można było przyzwyczaić się do tak nienormalnej rzeczywistości?

Jest coś fascynującego w tym, że ludzie potrafili adaptować się do realiów getta – ale inaczej chyba by się nie dało, nie można żyć w dwóch równoległych rzeczywistościach, normalnej i nienormalnej, bo prowadziłoby to do schizofrenii. Może to jest uniwersalna cecha ludzkiego umysłu i psychiki, że staramy się poznać świat wokół nas, nawet jeśli jest okropny, i uznać go za oczywistość, w której trzeba zachowywać się racjonalnie.

Co kieruje ludźmi, gdy próbują oswoić gettowy świat?

Podstawowym celem jest przetrwanie. Wola życia jest ogromna i ma swoje prawa, i ludzie, nawet podejrzewając, że to wszystko się źle skończy, a może właśnie dlatego, tym bardziej chcą żyć.

Pamiętam rozmowę z prof. Israelem Gutmanem, rocznik 1923, który wszedł do getta jako młody chłopak o idealistycznym nastawieniu. Był członkiem syjonistycznej organizacji Haszomer Hacair, która przygotowywała młodzież do osiedlenia się w Palestynie. Obowiązywały tam rozmaite zasady, m.in. taka, że dopóki nie wyjadą z Polski, nie wolno im tknąć papierosów i spróbować seksu. I oczywiście – opowiadał po latach profesor – w getcie zarówno seks, jak i papieros stały się czymś zupełnie normalnym, podobnie jak świadomość, że być może żaden z nich nigdy tej upragnionej Palestyny nie dożyje. Rzeczywistość zweryfikowała ideały.

Udało się utrzymać jakieś inne tego typu normy?

W getcie mamy dwa rodzaje normalności, jeśli można ją tak nazwać. Jedna to wspomniana wewnętrzna normalność getta, czyli adaptacja do jego warunków. Druga to taka, dla której punkt odniesienia stanowiła rzeczywistość sprzed wojny. Postępowanie w zgodzie z przedwojennymi normami było obroną wolności, niezgodą na życie w warunkach narzuconych przez okupanta. Nawet poprzez podtrzymywanie codziennych rytuałów, golenie się, dbanie, by mieć czyste buty.

Przypomina mi się scena z relacji Mariana Berlanda: autor trafia z rodziną na Umschlagplatz, gdzie czekają na wywózkę w dawnym budynku szkolnym. Żandarmi wtłaczają ich do przepełnionej sali. Przebywający w niej ludzie załatwiają swoje potrzeby fizjologiczne na oczach wszystkich, o nic już nie dbając. Marian przypadkiem odkrywa, że obok znajduje się inne pomieszczenie, mniej zatłoczone, gdzie we względnym ładzie na wywózkę czekają osoby jeszcze całkiem nieźle ubrane. Przy najbliższej okazji, umykając uwagi strażników, przeprowadza bliskich właśnie tam i jak najszybciej przebiera się w czystą odzież.

To właśnie ten mechanizm obronny, by się nie poddać, rodzaj oporu psychicznego. Normalność gettowa to były też żarty. Odreagowywanie, podobnie zresztą jak po drugiej stronie muru.

Jak jeszcze się adaptowano?

Istniało życie towarzyskie, indywidualne, rodzinne, ale też z konieczności sąsiedzkie, bo ze względu na obowiązywanie godziny policyjnej wiele działo się w obrębie jednej kamienicy.

Większość budynków to były kamienice o dużych podwórzach i wielu oficynach, których brama od ulicy była zamknięta po godzinie policyjnej, tworząc swoistą enklawę. To też stworzyło bazę dla Komitetów Domowych, które działały w getcie niemal w każdej kamienicy. Komitet był społeczną organizacją, skupiającą lokatorów danego domu, która niosła pomoc najuboższym spośród nich. Choćby poprzez akcję „Jedna łyżka", polegającą na tym, że gospodynie oddawały po jednej łyżce własnej zupy na rzecz głodujących sąsiadów. Albo kto mógł, zapraszał do domu kogoś na obiad.

Życie towarzyskie w obrębie kamienic toczyło się wieczorami: słuchano muzyki, grano w karty, zapraszano na występy artystów. Stefania Grodzieńska opowiadała mi, że często chodzili we dwie-trzy osoby na wieczorki organizowane przez rozmaite kamienice. Śpiewali, opowiadali felietony. Zapłatą był oczywiście posiłek. A ponieważ po godzinie policyjnej nie można ↦

↦ było wyjść, artyści zostawali przeważnie na noc, występy trwały długo.

Biedni i bogaci dzielili te same rozrywki?

Każda klasa społeczna podtrzymywała własne zwyczaje. Symbolem przedwojennego warszawskiego „towarzystwa" była kawiarnia Sztuka, najbardziej elitarny lokal w getcie, gdzie Wiera Gran śpiewała dawne szlagiery, grywali Władysław Szpilman i Andrzej Włast, konferansjerem był Leonid Fokszański. Wielką popularnością cieszyły się satyryczne komentarze do rzeczywistości – taką rolę pełnił kabaret Władysława Szlengela „Żywy dziennik", rodzaj stand-upu, jak byśmy dziś powiedzieli. Chodzono tam, by choć na moment oderwać się od tego, co czekało za drzwiami, pielęgnować złudzenie, że istnieje normalny świat. Z innych rozrywek – grywano w brydża, dużo czytano. Gdy Niemcy zakazali prowadzenia bibliotek, w getcie powstały ruchome wypożyczalnie. Prowadzili je ludzie, którzy mieli własne książki, albo nielegalny dostęp do nieczynnych księgozbiorów. Bibliotekarki wędrowały po mieszkaniach, zbierały zamówienia, a później lektury. Na niektóre książki trzeba było długo czekać.

Co czytano najchętniej?

Z gettowej listy bestsellerów praktycznie nie znikała „Krystyna córka Lawransa" i „Przeminęło z wiatrem". Adam Czerniaków, prezes Judenratu, chętnie czytał książki o zwierzętach, ale również Prousta i Cervantesa. Po ataku Niemiec na ZSRR najpopularniejsze stały się książki o kampanii Napoleona. Największym jednak bestsellerem było „Czterdzieści dni Musa Dah" Franza Werfla, które mówi o oblężeniu przez Turków wzgórza, gdzie przez ten symboliczny czas bronili się Ormianie.

Lektury były próbą odnalezienia własnych przeżyć i analogii historycznych?

Tak to interpretuję. Pytanie: „Jak się to wszystko skończy?" wisiało nad mieszkańcami getta przez pierwsze dwa i pół roku. W zachowanych listach z getta Hala Szwambaum, młoda dziewczyna, pisze do swojej nauczycielki, Stefanii Liliental, również Żydówki, która została z dzieckiem po aryjskiej stronie, jak świetnie sobie radzi w tych nowych dla niej warunkach. Donosi, że zasadziła na balkonie fasolkę i kiedy roślina wyrośnie, będzie mieć prawie własny Ogród Saski.

To hodowanie roślin na balkonie, prowadzenie ogródków jordanowskich mają w sobie nadzieję, że człowiek doczeka chwili, gdy fasolka dorośnie, pomidor dojrzeje, prawda?

Pokazują też stosunek do czasu, który w getcie płynie inaczej niż za murami, na pewno szybciej. Getto było wyspą w czasie, zawieszoną w gęstej teraźniejszości, gdzie przeszłość uległa zawieszeniu, a przyszłość zmieniła się w wieczność. Z kolei czas spędzony w ukryciu po aryjskiej stronie ciągnie się niemiłosiernie, potrafi być opresyjny: tortura nudy.

Oprócz życia sąsiedzkiego czy indywidualnych rozrywek w getcie jest też życie rodzinne. Jak ono wygląda?

Wiele rodzin w getcie zmieniło skład, rozsypał się tradycyjny podział ról. Bywa, że członkowie rodzin stają się sobie bliżsi niż wcześniej, ale może być też odwrotnie. W tomie „Pusta woda" Krystyny Żywulskiej jest opowiadanie „Marynarka", oparte na autentycznej historii rodzinnej. By utrzymać się w getcie, zubożali rodzice wyprzedają kolejne rzeczy. Pewnego dnia matka wynosi na sprzedaż ostatnią marynarkę ojca i znajduje w kieszeni list miłosny od innej kobiety. Wychodzi na jaw przedwojenny romans, co zmienia relacje w rodzinie i redefiniuje jej dotychczasową historię.

Skoro jesteśmy przy miłości, Hala pisze w jednym z listów do pani Stefanii, że najlepszym stróżem moralności w getcie są warunki mieszkaniowe. Kiedy zakochuje się szczęśliwie, jej romans nie może doczekać się spełnienia, bo jak tu kochać się z chłopakiem, gdy mieszka się kątem w nie swoim, zapełnionym lokatorami mieszkaniu? Gdy getto opustoszeje po wysiedleniach, będzie zupełnie inaczej. Wtedy świadomość śmierci staje się tak dominująca, że potrzeba bliskości fizycznej z drugim człowiekiem jest często jedynym ratunkiem przed lękiem. Prof. Gutman opowiadał mi też, że w bunkrach, już w czasie powstania, ludzie bali się tak bardzo, że tylko zbliżenie się z kimś, nawet zupełnie obcym, pozwalało na chwilę zapomnieć o strachu. To bardzo ludzkie. Inny świadek Zagłady, Mietek Pachter, wspomina ukrywanie się w bunkrze na Miłej z początkiem maja 1943 r. Kiedy tylko wokół rozlegają się kroki Niemców, jakaś nieznana mu dziewczyna, której nawet w tej ciemności nie widzi, łapie go za rękę. To powtarza się wielokrotnie – wobec groźby odkrycia schronu łapią się kurczowo za ręce i tak trwają, dzień po dniu. W końcu Niemcy ich wygarniają, prowadzą na Umschlagplatz, i tam z kolei, w ciągu trzech dni czekania na wywózkę, Mietek i Dziunia przeżywają wielką miłość.

Przeżyli?

Mietek trafił do Majdanka, potem do Skarżyska, przeżył, Dziunia zginęła. Miłość potrafi dopaść człowieka w najdziwniejszych miejscach. Mietka dopadła akurat na Umschlagplatzu.

Albo inna historia: kolega prof. Gutmana, Szlomo Szapiro, chłopak z prostej rodziny, która dopiero w getcie zaczęła nieźle prosperować, bo szyła fartuchy z używanych ciuchów, sprzedając je po aryjskiej stronie. Szlomo miał od dawna marzenie, by pójść do teatru. Przed wojną nigdy nie był. I gdy uzbierał pieniądze, poszedł po raz pierwszy. Z dziewczyną. Gutman spierał się wiele lat później ze Szlomem, że chodzenie do teatru w getcie to skandal. Niemoralne zachowanie, jak oglądanie filmu na cmentarzu. Szlomo, też już 80-letni, nie rozumiał, o co mu chodzi. Przecież nie wiedział, czy przeżyje i czy kiedykolwiek będzie miał szansę jeszcze pójść do teatru!

Dla niego był symbolem wtajemniczenia w życie, dorosłości.

Do elementów normalności, o której wcześniej rozmawiałyśmy, należało też przekonanie, że dzieci powinny się uczyć. Niemcy już w 1939 r. zamknęli szkoły dla Żydów, żydowscy nauczyciele nie mieli

TYGODNIK POWSZECHNY
Dodatek do „Tygodnika Powszechnego" 17/2018
Redakcja: Michał Okoński, projekt graficzny i fotoedycja: Marek Zalejski.
Na okładce wykorzystano zdjęcie fragmentu pomnika Bohaterów Getta w Warszawie dłuta Natana Rapaporta, FOT. WOJTEK LASKI / EAST NEWS
Partner dodatku Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN

pracy, istniał więc popyt i podaż, zorganizowano naukę w ramach Tajnej Organizacji Nauczycielskiej, czyli konspiracyjnego ZNP, które działało po obu stronach muru i regulowało zasady funkcjonowania tajnych kompletów, by po wojnie uznać tamte lata szkolne za zaliczone według jednego standardu. Cały czas borykano się z dylematami: skąd wziąć pomoce naukowe? Jak w tych warunkach uczyć dzieci, czym jest Wisła albo morze? Przez jakiś czas radzono sobie, korzystając z fotoplastykonu na Lesznie, który miał serię slajdów z różnych stron świata. Coraz trudniej było też utrzymać uwagę wygłodzonych uczniów. Wielu wypadało z systemu szkolnego, bo zaczynali zajmować się szmuglem, pracowali, by pomóc w utrzymaniu rodzin. W getcie zdawano matury, przed komisjami, na które przychodzili egzaminatorzy ze strony aryjskiej. Antoni Marianowicz, który też zdawał, opisuje, jak zdenerwowani maturzyści przystępowali do egzaminów – zupełnie jak w normalnym życiu. Świadectw wydano sto kilkadziesiąt, po wojnie odebrano dwa.

Potrzeba kształcenia porządkowała jakoś życie, nadawała mu sens?

Na pewno ważne było znalezienie zajęcia, zapełnienie czasu. W getcie też obawiano się poważnie, że wyrośnie tu pokolenie analfabetów, które po wojnie będzie miało opóźniony start w dorosłość, więc trzeba temu zapobiec. Bardzo długo traktowano getto jako sytuację przejściową. Uważano, że gdy wróci normalny świat, zdobytą wiedzę i umiejętności będzie można wykorzystać. W końcu jednak zaczynają się wysiedlenia.

Jak zmieniają się wtedy postawy mieszkańców?

Getto po akcji sierpniowej 1942 r. jest już zupełnie innym miejscem. Ma w sobie coś ze średniowiecznego miasta ogarniętego zarazą, z Bocaccia albo „Dżumy" Camusa. Osobny świat rządzący się swoimi prawami. Wszyscy wiedzą, że zginą, i że są równi wobec śmierci. To zmienia atmosferę. Kończy się władza Judenratu, nikt już nie wierzy w możliwość jakichkolwiek ustaleń z Niemcami. Wtedy władzę nad gettem przejmuje „partia". Wielu mieszkańców nie wie, że nazywa się: Żydowska Organizacja Bojowa, ale wiedzą, że jest jakaś „partia", która rządzi. Zaczynają się wewnętrzne rozliczenia, likwidacja kolaborantów. Społeczeństwo się militaryzuje, zaczynają się poszukiwania broni i budowanie bunkrów. Niezwykła jest ta determinacja ludności cywilnej, by walczyć, na wszelkie możliwe sposoby, i stawiać opór, jak tylko można. Wszyscy gromadzą żywność na pół roku, wierząc – po klęsce Niemców pod Stalingradem – że tyle potrwa czekanie na koniec wojny.

Trzeba pamiętać, że Powstanie w Getcie to nie tylko te 2 tysiące ludzi z bronią, ale także 50 tysięcy pozostałych, bezbronnych.

Druga strona pomnika Natana Rapaporta.

Bez tych cywilów, ich zdecydowania, że będą się ukrywać, bez ich opowiedzenia się po stronie bojowców, nie byłoby w ogóle powstania. Oni też walczą, tylko że w inny sposób. Powtarzanie, że Żydzi szli biernie na rzeź, jest niesprawiedliwe, pozbawione zrozumienia i empatii. Widzimy ludzi, którzy idą na Umschlagplatz, ale w tym marszu jest bardzo wiele innych powodów, bynajmniej nie bierność, choć z zewnątrz może to tak wyglądać. Idą tam rozmaite uczucia: zmęczenie, rezygnacja i wyczerpanie, ale także przywiązanie, wierność i miłość niepozwalająca zostawiać bliskich.

YAD VASHEM / AP / EAST NEWS

PROF. BARBARA ENGELKING
jest psycholożką i socjolożką, szefową Centrum Badań nad Zagładą Żydów Instytutu Filozofii i Socjologii PAN i przewodniczącą Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej. Wydała m.in. (wspólnie z Jackiem Leociakiem) „Getto warszawskie. Przewodnik po nieistniejącym mieście".

W drodze na Umschlagplatz idą rozmaite uczucia, także **przywiązanie, wierność i miłość.** Tu nie można mówić o bierności.

Życie w getcie po powstaniu się kończy?

Przeciwnie, trwa nadal. Życie-nieżycie w gruzach, gdzie wszystko jest wypalone, nocami przychodzą szabrownicy z aryjskiej strony, a Niemcy zaczynają urządzać obóz na Gęsiówce. W tych ruinach, w bunkrze, w grupie przypadkowych ludzi, ukrywa się Stella Fidelseid, kobieta, której mąż zginął wcześniej, i która odkrywa, że jest w ciąży. W ostatnich miesiącach jest zbyt gruba, by przecisnąć się przez wąskie przejście, nie może opuszczać kryjówki. Jest zdana na łaskę i niełaskę obcych ludzi, którzy traktują ją nie najlepiej – najsłabsza, bez pary, i co to za Żydówka, która nie zna jidysz. W grudniu 1943 r. rodzi chłopczyka o imieniu Bunkierek, który umiera po kilku dniach, karmiony tylko wodą z cukrem. Po śmierci dziecka wszyscy wychodzą na aryjską stronę, Stella też. Wydaje się wręcz nieprawdopodobne, że można było przetrwać taką sytuację, a przecież wiem, że przeżyła wojnę.

Co pomagało mieszkańcom getta wtedy wytrwać?

Wydaje mi się, że to bardzo indywidualna kwestia: osobowości, stopnia wytrzymałości, wyobrażeń o życiu, także stopnia zmęczenia, bo po dwóch latach w getcie, kiedy zaczęła się akcja wysiedleńcza do obozów zagłady, wiele osób było wręcz nieludzko zmęczonych i myśleli: niech się to wszystko wreszcie skończy. Wielu pomagał wytrwać gniew, pragnienie zemsty. W wielu „ostatnich listach", pisanych do bliskich czy wyrzucanych z pociągów, powtarzają się dwa motywy. Marzenie o zemście: dożyć końca wojny, zobaczyć na własne oczy klęskę Niemców. Gniew dawał też energię niezbędną do przetrwania, do codziennej walki, zmagania się z rzeczywistością. Drugim motywem jest pragnienie, by z ich cierpienia ludzkość wyciągnęła jakąś naukę. Dziś już wiemy, że całe to cierpienie poszło na marne.

© Rozmawiała BEATA CHOMĄTOWSKA

Powstanie, którego nie można było pokonać

PATRYCJA BUKALSKA

Trudno opowiedzieć o tamtej walce. Walce nie tylko o śmierć lżejszą i szybszą niż ta w komorze gazowej.

Powstanie w Getcie Warszawskim to największy zbrojny zryw Żydów podczas II wojny światowej, a zarazem pierwsze powstanie miejskie w okupowanej Europie. Wiemy, kiedy się zaczęło, kiedy się skończyło i mniej więcej ile osób sięgnęło wtedy po broń. Wiemy, że walczyły ŻOB (Żydowska Organizacja Bojowa) i ŻZW (Żydowski Związek Wojskowy). W zbiorowej pamięci przetrwały symbole: zniszczenie bunkra na ulicy Miłej czy dwie flagi, polska i żydowska, wywieszone przy placu Muranowskim. Trudno jednak opowiedzieć o tym, co było sednem tamtych wydarzeń.

„Żydzi do nas strzelają"

Przed kwietniem był styczeń. 18 stycznia Niemcy przystąpili do kolejnej akcji deportacyjnej. Chcieli przenieść część Żydów z getta na Lubelszczyznę. Było to już po tzw. Wielkiej Akcji, do której doszło latem 1942 r. i podczas której wywieziono ponad 260 tys. ludzi. W getcie zostało zaledwie kilkadziesiąt tysięcy, w większości młodych, silnych, zdolnych do pracy. I do walki. Choć styczniowa akcja Niemców zaskoczyła ŻOB, a jego członkowie byli rozproszeni, to po raz pierwszy stawiono wtedy zbrojny opór.

Mordechaj Anielewicz i kilku innych bojowców wmieszało się w tłum prowadzony na Umschlagplatz. Mieli broń, zaczęli strzelać. „Niemcy byli zaskoczeni. Zbici z tropu, stracili panowanie nad sytuacją. Słyszeliśmy ich krzyki: »Żydzi do nas strzelają«. Zaszokowało ich to i zdumiało, nie mogli zrozumieć, co się dzieje. (...) W końcu jednak Niemcy ochłonęli i nasi towarzysze spostrzegli, że ze swymi rewolwerami stoją twarzą w twarz z uzbrojonymi po zęby Niemcami. Niemal wszyscy członkowie tej grupy zginęli" – pisała Cywia Lubetkin. Anielewicz ocalał, a do starć doszło też wtedy w innych częściach getta. ŻOB ponosił straty, ludzie ginęli, ale jednocześnie – jak określa to Lubetkin – była to dla żydowskiej młodzieży „próba ognia". „Lęk nas opuścił" – pisała. Okazało się, że Niemcom można się przeciwstawić.

Po kilku dniach deportacje wstrzymano. Żydowskie podziemie zyskało czas, by się przygotować na kolejną akcję. Bo to, że Niemcy wrócą, było jasne dla wszystkich.

Bunkry, szafy, schrony, broń

Przez kilka następnych miesięcy getto przygotowywało się na nieuchronny koniec. Budowano schrony, skrytki, tunele łączące budynki, wybijano dziury między budynkami, umożliwiające przemieszczanie się bez wychodzenia na zewnątrz. Gromadzono żywność i uzbrojenie, co było najtrudniejsze. ŻOB otrzymał trochę broni od Armii Krajowej (trudno powiedzieć, ile – Cywia Lubetkin i Marek Edelman mówią o 50 pistoletach i 50 granatach), materiały wybuchowe i instrukcje. Bojowcy sami produkowali granaty i butelki zapalające. Broń kupowano też na zewnątrz. ŻOB zyskiwał w getcie autorytet: przeprowadzał akcje wymierzone w kolaborantów, donosicieli i agentów Gestapo.

W kwietniu 1943 r. ŻOB liczył ok. 500 członków. Tworzyło go kilka organizacji i partii żydowskich: Dror, Haszomer Hacair, Bund i komuniści, a także Godronia, Akiba, Hanoar Hacyjoni, Poalej Syjon-Lewica i Poalej Syjon-Prawica. Na czele stał Mordechaj Anielewicz, wśród przywódców był też Marek Edelman.

Mniej liczebny był Żydowski Związek Wojskowy (ŻZW), utworzony przez syjonistów-rewizjonistów. Liczbę jego członków szacuje się na ponad 200; kierowali nimi Paweł Frenkel i Leon Rodal. ŻZW był ponoć lepiej uzbrojony niż ŻOB i miał tunel biegnący pod ul. Muranowską poza teren getta.

ŻOB i ŻZW nie zawarły porozumienia o połączeniu sił, mimo tego samego celu – walki z Niemcami. Była też między nimi różnica: ŻOB zamierzał walczyć w getcie do końca i zginąć z bronią w ręku, ŻZW miał nadzieję na ewakuację i kontynuowanie walki partyzanckiej. Powstania nie przeżył nikt z komendy ŻZW, nie miał więc kto opowiedzieć ich historii. Prawicowy i syjonistyczny, w pierwszych latach po wojnie nikomu nie pasował. Potem to się zmieniło, skonstruowano jednak historię zafałszowaną, którą dekonstruują w książce „Bohaterowie, hochsztaplerzy, opisywacze. Wokół Żydowskiego Związku Wojskowego" Dariusz Libionka i Laurence Weinbaum. Manipulacje z czasów PRL nie znaczą jednak, że członkowie ŻZW nie walczyli dzielnie.

O świcie 19 kwietnia

Powstanie wybuchło o świcie 19 kwietnia. Już w nocy czujki ŻOB-u zauważyły żołnierzy i oddziały pomocnicze okupanta gromadzące się za murami getta. Cywile zeszli do schronów i kryjówek. Bojownicy zajęli zaplanowane pozycje, chcąc zaskoczyć Niemców. Getto, opustoszałe i na pozór uśpione, czekało.

„Jakże wiele się zmieniło, odkąd po raz pierwszy strzelaliśmy w styczniu! Wtedy – a przecież upłynęło zaledwie kilka miesięcy – staliśmy sami, mała grupa ludzi, przeciw batalionom Niemców. (...) A teraz setki bojowców na umocnionych pozycjach, gotowych do śmiertelnej walki z wrogiem – czytamy we wspomnieniach Cywii Lubetkin. – Mamy dużo rewolwerów, karabinów, automatów, granatów, bomby własnej produkcji i tysiące koktajli Mołotowa – »tajną broń Żydów« – według określenia Niemców. Cała żydowska mło-

dzież gotowa jest wraz z nami stanąć do walki".

Tamtego ranka na ul. Nalewki 33 oraz na skrzyżowaniu Zamenhofa i Miłej niemieckie oddziały zostały ostrzelane i obrzucone granatami. Niemcom nie pomogło nawet sprowadzenie czołgów, z których jeden został spalony – musieli się wycofać. Na zbiegu Gęsiej i Nalewek starcia trwały wiele godzin, ale tam też Niemcy musieli zrezygnować. Do zaciekłych walk doszło na pl. Muranowskim. Po południu w getcie nie było już Niemców. Pierwszy dzień to tryumf żydowskiego podziemia.

Żołnierze niemieccy wracają jednak i za każdym razem napotykają na ten sam wściekły opór. Są coraz ostrożniejsi, a ostatecznie uciekają się do palenia domu za domem. To ich metoda walki. Getto płonie, ludzie giną w płomieniach. Mimo to opór nie ustaje.

Z zewnątrz patrzą mieszkańcy Warszawy – ze współczuciem, bólem, obojętnością, czasem satysfakcją. Pod murami można usłyszeć komentarze o „smażących się Żydkach", ale i spotkać ludzi porażonych grozą. Oddział warszawskiego Kedywu próbuje wysadzić mur na Bonifraterskiej, by umożliwić ucieczkę Żydów. Akcja kończy się fiaskiem, niewiele dają kolejne próby dywersji. Część walczących próbuje wydostać się z getta tunelem pod Muranowską lub kanałami.

8 maja Niemcy blokują wejścia do bunkra na ul. Miłej 18, gdzie przebywa ponad stu bojowców ŻOB ze swoim komendantem Mordechajem Anielewiczem. Niemal wszyscy powstańcy giną, dusząc się wypuszczonym przez esesmanów gazem lub popełniając samobójstwo.

Dwa dni później grupa bojowców, po długim oczekiwaniu w kanałach na pomoc, wychodzi na powierzchnię po stronie aryjskiej. Do ciężarówki, która po nich przyjechała, mieści się kilkadziesiąt osób, reszta zostaje w kanale.

16 maja 1943 r. Niemcy wysadzają Wielką Synagogę na Tłomackiem. „Była żydowska dzielnica mieszkaniowa przestała istnieć" – stwierdza dowodzący likwidacją getta Brigadeführer SS Jürgen Stroop.

Fragmenty pamięci

Do przedstawiciela ŻOB-u po stronie aryjskiej, Icchaka Cukiermana, w czasie powstania dociera list od Mordechaja Anielewicza. Kończy się słowami: „Marzenie mojego życia spełniło się. Żydowska samoobrona w getcie stała się faktem. Żydowski zbrojny opór i odwet urzeczywistnił się. Byłem świadkiem wspaniałej heroicznej walki bojowców żydowskich".

O takiej walce trudno opowiadać, trzymając się chronologii i podając liczby – choć liczba bunkrów likwidowanych przez Niemców, lub butelek zapalających i granatów przypadających na każdego bojownika, coś do tego obrazu dodaje.

„Jedyne, co mogliśmy zrobić w tamtej sytuacji, to przeciwstawić się Niemcom, wiedząc, że na końcu drogi czeka nas śmierć. To była ta jedyna pewna rzecz" – mówił „Kazik" Symcha Ratajzer-Rotem. „Myśmy nie mieli żadnych szans. Myśmy szli, w żydowskim się mówi: na *kidusz haszem*, na zgładzenie" – zaznaczała Masza Glajtman Putermilch w rozmowie z Anką Grupińską. Choć przecież, jak zauważał Marek Edelman: „W zasadzie najważniejsze jest życie. A jak już jest życie, to najważniejsza jest wolność. A potem oddaje się życie za wolność. Wtedy już nie wiadomo, co jest najważniejsze".

Część bojowców ŻOB, która wydostała się z getta, wzięła potem udział w Powstaniu Warszawskim, inni walczyli w partyzantce. Po wojnie niektórzy wyjechali do Izraela. W Polsce został Marek Edelman. ©℗

Marek Edelman, Icchak Cukierman i Stefan Grajek, Warszawa 1945–1946 r.

ODBITKA W ARCHIWUM ŻIH

Akcja „G”

PIOTR LITKA, ZDZISŁAW LOREK

Po wojnie Marek Edelman nie był na obchodach rocznicy Powstania w Getcie tylko raz: w 1983 r., gdy uniemożliwiła mu to Służba Bezpieczeństwa.

W 1983 r. generałowie Jaruzelski i Kiszczak – sprawujący faktyczną władzę w Polsce – postanowili wykorzystać propagandowo 40. rocznicę Powstania w Getcie Warszawskim. Trwał stan wojenny, PRL była w gospodarczym kryzysie i politycznej izolacji, w więzieniach siedzieli opozycjoniści, w sklepach brakowało wszystkiego, a kraje zachodnie obłożyły PRL sankcjami.

W tej sytuacji obchody 40. rocznicy pierwszego miejskiego powstania w okupowanej przez Niemców Europie stały się idealnym pretekstem do ocieplenia wizerunku władz w Warszawie. W intencji komunistów miały doprowadzić do całkowitego lub częściowego zniesienia sankcji, a także pomóc w nawiązaniu stosunków dyplomatycznych z Izraelem (zerwanych na polecenie Moskwy 16 lat wcześniej, po wojnie sześciodniowej).

Plany były ambitne. W końcu stycznia 1983 r. w warszawskim Biurze Kongresów „Orbis” odbyła się narada, podczas której ustalono oficjalny program obchodów Powstania. Ustalono, że uroczystości odbędą się w dniach 14-24 kwietnia (ostatecznie odbyły się między 12 a 22 kwietnia) i obejmą m.in. międzynarodową konferencję naukową, zwiedzanie miejsc pamięci, otwarcie wystawy dotyczącej martyrologii ludności żydowskiej w latach okupacji oraz wręczenie medali Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.

19 kwietnia, w rocznicę wybuchu walk w getcie, miały się odbyć oficjalne państwowe uroczystości przed pomnikiem Bohaterów Getta. Obchody miały odbywać się również poza Warszawą, na terenie obozu Auschwitz-Birkenau, a także w Krakowie i Treblince.

Powołano Honorowy Komitet Obchodów 40. Rocznicy Powstania w Getcie Warszawskim. Wojciech Jaruzelski – premier i pierwszy sekretarz PZPR – zaprosił do niego również Marka Edelmana, jednego z dowódców Powstania i człowieka związanego od lat z opozycją.

EDELMAN ODMÓWIŁ. W liście otwartym, który opublikował na łamach prasy podziemnej pod koniec lutego 1983 r., swoją decyzję tłumaczył tym, że „obchodzenie naszej rocznicy tutaj, gdzie nad całym życiem społecznym ciąży poniżenie i zniewolenie, gdzie doszczętnie zafałszowano słowa i gesty, jest sprzeniewierzeniem się naszej walce, jest udziałem w czymś całkowicie przeciwnym”.

Edelman nie mógł wiedzieć, co dzieje się za kulisami władzy. Dziś – gdy w Archiwum IPN dostępne są materiały dokumentujące ich poczynania – można powiedzieć, że miał intuicję. Oto bowiem, także jeszcze w lutym, Wydział Prasy, Radia i Telewizji Komitetu Centralnego PZPR sformułował wytyczne dla działań propagandowych związanych z obchodami. „Polityczne i humanistyczne względy przemawiają za tym, aby obchodom tej rocznicy nadać wysoką rangę i uroczystą oprawę” – czytamy w dokumentach.

W KC PZPR założono (a założenia takie były wtedy w istocie wytyczną), że w działaniach propagandowych należy eksponować „popularyzowanie braterstwa broni i współdziałania polskiego i żydowskiego ruchu oporu oraz pomocy niesionej Żydom przez naród polski”. Pisano też o „historycznej prawdzie o zgodnym współżyciu Polaków i Żydów na przestrzeni wieków, o tradycji tolerancji i szacunku dla ich wkładu w 1000-letnią historię i kulturę polską”.

Zdecydowano też, że przy okazji obchodów zostanie otwarta Synagoga Nożyków przy ul. Twardej w Warszawie, zamknięta w 1968 r. Otwarcie miało się odbyć z udziałem władz PRL, naczelnego rabina Tel Awiwu Icchaka Frenkela i katolickiego biskupa Kazimierza Majdańskiego.

ŻYDOWSCY GOŚCIE ze świata mieli legitymizować uroczystości. Zaproszenia wysłano m.in. do Yad Vashem, Światowego Kongresu Żydów, Unii Amerykańskich Kongregacji Hebraistycznych, Jointu, Rabinackiego Komitetu Opieki nad Żydowskimi Cmentarzami i Żydowską Kulturą, Europejskiej Rady Wspólnot Żydowskich, Rady Prezydenckiej Organizacji Żydowskich w USA, a także przedstawicieli żydowskich organizacji z innych krajów socjalistycznych.

18 marca dyrektor Departamentu Konsularnego MSZ zapowiedział, że na obchody 40. rocznicy Powstania w Getcie cudzoziemcy będą wpuszczani wyjątkowo liberalnie. Użył przy tym sformułowania: „To była część oporu narodu polskiego”.

Już od stycznia do organizacji oprawy informacyjno-propagandowej obchodów włączyła się Polska Agencja Interpress – na zasadzie akcji zleconej przez władze. Jej zadaniem była organizacja biura prasowego i informacyjne zabezpieczenie obsługi uroczystości.

Dyrektorem i redaktorem naczelnym Agencji – która funkcjonowała jako narzędzie do kontroli zachodnich korespondentów w PRL (np. przez przydzielanie im swoich tłumaczy) – był wtedy płk Mirosław Wojciechowski, a jej sekretarzem Lew Rywin. Agencja zajmowała się też propagandą, skierowaną głównie do zagranicznych mediów i środowisk opiniotwórczych. Wydawała wielojęzyczne biuletyny, prowadziła serwisy fotograficzne i filmowe. Nieoficjalnie zaś była agendą komunistycznego wywiadu i kontrwywiadu.

W przypadku zlecenia dotyczącego tej rocznicy koszt „zadania” przewidziano na blisko półtora miliona złotych. Dla zabezpieczenia prawidłowego ustalenia i rozliczenia tych kosztów polecono sygnowanie rachunków, list płac i innych dokumentów w widocznym miejscu symbolem: AKCJA „G”.

ARCHIWUM SZCZECIŃSKICH / EAST NEWS

Odsłonięcie pomnika Bohaterów Getta w 5. rocznicę Powstania w Getcie, Warszawa, 19 kwietnia 1948 r.

W OFICJALNYCH WYTYCZNYCH dotyczących organizacji rocznicy również położono duży nacisk na działania informacyjno-propagandowe. Komitet ds. Radia i Telewizji (zarządzający państwowymi mediami), Polską Agencję Prasową i Agencję Interpress zobowiązano do opracowania odrębnych planów obsługi uroczystości. PAP miał dodatkowo przygotować krótkie materiały dla prasy lokalnej. Wybrane gazety miały zamieszczać rozmowy z członkami delegacji zagranicznych i wykorzystać w publikacjach materiały z konferencji naukowej. Pisma kulturalne zobowiązano do zamieszczenia recenzji z premiery w Teatrze Żydowskim oraz z oficjalnych wystaw, związanych z obchodami.

Zaproszonym gościom zamierzano wręczyć okolicznościowy medal upamiętniający rocznicę. Był dwustronny, wykonany z patynowego tombaku. Wybiła go Mennica Państwowa, a emitentem było Polskie Towarzystwo Archeologiczne i Numizmatyczne.

WOBEC MARKA EDELMANA zastosowano areszt domowy. Miał zapobiec pojawieniu się Edelmana na obchodach – wiadomo było bowiem, że bierze w nich udział co roku. Funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa obstawili ulicę w Łodzi, przy której znajdowało się jego mieszkanie. Legitymowali każdego, kto szedł odwiedzić doktora. Dodatkowo wyłączyli mu telefon (później wyłączyli także telefon jego sąsiadom). Do Warszawy Edelman nie pojechał.

Opozycyjną manifestację pod pomnikiem Bohaterów Getta – która odbyła się alternatywnie do państwowych obchodów – monitorowały milicja i SB. Przyszło na nią około tysiąca ludzi. Janusz Onyszkiewicz odczytał list Edelmana. Padły w nim słowa o tym, że do opozycyjnego spotkania w 40. rocznicę dochodzi „w miejscu, z którego wywieziono na śmierć 400 000 osób – kobiet, mężczyzn, dzieci i starców. Spotykamy się w czterdziestolecie podjętej próby, żeby zginąć inaczej, niż chciał tego ludobójca, nie z pochyloną głową i zamkniętymi oczyma, ale z głową podniesioną, oczami otwartymi, z wolą życia w wolności i godności".

Przemawiając z cokołu pomnika, Onyszkiewicz dodał, że ideały, za które ginęli powstańcy z getta, są też ideałami Solidarności. Po przemówieniu został aresztowany. Na wolność wyszedł po 22 lipca, gdy w wyniku amnestii więzienia opuściło wielu działaczy podziemia.

TAKŻE KOŚCIÓŁ KATOLICKI uczcił rocznicę wybuchu Powstania w Getcie, po raz pierwszy od II wojny światowej na tak dużą skalę. W Warszawie kard. Józef Glemp odprawił mszę w kościele św. Augustyna, podczas której wygłosił homilię. W Krakowie w kościele Mariackim pod przewodnictwem kard. Franciszka Macharskiego odmówiono specjalne modlitwy w intencji ofiar powstania. Z kolei Jan Paweł II podczas audiencji generalnej 13 kwietnia wspomniał tę rocznicę i niezwykłą odwagę powstańców z getta. 16 kwietnia także ks. Jerzy Popiełuszko odprawił w kościele pod wezwaniem św. Stanisława Kostki na Żoliborzu uroczystą mszę. Opozycjonista Jan Józef Lipski, który zabrał głos podczas nabożeństwa, mówił o odwadze bojowników z getta i ich moralnym zwycięstwie.

Po tej rocznicy każda już kolejna, przypadająca 19 kwietnia, stała się dniem manifestacji opozycyjnych. Władza niczego nie zyskała.

Edelman wspominał po latach: „Chodziło o to, by to kłuło ludzi w oczy. Przede wszystkim samych komunistów: oni chcieli przecież, żebym był u nich, ale ja nigdy z nimi nie chodziłem na te oficjalne obchody. Oni tworzyli własną historię, więc im było cierniem w oku, że ktoś tam przychodzi sam". ©

■ Korzystaliśmy z nieznanego zbioru dokumentów nt. zamierzeń władz PRL przed 40. rocznicą Powstania w Getcie (dziś w Archiwum IPN) oraz książek: R. Kobylarz „Walka o pamięć. Polityczne aspekty obchodów rocznicy powstania w getcie warszawskim 1944–1989" i W. Bereś, K. Burnetko „Marek Edelman. Życie. Po prostu".

Fotele zamiast CERN-u

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Eksperymenty myślowe nie zawsze się udają, bo wszechświat stosuje się do praw ludzkiej logiki wtedy, kiedy sam chce.

„No bo jaki jest sens w tym, że pół nocy debatujemy nad tym, czy Bóg istnieje, czy nie, jeśli ta maszyna następnego ranka daje nam jego cholerny numer telefonu?"

Douglas Adams
„Autostopem przez galaktykę"

Frustracja Adamsowskich filozofów w obliczu możliwości superinteligentnego komputera, który ma podać odpowiedź na ostateczne pytanie o życie, wszechświat i całą resztę, była w ostatnim stuleciu uczuciem dobrze znanym i filozofom, i naukowcom. Dylematy, które wydawały się doskonałym materiałem na niekończące się debaty i eksperymenty myślowe, były wielokrotnie rozstrzygane w brutalnie prosty i bezdyskusyjny sposób.

Jak wtedy, gdy David Scott, dowódca misji Apollo 15, powtarzając myślowy eksperyment Galileusza, upuścił na Księżycu młotek i piórko. Miliony telewidzów zobaczyły, jak oba przedmioty o różnych masach w próżni spadają w tym samym tempie. „Wygląda na to, że pan Galileusz miał rację" – rzucił Scott. Ku jego irytacji symboliczny triumf rozumu został nieco przyćmiony ludzką niezdarnością. Jego partner, Scott Irwin, nadepnął na piórko i wbił je w księżycowy grunt. „Za setki lat ktoś będzie długo myślał nad tym, jakie stworzenie mogło je tam zostawić" – pisał później we wspomnieniach.

Dobrze, że to właśnie galileuszowski eksperyment myślowy został odtworzony na Księżycu. Bo chociaż eksperymenty myślowe były chlebem powszednim filozofów od wieków, to właśnie Galileusz zrobił z nich naukowy użytek. Tłumaczyły one rzeczywistość na mierzalne sposoby. Czy to wtedy, kiedy dwa powiązane liną obiekty o różnych masach zrzucano – w jego głowie – z wysokiej wieży, by sprawdzić, czy któryś spadnie szybciej, czy wtedy, gdy kulę armatnią upuszczano z masztu rozpędzonego statku na jego pokład, by zweryfikować, czy Ziemia się porusza, czy pozostaje w miejscu.

Takie myślowe wycieczki były triumfem logiki, dowodem na to, że ludzki umysł może zawrzeć w sobie cały wszechświat. Były też często absolutnie błędne. Bo okazało się, że wszechświat stosuje się do praw ludzkiej logiki jedynie wtedy, kiedy uzna to za stosowne.

Gdzie są wszyscy?

W 1961 r. młody astronom Frank Drake zaproponował prosty, matematyczny sposób wyliczenia, z iloma innymi cywilizacjami w naszej galaktyce możemy nawiązać kontakt. To był dobry czas dla takich rozważań: człowiek robił właśnie pierwsze, nieśmiałe kroki w przestrzeni kosmicznej. Wszechświat wydawał się na wyciągnięcie ręki, a mistrzowie *science fiction*, tacy jak Asimov, Clarke czy Bester, rysowali wizje bliskiej, międzygwiezdnej przyszłości. Obcy? Kontakt z nimi wydawał się tylko kwestią czasu.

Iloczyn w równaniu Drake'a uzależniał liczbę innych aktywnych komunikacyj-

nie cywilizacji od tempa tworzenia gwiazd w naszej Galaktyce, odsetka gwiazd, którym towarzyszą planety, tego, ile spośród tych planet może potencjalnie podtrzymywać życie, tego, na ilu z nich życie faktycznie się rozwinie, ile biosfer wytworzy inteligentne cywilizacje, ile z cywilizacji przetrwa do etapu, w którym my możemy je zdalnie wykryć, i jak długo trwa w ich historii okres, w którym ich radiowe sygnały są wykrywalne dla podsłuchiwaczy takich jak ziemscy astronomowie.

Z szacunków Drake'a wynikało, że tylko w naszej Galaktyce powinno istnieć od 1000 do 100 milionów cywilizacji. Wspaniale! Ale fizyk Enrico Fermi jednym zdaniem sformułował w odpowiedzi jeden z najważniejszych problemów współczesnej astronomii. Jeśli hipotetycznie tylko nasza, jedna z miliardów galaktyk, ma być aż tak zatłoczona, to „gdzie są wszyscy?".

Jego pytanie odnosi się do zasadniczego problemu, towarzyszącego od samego początku stosowaniu eksperymentów myślowych w nauce. Chodzi o – tu zmienimy na chwilę dyscyplinę – przytoczone przez Donalda Rumsfelda na uzasadnienie nieoczekiwanych przez USA problemów w Iraku „nieznane nieznane". Wpływające na ostateczny wynik czynniki, których wartości nie jesteśmy w stanie oszacować, bo nie mamy pojęcia o istnieniu ich samych.

W przypadku Drake'a nie rozumieliśmy – wciąż nie rozumiemy – procesów, które wpływają na to, czy na danym ciele niebieskim życie może zaistnieć. Drake mógł skrajnie przeszacować (lub niedoszacować) liczbę światów, na których może powstać choćby pantofelek. Ale nie mamy też pojęcia, co wpływa na to, jak długo cywilizacje podobne do naszych mogą istnieć. Siłą rzeczy zbiór danych liczy dokładnie jedną cywilizację. Co może sprawić, że podobne nam kultury znikają? To właśnie „nieznane nieznane".

Debata na temat wartości eksperymentów myślowych trwa. John Norton, filozof z Uniwersytetu Pittsburskiego, mówił w wywiadzie w magazynie „Quora": „Gdybyśmy byli w stanie poznać prawa natury przez rozmyślania w fotelu, czy nie powinniśmy przeznaczać więcej środków na fotele, a nie na CERN? Za pieniądze, które wydaliśmy na CERN, kupilibyśmy mnóstwo foteli".

W tym samym tekście jego adwersarz i przyjaciel, James Robert Brown z Uniwersytetu w Toronto, broni wartości eksperymentów myślowych. Twierdzi, że pozwalają nam dostrzec uniwersalne prawdy rządzące światem naturalnym tak, jak dochodzi się do praw matematycznych, również istniejących w ludzkim umyśle.

Maszyna moralna

Wydawałoby się, że czasy, w których jesteśmy w stanie stworzyć komputerowe symulacje odtwarzające założenia nawet najdzikszych hipotez, pozwoliłyby raz na zawsze rozstrzygnąć spór o sensowność eksperymentów myślowych. Ale chyba tylko go pogłębiają.

Przykład? Projekt „Moral Machine" realizowany przez inżynierów z Massachusetts Institute of Technology pod kierunkiem Iyada Rahwana. Próba zaprzęgnięcia komputerów i mediów społecznościowych do rozstrzygnięcia trwających od stulecia sporów etyków.

Powstał kwestionariusz, w którym proszono uczestników o wybór mniej złych spośród kilku tragicznych scenariuszy. W każdym poruszający się drogą samochód doświadcza katastrofalnej awarii hamulców. Kierowca może jedynie utrzymywać jego aktualny kurs, co wiąże się ze staranowaniem przechodniów na jego pasie ruchu, albo zmienić pas i rozjechać tych, którzy akurat mieli nieszczęście przechodzić przez pas przeciwny. Czasem, dla urozmaicenia, na jednym z pasów pojawia się przeszkoda, w którą uderzenie prowadzi do śmierci pasażerów pojazdu, ale ocala pieszych na pasach.

Rezultaty miały posłużyć za podstawę, na której można by zbudować etyczne systemy zarządzające zachowaniem autonomicznych samochodów. Testowane już na amerykańskich drogach pojazdy prędzej czy później znajdą się w sytuacji, w której uniknięcie tragicznego wypadku będzie niemożliwe, a jedyną opcją dla sterującego nimi algorytmu będzie minimalizowanie strat. Projekt MIT miał im wpoić to, jakimi wartościami w takiej sytuacji kierowałoby się, statystycznie rzecz biorąc, społeczeństwo.

Pojawił się kolejny problem. Bo okazało się, że wartości, które – jak sądzimy – są dla nas najcenniejsze, nie przekładają się wprost na podejmowane przez nas decyzje.

Opublikowane właśnie wstępne wyniki badania, oparte na 4 mln wypełnionych kwestionariuszy, pokazują, że kiedy mamy do czynienia z „prostymi" wyborami, nasze preferencje są jasne. Mając do wyboru dziecko i dorosłego, samochód ma naszym zdaniem oszczędzić dziecko. Ratowanie starszych ludzi ma niższy priorytet niż młodszych.

Bardziej skomplikowane scenariusze przynoszą o wiele mniej jasne wyniki: pasażerów auta poświęcilibyśmy chętniej niż pieszych, ale z przewagą zaledwie 60 do 40 proc. głosów. Mając do wyboru zabicie jednego człowieka przechodzącego przez drogę przepisowo albo dwóch przekraczających ją wbrew kodeksowi drogowemu, ankietowani podzielili się niemal po połowie.

Podobne rezultaty miał o wiele bardziej złożony technicznie projekt realizowany przez filozofa Ericka Ramireza na Santa Clara University. Ramirez stworzył oparte na wirtualnej rzeczywistości symulacje dwóch znanych problemów etycznych: słynnego dylematu wagonika (autorstwa Philippy Foot), gdzie badany ma wybrać, czy rozpędzony pojazd zabije pięć, czy (po interwencji) jedną osobę; oraz problemu skrzypka, w którym badany wciela się w osobę porwaną przez światowy spisek miłośników muzyki, którzy podpięli go do maszyny ratującej życie najlepszego skrzypka świata. Może pozostać, unieruchomiony, w łóżku przez 9 miesięcy, co uratuje życie skrzypka bez szkody dla niego, lub odpiąć się od muzyka, dając sobie wolność i skazując jego na śmierć.

Ramirez twierdzi, że podobne eksperymenty są niezwykle użyteczne, choć jedynie w kwestiach, w których istotnym elementem jest osobista perspektywa, zmuszająca badanego do przyjęcia punktu widzenia odmiennego od obecnego. Mamy okazję spojrzeć na podobne problemy oczami kogoś innego. Nie tylko w naszej wyobraźni.

Eksperymenty myślowe mają jeszcze jeden, kluczowy dla naszego współczesnego postrzegania nauki problem. W przeciwieństwie do czasów Newtona, Macha czy Humphry Davy'ego, dziś nie liczą się osobowości, a powtarzalność. A siłą rzeczy trudno jest powtórzyć wyniki eksperymentu, który toczył się w czyjejś głowie.

Stąd satyryczny blog „Fauxphilnews" poinformował w lutym 2012 r. o niebywałym skandalu: Saul Kripke stracił w niesławie stanowisko profesora filozofii City University of New York z powodu zarzutów fałszowania wyników swoich eksperymentów myślowych w książce „Nazywanie a konieczność". Podobno zespół filozofów z Oksfordu nie był w stanie otrzymać takich samych rezultatów. ©

PATRICK LANDMANN / GETTY IMAGES

WOJCIECH

Bonowicz:
Podróż do całego świata

Najnowsze dzieło Timothy'ego Gartona Asha to książka studnia. Żeby ją zgłębić, trzeba swojej uwagi używać jak wiaderka: rzucić, zaczerpnąć, powoli wypić, a potem odczekać, aż znów zjawi się pragnienie. Nie można tej studni wypić naraz.

Z drugiej strony – zwlekać za długo też nie wolno. Liczące przeszło 650 stron „Wolne słowo" dotyka bowiem wielu palących kwestii, z którymi właśnie się zmagamy. Mniejsza już nawet o nasze podwórko; Lech Wałęsa jest w tej księdze wspomniany tylko raz (w akapicie o narcyzmie jako cesze wybitnych jednostek), podobnie jak Jan Paweł II (w zdaniu o hipokryzji polskich katolików), Lech Kaczyński (tam, gdzie mowa o współczesnej polityce historycznej) czy Adam Mickiewicz (autor cytuje jego czterowiersz „Stopnie prawd"). Nawiasem mówiąc, Adam Michnik jest wzmiankowany dwa razy, ale o tym sza, bo chciałbym, żeby ci, co uważają Michnika za zło wcielone, też tę książkę przeczytali.

Nie o polskie podwórko więc chodzi, ale o to, co właściwie dzieje się ze słowem we współczesnym świecie. Słowa i obrazy wędrują dziś między kontynentami z nieznaną wcześniej szybkością i częstotliwością. To, co opublikowane w jednej części globu, miewa nieoczekiwane konsekwencje w innej. To, co w jednej części jest dozwolone, w innej może zaprowadzić za kratki lub wywołać rozruchy na ulicach. Reguł gry w tym świecie nie określa już jeden liberalny lewiatan (jak autor nazywa Stany Zjednoczone), ale kilka konkurujących ze sobą podmiotów, w tym także wirtualne supermocarstwa w rodzaju mediów społecznościowych. W dodatku wzrosło znaczenie jednostkowych działań; filmik wrzucony do internetu przez anonimowego użytkownika może nie tylko złamać czyjąś karierę, ale wpłynąć na kursy walut czy przebieg wyborów w danym państwie. Można odnieść wrażenie, że nad zachodzącymi procesami nikt nie panuje, choć wszyscy starają się czerpać z nich korzyści. Nikt też nie czuje się winny negatywnych skutków, jeśli takowe się pojawiają. Musimy jednak próbować, twierdzi Garton Ash, wypracować zasady porozumiewania się, które byłyby do przyjęcia dla wszystkich (czy prawie wszystkich). Musimy zmierzać „w stronę bardziej powszechnego uniwersalizmu", który nie byłby odczuwany jako narzucony, lecz wypracowany w drodze dyskusji. Nadzieję, że osiągnięcie normatywnego konsensu jest możliwe, autor opiera na przekonaniu, które najzwięźlej wyraził kiedyś Isaiah Berlin: „więcej ludzi w większej liczbie krajów akceptuje więcej wspólnych wartości, niż się zwykle przypuszcza".

Razem z brytyjskim badaczem – „historykiem współczesności", jak lubi mówić o sobie Garton Ash – wędrujemy zatem po świecie podzielonym i zróżnicowanym, a jednocześnie połączonym i spojonym w stopniu, który nie ma precedensu w dziejach. Podróż jest tym ciekawsza, że urozmaicają ją konkretne przykłady, niekiedy – co tu gadać – świetne anegdoty. Jak choćby ta o rosyjskim mieście Kostroma, gdzie firma taksówkarska została ukarana grzywną za reklamę o treści: „Jeśli zrobisz pięć literówek w słowie »chleb«, otrzymasz »taksi«". „Miejscowa Rada Weteranów poskarżyła się, że reklama »rzuca cień na Słowian i znieważa szanowany w całym świecie chleb«". Odpowiednie władze przychyliły się do jej opinii. „Jeśli można być ukaranym grzywną za obrażanie chleba, to co dalej?", napisał rosyjski członek zespołu badającego wolność wypowiedzi, który nadesłał tę informację.

Oczywiście, zaglądając do studni, zawsze w końcu dostrzeżemy własne odbicie. Szeroki kontekst, w jakim Garton Ash ujmuje problemy zglobalizowanego świata, sprawia jednak, że nasz świat nie wydaje się już tak osobliwy jak wtedy, gdy skupiamy się tylko na nim. ©

TIMOTHY GARTON ASH będzie gościem 18. Dni Tischnerowskich. Więcej szczegółów na: **dni.tischner.pl**

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Janowie Lubelskim, w I Wydziale Cywilnym, pod sygn. akt I Ns 37/18, toczy się sprawa z wniosku Henryki Rudnickiej, z udziałem Henryki Małgorzaty Brzozowskiej, Marii Ryszardy Krasowskiej, Elżbiety Natalii Kucharskiej, Andrzeja Mikity, Krzysztofa Mikity, Marianny Pęzioł i Wandy Swachy o stwierdzenie zasiedzenia własności:

– nieruchomości położonej w Modliborzycach, gm. Modliborzyce, oznaczonej w ewidencji gruntów jako działka nr 1757 o powierzchni 0,58 ha, nie mającej urządzonej księgi wieczystej;
– udziału 2/3 części w nieruchomości położonej w Majdanie Modliborskim, gm. Modliborzyce, oznaczonej w ewidencji gruntów jako działka nr 86, o powierzchni 0,32 ha, dla której Sąd Rejonowy w Janowie Lubelskim, IV Wydział Ksiąg Wieczystych, prowadzi księgę wieczystą ZA1J/00035254/2;
– nieruchomości położonej w Modliborzycach, gm. Modliborzyce, oznaczonej w ewidencji gruntów jako działka nr 1758 o powierzchni 0,58 ha, nie mającej urządzonej księgi wieczystej;
– udziału 2/3 części w nieruchomości położonej w Modliborzycach, gm. Modliborzyce, oznaczonej w ewidencji gruntów jako działka nr 1257, o powierzchni 0,29 ha, nie mającej urządzonej księgi wieczystej;
– udziału 2/3 części w nieruchomości położonej w Modliborzycach, gm. Modliborzyce, oznaczonej w ewidencji gruntów jako działka nr 1258, o powierzchni 0,15 ha, nie mającej urządzonej księgi wieczystej.

Wzywa się wszystkich spadkobierców ustawowych Franciszka Walczyńskiego, ostatnio stale zamieszkałego w Modliborzycach, gm. Modliborzyce, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Janowie Lubelskim i wykazali swoje prawo własności, gdyż w przeciwnym razie sąd stwierdzenie zasiedzenie nieruchomości, jeżeli zostanie ono udowodnione.

PREMIERA

Już od środy 25 kwietnia w sprzedaży wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego”

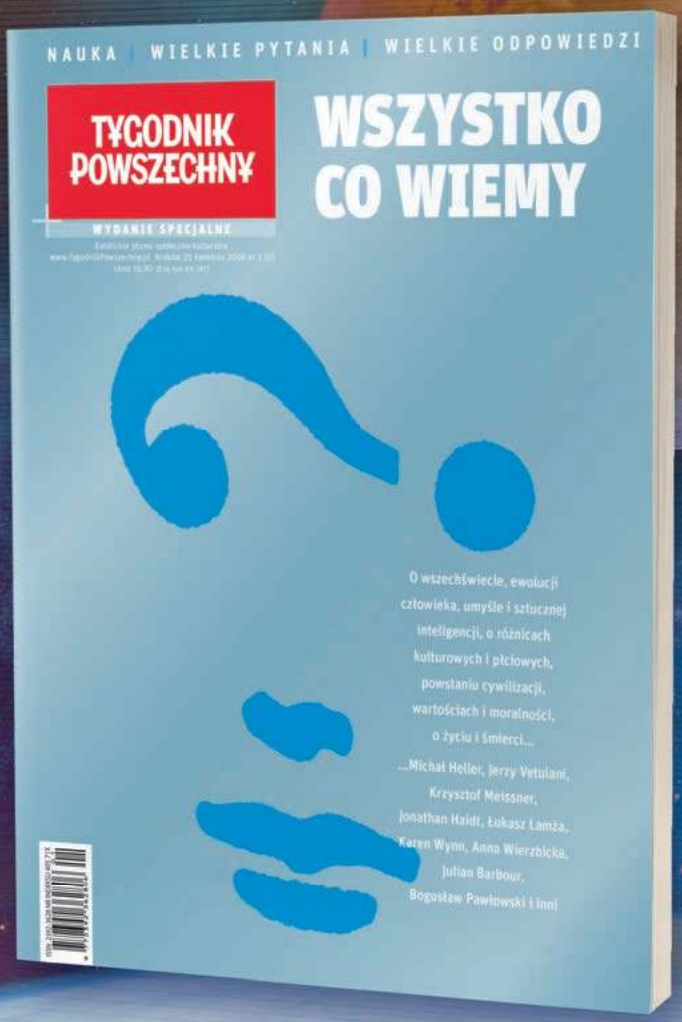

Niezastąpiona lektura na lato! Ponad 160 stron przewodnika po tajemnicach wszechświata.

O wszechświecie – skąd się wziął i jaki jest

O człowieku – i o tym, dlaczego mimo różnic potrafimy się dogadać

O umyśle – tym genialnym i tym zwykłym

O cywilizacji – jak zmienia nas, nasze umysły i naszą planetę

O wielkich ideach naukowych i dylematach moralnych

Heller, Lamża, Vetulani, Wynn, Wierzbicka, Barbour i wielu innych

Już od 25 kwietnia w salonach prasowych, w e-wydaniu i podczas Copernicus Festival!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // MONTAŻ „TP” / NASA.GOV

KULTURA

WSADZAM HISTORIĘ DO KRYMINAŁU

PIERRE LEMAITRE, AUTOR POWIEŚCI HISTORYCZNYCH I KRYMINALNYCH:

Gdy przyglądam się latom 30. XX wieku we Francji, widzę wiele podobieństw ze współczesnością. Dziś też Francję ogarnia fala zwątpienia.

LUCA GRAPPI

SZYMON ŁUCYK: Jako laureat literackiej Nagrody Goncourtów z dnia na dzień stał się Pan jednym z najbardziej rozchwytywanych przez media Francuzów. Nie ma Pan dość dziennikarzy?

PIERRE LEMAITRE: Tym, co sprawia mi ból, nie są dziennikarze, tylko ich pytania. Wciąż te same. Choć mogę ich zrozumieć: czytelnik potrzebuje podstawowych informacji, a że nie wszyscy czytają gazety, trzeba powtarzać wciąż te same kwestie. Ale trudno jest odpowiadać po raz setny na to samo pytanie i udawać, że jest szalenie interesujące.

Zacznijmy więc od kwestii, o którą Pana chyba jeszcze nie pytano. W najnowszej powieści „Barwy pożaru" pojawia się drugoplanowa, ale ważna dla intrygi postać młodej przebojowej Polki Władysławy, zwanej Vladi. Czy ma swój historyczny pierwowzór?

Vladi nie jest prawdziwą postacią, zrodziła się w tajemniczy sposób w mojej głowie. Od dłuższego czasu w moim życiu i książkach „chodzą" za mną Polacy... Pisząc ostatnią powieść, potrzebowałem pielęgniarki-opiekunki dla małego Paula, sparaliżowanego syna Madelaine, głównej bohaterki. Przeprowadziłem w głowie *casting*. Najpierw pomyślałem o Polce, która nie mówi po francusku. Potem pomyślałem, że byłoby ciekawe stworzyć postać cudzoziemki, która symbolizowałaby kwestię imigracji we Francji lat 30. XX w. W tamtej dekadzie polscy imigranci mieli pod względem liczebnym ogromne znaczenie. Chciałem, by Vladi miała w sobie coś komicznego i witalnego zarazem, i żeby zupełnie odbiegała od wyobrażenia Francuzów o pracujących imigrantkach. U nas zwykle oczekuje się od nich skromności, usuwania się w cień. A Vladi przeciwnie, mówi gromkim głosem, idzie przebojem, w dodatku jest nimfomanką.

Ale mimo silnego charakteru Polka napotyka przeszkodę nie do pokonania. Pewien francuski sprzedawca, wspierany przez klientów, odmawia obsłużenia jej jako „Polaczki".

Również moja główna bohaterka – Madelaine Péricourt, córka bankiera – długo traktuje Vladi, swoją pomoc domową, z poczuciem wyższości. Ale pewnego dnia, właśnie w tym sklepie, ujmuje się za Polką wbrew innym Francuzom. Nabiera wtedy po raz pierwszy politycznej świadomości. Staje się to możliwe dzięki temu, że zatrudniła polską imigrantkę.

Ten drobny epizod z powieści zwraca uwagę na szersze zjawisko: że międzywojenna ksenofobia we Francji uderzała także w europejskich imigrantów, zwłaszcza z Europy Wschodniej. Francuski historyk imigracji Gérard Noiriel notował, iż jedną z rozrywek mieszkańców pewnego burgundzkiego miasteczka było wyśmiewanie dziwnych „wioskowych" strojów Polaków, którzy przyjeżdżali do francuskich kopalni.

To prawda. Od końca Wielkiej Wojny przez Francję przepływały kolejne fale

Pierre Lemaitre rozmawia z Szymonem Łucykiem, Paryż, marzec 2018 r.

imigracji: polskiej, włoskiej, hiszpańskiej, portugalskiej, potem z Algierii, Maroka i innych państw Maghrebu. Jeśli nasz kraj jest tym, czym jest, to także dzięki temu napływowi. Dziś jest czymś normalnym, że Francuzi noszą nazwiska Dos Santos czy Rafinelli. Ale zapominamy, że to imigranci stworzyli wielkie państwa. Stany Zjednoczone są krajem niemal w stu procentach imigranckim, wyjąwszy Indian.

Pomówmy o tym, jak powieść historyczna ma się do wiedzy o przeszłości. Pana mistrz Aleksander Dumas ojciec mawiał: „Wolno dopuścić się na Historii gwałtu pod warunkiem, że urodzą się z niego piękne dzieci". Pisarz może zmieniać dowolnie Historię?

Nie mam zamiaru gwałcić Historii, bo czuję wobec niej moralny obowiązek. Naturalnie wymyślam wydarzenia i postaci, ale nie uciekam od historycznych realiów. Z prostego powodu: gdybym twierdził, że za nic mam historię, to co mi przeszkadzałoby napisać, iż obozy koncentracyjne nie istniały? A z moralnego punktu widzenia to niedopuszczalne. Dla mnie nieprzekraczalną linią respektowania historii jest właśnie granica moralna. Ponadto Dumas ojciec pisał o XVI, XVII czy XVIII wieku. A w moim przypadku jest inaczej. Dwie pierwsze części mojej trylogii, „Do zobaczenia w zaświatach" i „Barwy pożaru", dzieją się w XX wieku. Od Wielkiej Wojny po dojście Hitlera do władzy. Trzecia część ukaże Francję wkraczającą w II wojnę światową. Mam więc wrażenie, że spoczywa na mnie większa odpowiedzialność, bo opowiadam o epoce wyjątkowo straszliwej.

Okres międzywojenny fascynuje Pana?

Nie, nie pasjonuję się szczególnie I wojną światową czy międzywojniem. Zaczynam pisać powieść, gdy mam w głowie dobrą fabułę. Nieważne, czy dzieje się w epoce Sulejmana Wspaniałego, Ramzesa II czy w XX wieku. Nawet pisząc o innej epoce, używam narzędzi powieści kryminalnej: nagłe zwroty, suspens, mylne tropy. Dwie pierwsze części mojej trylogii ↦

↦ bliskie są tradycji pikarejskiej, łotrzykowskiej, w tradycji hiszpańskiego „Łazika z Tormesu". Bliski jest mi bohater pochodzący z nizin społecznych, który, aby przeżyć, oszukuje możnych tego świata.

Wątek zemsty pokrzywdzonych, przywodzący na myśl „Hrabiego Monte Christo" łączy obie powieści cyklu. W drugiej Madelaine Péricourt pada ofiarą spisku męskiego świata – akcja dzieje się w czasach, gdy kobiety we Francji nie miały same prawa podpisać czeku bankowego. Samotna bohaterka bezlitośnie wymierza sprawiedliwość na własną rękę. Czy istnieje zemsta moralnie słuszna? Czy może przynieść satysfakcję?

Rolą pisarza jest stawianie pytań. W moich trzech ostatnich książkach – w dwóch częściach historycznej trylogii oraz w „czarnej powieści" pt. „Trzy dni i jedno życie" – wracam do pytania, które mi towarzyszy: czy można robić rzeczy niemoralne w dobrej sprawie? Lub inaczej: w którym momencie możemy przyjąć, że mamy dostateczne racje do takiego postępowania? Tak jest nie tylko w przypadku Madelaine, lecz także bohaterów „Do zobaczenia w zaświatach" – weteranów I wojny światowej. Dokonują zemsty, sprzedając pomniki „ku pamięci poległych żołnierzy". Pomniki fikcyjne, których nigdy nie zamierzają wznieść. Ten proceder weteranów jest całkowicie ahistoryczny, coś takiego nigdy nie miało miejsca. Ale, moralnie rzecz biorąc, uznałem, że mogę sobie na to pozwolić. Nie szokuje mnie ich oszukańczy proceder. Ich działanie wydało mi się stosowną odpowiedzią na rozpaczliwą sytuację, w jakiej znaleźli się po wojnie. I zastanawiam się: jakie mamy prawo osądzać ludzi, którzy dopuszczają się oszustw, skoro to dla nich jedyny sposób przeżycia? Odpowiedź zostawiam czytelnikom.

Ale mam wrażenie, że samotna mścicielka Madelaine jest Pana alter ego...

Nie, najbliższy jest mi jej współpracownik Dupré. Tyle że on ma lepszy charakter od mojego. To człowiek niezachwianych przekonań, zdeterminowany, odważny, w pewnym sensie anarchista – taki chciałbym być, choć nie do końca mi się udaje.

Jednak Dupré wykonuje na rozkaz swojej mocodawczyni „mokrą robotę".

Otóż to, ja też robię mokrą robotę – jestem pisarzem!

Wróćmy do wierności wobec historii. Czy szykując się do pisania, wertuje Pan tony książek i prasę z epoki?

Jeśli chodzi o informacje o życiu codziennym, o tym, jak ludzie się ubierali w Paryżu międzywojennym – to wszystko sam mogę znaleźć w książkach i prasie. Problem zaczyna się w momencie, gdy zastanawiam się, jak wtedy myślano, jaka była ówczesna mentalność. W przypadku najnowszej powieści poprosiłem o pomoc młodą historyczkę Camille Cléret, specjalizującą się w tym okresie. Pilnowała, żebym nie palnął głupstwa. Nasza współpraca wyglądała tak, że najpierw poprosiłem ją o sporządzenie notatek o charakterze technicznym, a potem o przeczytanie całej powieści pod kątem historycznym. Dyskutowaliśmy dużo, czasem ona mówiła, że coś w tekście jest mało prawdopodobne. Wtedy decydowałem: zostawić dany fragment czy wyrzucić. Dzięki tej wspólnej pracy zapanowałem nad materią historyczną.

Powieść „Barwy pożaru", choć rozgrywa się we Francji lat 20. i 30., wydaje się bardzo aktualna: wzrost nacjonalizmów, światowy kryzys finansowy, korupcja elit, ucieczka polityków do rajów podatkowych... Bawią Pana aluzje do współczesności?

Między dowolnymi dwiema epokami istnieją jakieś pokrewieństwa. Kluczowym pytaniem jest, które z nich wybrać. Gdy przyglądam się latom 30. we Francji, to widzę wiele podobieństw ze współczesnością. W tych czasach Francję ogarnęła fala zwątpienia: z jednej strony włoski faszyzm, z drugiej niemiecki nazizm, a z trzeciej Hiszpania czasu wojny domowej. Ówczesna Europa pękała. Nasz kraj znalazł się pod ideowym wpływem sąsiedzkich autorytarnych reżimów.

W tej powieści pojawia się postać cynicznego i ambitnego dziennikarza André Delcourta, redaktora wielkiego dziennika faszystowskiego „Le Licteur". Wychwala on Mussoliniego i głosi, że we Francji potrzebny jest dyktator.

Ta gazeta jest fikcyjna... Choć może nie do końca: w latach 30. istniał znany tygodnik „Je Suis Partout", sprzyjający ideom

PIERRE LEMAITRE zdobył we Francji – i nie tylko tam – pisarski rozgłos jako mistrz suspensu, autor poczytnych i tłumaczonych na wiele języków kryminałów i thrillerów psychologicznych. Wśród jego głośnych powieści jest cykl z komisarzem paryskiej policji Camille'em Verhoevenem w roli głównej, w którego skład wchodzą m.in. „Koronkowa robota" i „Alex". Ostatnio, w 2017 r., ukazał się po polsku thriller „Trzy dni i jedno życie". Zgodne uznanie krytyki i czytelników (wyrażające się w około milionie egzemplarzy sprzedanych we Francji) przyniosła Lemaitre'owi – urodzonemu w 1951 r. w Paryżu – powieść historyczna z sensacyjną intrygą „Do zobaczenia w zaświatach" (wyd. polskie 2014 r.). Akcja książki rozgrywa się w ostatnich dniach I wojny światowej oraz w latach powojennych, a jej bohaterami są dwaj byli żołnierze: Albert Maillard i Édouard Péricourt. Z powodu wojennej przeszłości i odniesionych ran znaleźli się na marginesie życia – i obmyślają skomplikowany plan, by zemścić się za swoje krzywdy. Tragikomiczna opowieść doczekała się w 2017 r. ekranizacji w reżyserii Alberta Dupontela. W ciągu kilku miesięcy film stał się przebojem: obejrzało go ponad 2 mln Francuzów. Na początku tego roku wyszła we Francji kontynuacja „Do zobaczenia..." – powieść „*Couleurs de l'incendie*" („Barwy pożaru"), rozgrywająca się w latach 20. i 30. XX w. Opowiada losy siostry bohatera pierwszej części, Madelaine Péricourt – dziedziczki ogromnego majątku, której życie z dnia na dzień przeradza się w koszmar. Tłem powieści są wstrząsy epoki: światowy kryzys gospodarczy, zepsucie demokratycznych elit i mediów, narodziny faszyzmu i nazizmu. Krytycy uznają za znak szczególny obu powieści Lemaitre'a zaskakujące zwroty akcji, przewrotny humor i precyzyjne oddanie atmosfery epoki (przy jednocześnie dość swobodnym traktowaniu przez autora historycznych faktów). W sierpniu Pierre Lemaitre będzie gościć w Polsce, na festiwalu Literacki Sopot.

© SZYMON ŁUCYK z Paryża

faszystowskim. Gospodarka francuska zaczęła wówczas upadać z powodu krachu finansowego za oceanem. Pojawiła się tendencja do szukania „męża opatrznościowego". Francuzi to uwielbiają – obecnie taką rolę stara się odgrywać prezydent Emmanuel Macron. Niektórzy nadal w to wierzą... Z kolei inny bohater tej najnowszej książki, bankier Gustave Joubert, jest odbiciem początku ery zwanej współczesną technokracją. Wzoruję tę postać na Erneście Mercierze, w latach 1925-35 twórcy ruchu nazwanego Francuską Odnową (*Redressement français*). On uważał, że polityka przestała mieć sens i że na czele państwa powinni stanąć „sprawni technicy".

To znów przypomina poglądy Macrona i jego partię En Marche!, która głosi, że nie jest „ani z lewicy, ani z prawicy". À propos: wspomniał Pan w wywiadzie, że prezydent Macron nie jest dobrym materiałem na bohatera powieści. Dlaczego?

Dobry bohater powieści musi rozpalić do białego namiętności czytelników, mieć w sobie silne kontrasty. Tego nie widzę u Macrona. Jak dla mnie jest płytką postacią, której nie niesie żadna ideologia. Jedynym motorem jego działania jest on sam. Nie wzbudza u mnie uczucia empatii. To postać cyfrowa.

A którego innego francuskiego polityka, współczesnego czy historycznego, umieściłby Pan w kolejnej książce?

Wśród współczesnych takiego nie dostrzegam. Z byłych prezydentów François Mitterrand byłby dobrym bohaterem powieściowym. Także Jacques Chirac, który przeszedł niebywałe perypetie i miał w sobie ogromny kontrast: z jednej strony lubował się w zimnej kalkulacji, a z drugiej uwielbiał towarzystwo rolników, lubił biesiadować ze zwykłymi ludźmi. Chirac był też pierwszym francuskim politykiem, który całą swoją karierę zrobił w epoce telewizji. Był typem człowieka nie do zatrzymania. Pchało go jedno pragnienie: zostać prezydentem Francji. Miał tysiące przeszkód, dziesiątki razy przegrywał, a jednak dopiął swego. Chirac był człowiekiem prawicy, ja mam lewicowe poglądy. Ale uważam, że za sprawą tej swojej ekstrawagancji absolutnie nadaje się na bohatera powieści.

Wróćmy do Pana cyklu historycznego. Pracuje Pan nad trzecim tomem XX-wiecznej trylogii. Poznamy w nim dalsze losy paryskiej rodziny Péricourt, która pojawia się po raz pierwszy w „Do zobaczenia w zaświatach"?

Dobry bohater powieści musi rozpalić namiętności czytelników, mieć w sobie silne kontrasty. U Macrona tego nie widzę.

Nie, w trzecim tomie rodzina Péricourt zniknie. Jako zasadę narracyjną przyjąłem, że głównym bohaterem kolejnego tomu jest jedna z drugoplanowych postaci tomu poprzedniego. W trzecim tomie heroiną powieści będzie Louise, znana czytelnikom „Do zobaczenia w zaświatach" jako 10-letnia wielbicielka żołnierza i artysty Edouarda Péricourta. W tej części ma już 30 lat, a opowieść zaczyna się w 1939 r., wraz z wybuchem II wojny światowej.

Czy dotknie Pan wrażliwych punktów francuskiej historii, takich jak „dziwna wojna", reżim Vichy i jego kolaboracja z niemieckim okupantem?

Na pewno zajmę się innym tabu: wielką ucieczką, exodusem milionów Francuzów po ataku Niemiec w maju 1940 r. To jeden z tych momentów historii, którego Francja się wstydzi. Wstydzi się, że nie stanęła na wysokości zadania, dała się ponieść panice. Wtedy naszemu krajowi zabrakło odwagi – w skali ogólnej, bo oczywiście zawsze są odważne jednostki. Dziś Francuzi niechętnie przeglądają się w zwierciadle tamtych czasów. Trzecia część mojej trylogii ma być właśnie takim lustrem, które przystawiam francuskim czytelnikom.

To chyba dobry moment na taki zabieg, bo ostatnio na francuskiej prawicy, nie tylko skrajnej, znów pojawiają się próby wybielania kolaboracyjnych rządów Vichy. Marine Le Pen stwierdziła rok temu, że „Francja nie była odpowiedzialna za Vel d'Hiv", czyli akcję zatrzymania w latach 1942-43 ponad 13 tys. Żydów przez francuską policję. Choć historycy nie mają wątpliwości co do współwiny rządu Vichy za deportację Żydów.

Próba rehabilitacji tamtych czasów ma współczesne przyczyny, o których wspomniałem. W dzisiejszej Francji ludzie odczuwają zagrożenie i niepewność, więc narasta to samo zjawisko, co w latach 30. XX wieku: odgradzania się od innych, zamykania w najmniejszych wspólnotach – rodzinie, swojej dzielnicy czy mieście. Jak w haśle reżimu Vichy: „Praca, rodzina, ojczyzna". Dla swoich obrońców marszałek Pétain [przywódca państwa francuskiego współpracującego z III Rzeszą – red.] pozostaje historycznym wcieleniem wspomnianego „męża opatrznościowego".

Skąd popularność skrajnej prawicy we Francji?

Siła skrajnej prawicy rodzi się z poczucia frustracji, że nawet jeśli globalnie sytuacja nieco się poprawia, to indywidualnie wygląda źle, za wyjątkiem garstki uprzywilejowanych, którym żyje się coraz lepiej. A jest też inna, ważniejsza przyczyna niezadowolenia ludzi, która jest wodą na młyn skrajnej prawicy: to rosnąca przepaść między biednymi a bogatymi. Polityka wzmacniania nierówności typu: „niech bogacze będą jeszcze bogatsi, wtedy zostanie więcej okruchów dla biednych" – pcha wyborców w stronę skrajności. To jest coś, co łączy dziś pewnie Francję i Polskę.

Interesuje się Pan sytuacją polityczną w Polsce?

Jestem nią zaniepokojony. Właśnie dlatego, że to kraj, który lubię. Wiele razy odwiedzałem Polskę, w tym roku latem pojadę na festiwal Literacki Sopot. Mam polskich przyjaciół, z moim kolegą po piórze Zygmuntem Miłoszewskim spędzę teraz wakacje. Gdy dorastałem na paryskich przedmieściach, miałem w szkole wielu polskich kolegów. Często spotykałem wtedy polskie dziewczęta – niezwykłej urody, mam do dziś wspaniałe wspomnienia. Polskich imigrantów, jak pamiętam, cechowały braterstwo, przyjacielskość, pracowitość, surowa moralność. Polscy ojcowie mieli duży autorytet w rodzinie. Sprawia mi więc ból, że Polska skręca w kierunku, który mi się nie podoba. To, co mogę zrobić, to powiedzieć polskim przyjaciołom: jestem po waszej stronie. Choć koniec końców to sami Polacy decydują o swojej przyszłości. Tak jak Francuzi o swojej.

© Rozmawiał w Paryżu SZYMON ŁUCYK

JACEK MÓJTA / SPRING BREAK

Taco Hemingway na Enea Spring Break 2016, plac Wolności, Poznań, 22 kwietnia 2016 r.

Festiwal odkryć

JAN BŁASZCZAK

To platforma dla branży muzycznej i playlista dla publiczności. 19 kwietnia w Poznaniu rozpocznie się piąta odsłona festiwalu Spring Break – okna wystawowego, a zarazem wizytówki młodej polskiej sceny.

Jeśli festiwale muzyczne zapewniają ogrom bodźców, showcase'y idą jeszcze dalej. Podczas kilku dni w kilkunastu klubach odbywa się liczba koncertów narzucająca tempo jak z japońskiej wycieczki. Nacisk kładzie się tu na poznawanie kolejnych artystów, a nie smakowanie ich twórczości. Jest więc szybko, gęsto i intensywnie.

Podczas odbywającego się 19-21 kwietnia showcase'u Spring Break w 18 poznańskich klubach wystąpi 130 artystów. O większości z nich nie mają państwo pojęcia. Proszę się nie obruszać – ja również. Na tym właśnie polega idea showcase'u, czyli okna wystawowego dla wytwórni, agencji koncertowych i festiwalowych, i oczywiście samych zespołów. Wydawcy przedstawiają tu nowych wychowanków i poszukują kolejnych, dziennikarze wypatrują potencjalnych gwiazd, a muzycy starają się złapać kilka srok za ogon. Ci ostatni – wyposażeni w listę akredytowanych na festiwal delegatów – już kilka tygodni wcześniej zapraszają imiennie na koncerty, rozsyłają płyty i linki do piosenek. Działania, które przed każdym festiwalem uznałbym za niezręczne, tutaj znajdują swoje uzasadnienie. W końcu to impreza branżowa, a więc nie ma miejsca na idealizm. Poza tym konkurencja na Spring Break jest naprawdę ogromna.

Odbywające się nawet kilka razy w tygodniu europejskie showcase'y ściągają również publiczność niezwiązaną w żaden sposób z branżą. I trudno się dziwić, bo ich filozofia idealnie wpisuje się w dzisiejsze doświadczanie muzyki.

– Jeśli nie podoba ci się jakaś piosenka, serwis streamingowy pozwala momentalnie zmienić ją na dowolną inną – mówi Tomasz Waśko, dyrektor poznańskiego showcase'u. – Spring Break możesz potraktować jak taką playlistę. Zmieniasz kluby, tak jakbyś zmieniał piosenki.

W tym roku Spring Break będzie bardziej otwarty na artystów z zagranicy. Organizatorzy zapewniają co prawda, że re-

wolucji w doborze artystów nie należy się spodziewać, ale jednak następuje jakiś zwrot. Poprzednie edycje podkreślały silne związki z rodzimą branżą muzyczną. Taka zmiana może się tylko przysłużyć polskim wytwórniom, agencjom koncertowym i festiwalowym – o samych artystach nie wspominając. Przykłady innych showcase'ów z tej części Europy – słoweńskiego Ment czy Tallinn Music Week – pokazują, że to droga, której nie należy się obawiać.

Walka o kontrakt

Idea Spring Break zrodziła się w głowach Tomasza Waśki i Łukasza Minty z agencji koncertowej Go Ahead. Przez lata objeżdżali mnóstwo zagranicznych imprez tego typu, by spotykać się z menadżerami, podpatrywać młode zespoły i śledzić kolejne trendy. Kiedy zaczynali, szlaki dla polskich artystów przecierali Myslovitz i Robotobibok. Minta widział też podobno, jak na niewielkiej scenie uwagę środowiska próbuje przyciągnąć Adele. Równie ważne, jak poznawanie rokujących artystów, było dla poznaniaków nawiązywanie znajomości z europejskimi agentami i menadżerami. W tym celu latali więc co roku na holenderski Eurosonic, niemiecki Reeperbahn, brytyjskie Great Escape czy norweski by:Larm. Co roku spotykali tam coraz większą delegację z Polski.

– Dochodziło do absurdalnej sytuacji, kiedy przedstawicieli polskiego środowiska muzycznego najłatwiej było poznać za granicą – wspomina Waśko. – To był jeden z impulsów, który sprawił, że zaczęliśmy pracować nad Spring Break. Platforma promocyjna dla zespołów to jedno, ale również branża potrzebowała takiego integrującego wydarzenia.

Warto zaznaczyć, że historia polskich showcase'ów jest dłuższa. Próby stworzenia takiego wydarzenia podejmował Instytut Adama Mickiewicza, współpracując m.in. z warszawskim festiwalem Warsaw Music Week czy targami Co Jest Grane.

– Spring Break od początku miał nad nimi tę przewagę, że jest robiony przez branżę dla branży – mówi Michał Hajduk z Instytutu. – Oczywiście, to jest komercyjne wydarzenie, które ma zarobić na biletach, ale w odróżnieniu od poprzednich inicjatyw towarzyszy mu środowiskowa świadomość.

Showcase to jednak nie tylko miejsce spotkań menadżerów z agentami, ale także szansa na błyskawiczny rekonesans w muzycznych trendach.

– Głównym walorem Spring Break jest to, że młodzi artyści mogą tu powalczyć o kontrakty – mówi Tomik Grewiński z wytwórni Kayax. – Jesteśmy obecni w Poznaniu od samego początku i to właśnie tutaj zobaczyliśmy Bownik, Kroki i Julię Wieniawę, którym zaproponowaliśmy współpracę. Dwa pierwsze zespoły wydały już u nas swoje płyty, Julia dołączy do tego grona jeszcze w tym roku.

Nieco inną drogę przebył wyprzedający dziś sale koncertowe Kortez.

– Nie mieliśmy już miejsc, ale menadżer Paweł Jóźwicki bardzo nas prosił, żebyśmy zrobili dla niego wyjątek – wspomina Waśko. – Zależało mu na tym, aby skonfrontować Korteza z wymagającą publicznością i przedstawić go środowisku. Niedługo później jego pierwszy singiel zaczął robić karierę na antenie Trójki. Na showcase'ach warto więc bywać choćby dlatego, by zobaczyć przyszłą gwiazdę w niewielkim klubie.

– Uczucie towarzyszące takiemu odkryciu jest wspanialsze niż emocje, jakie może zapewnić koncert ulubionego zespołu – deklaruje Andraž Kajzer, menadżer słoweńskiego Mentu, który odwiedza Poznań każdego roku. Początkującym artystom przyglądają się więc w trakcie Spring Break dziennikarze, menadżerowie i melomani amatorzy. Choć reprezentują różne grupy, ich nadrzędny cel jest w zasadzie ten sam – usłyszeć coś wyjątkowego, zanim usłyszą to inni.

130 puzzli

Zorganizowanie 130 koncertów w ciągu trzech dni wymaga wielomiesięcznej organizacji i odpowiedniego zaplecza infrastrukturalnego. W temacie tego ostatniego trudno nie odnieść wrażenia, że podobne wydarzenie nie mogłoby się odbyć w żadnym innym mieście w Polsce. Tylko w Poznaniu znajdziemy kilkanaście klubów, które dzieli tak niewielki dystans. We Wrocławiu, Gdańsku czy Krakowie – zabrakłoby scen gotowych przyjąć muzyków, w Warszawie natomiast nie obyłoby się bez autobusów i tramwajów. Tutaj udało się zachować ludzką skalę tego festiwalu. Artystów dopasowano do konkretnych klubów. Nie chodzi tylko o wielkość sali, ale także o dostępne nagłośnienie i sprzęt.

– To się wydaje oczywiste, ale na jednym z showcase'ów byłem już świadkiem takiej sytuacji, kiedy w klubie miał grać ośmioosobowy zespół, ale nagle okazało się, że on w żaden sposób nie zmieści się na scenie – wspomina Waśko. – Przy takiej liczbie zespołów musisz wszystkie tego typu aspekty potraktować bardzo poważnie.

Przy planowaniu showcase'u trzeba również uwzględnić preferencje muzyczne stałej publiczności współpracujących klubów. Fani muzyki rockowej powinni od razu udać się do Starego Kina czy Pod Minogą, podczas gdy amatorzy muzyki klubowej czy hip-hopu mogą ominąć je szerokim łukiem i wybrać Projekt LAB. Tym bardziej że na występy artystów, których jesteśmy szczególnie ciekawi, najlepiej pójść z pewnym wyprzedzeniem. Pomimo zaawansowanej logistyki i wewnętrznej konkurencji, podczas ↦

JACEK MÓJTA / SPRING BREAK

Koncert zespołu Douchka, Enea Spring Break 2017, klub Meskalina, Poznań, 22 kwietnia 2017 r.

↦ Spring Break kluby nierzadko pękają w szwach. Sam pamiętam dobrze, jak z grupką osób podsłuchiwałem koncertu grupy New People, stojąc na ulicy przed kamienicą, w której znajdował się klub. Na szczęście ktoś łaskawie otworzył okno.

– Nie wszystko da się przewidzieć – tłumaczy Waśko. – Czasami zapraszamy mało znany zespół, a kiedy przychodzi pora na przyjazd do Poznania, jest już wokół niego spore zamieszanie.

Problematyczna bywa również selekcja zespołów na *showcase*. Z jednej strony organizatorom zależy na pokazaniu jak najlepszego oblicza polskiej sceny, z drugiej jednak są otwarci na propozycje agencji artystycznych, wytwórni i dziennikarzy muzycznych. Przyjmują również bezpośrednie zgłoszenia od zainteresowanych zespołów: – Od początku takie było założenie, że to nie będzie festiwal Tomka Waśki, który zaprasza do Poznania swoje ulubione zespoły. Oczywiście, do nas należy ostatnie słowo, ale staramy się zarzucać sieci jak najgłębiej.

Szefowie innych festiwali zwierzają się w mediach, że zaproszenie jakiegoś muzyka było ich prywatnym marzeniem. Gusta muzyczne i osobowości Artura Rojka (Off Festival), Mikołaja Ziółkowskiego (Open'er Festival) czy Filipa Berkowicza (kiedyś Sacrum Profanum, Misteria Paschalia, teraz m.in. Opera Rara, Actus Humanus, Kromer) mają wyraźny wpływ na organizowane przez nich festiwale. W tym sensie Spring Break nie jest festiwalem kuratorów.

Wśród artystów występujących w Poznaniu osobną grupę tworzą gwiazdy polskiej sceny. Nie wszystkim podoba się fakt, że występują one na największych scenach, grając za festiwalowe stawki, podczas gdy pozostali liczą przede wszystkim na możliwość zaprezentowania się branży. Organizatorzy nie mają jednak wątpliwości, że to koncerty takich artystów jak O.S.T.R. czy Kortez sprzedają karnety. A im więcej osób kupi bilety na festiwal, tym większy procent odwiedzi również te niewielkie kluby, w których prezentują się debiutanci. Choć z ekonomicznego punktu widzenia takie podejście wydaje się racjonalne, niektórzy uważają, że taka formuła tworzenia programu musi się wkrótce wyczerpać.

– Z każdym rokiem coraz trudniej będzie znaleźć setkę nowych, wartych uwagi polskich artystów – uważa Hajduk. – Już w ubiegłym roku widać było lekką zadyszkę. Uważam, że z tego powodu Spring Break mógłby postawić na internacjonalizację. Jeśli podczas showcase'u zaprezentuje się kilkunastu czy nawet kilkudziesięciu artystów z zagranicy więcej, to uda się zachować opiniotwórczy charakter, a festiwal wciąż będzie przecież reprezentować polskie środowisko.

Szansa na eksport

Fakt, na europejskim rynku showcase'ów Spring Break wyróżniał się lokalną perspektywą. Oczywiście, by:Larm promuje Skandynawów, a Great Escape – Brytyjczyków, ale i tam relatywnie często trafimy na artystę z zagranicy. I nie dzieje się tak dlatego, że organizatorom zachodnich imprez brakuje utalentowanych zespołów na własnym podwórku. Powody są inne, ekonomiczne.

– Żeby Spring Break mógł eksportować polskie zespoły, musi w większym stopniu skupić się na stronie międzynarodowej festiwalu – nie ma wątpliwości Hajduk. – Agenci, wytwórnie, biura eksportu muszą mieć możliwość coś sprzedać w Poznaniu, aby zacząć tu kupować.

Zauważa to również Andraž Kajzer, którego Ment od początku stawiał na relacje import–eksport. On sam jest zresztą najlepszym dowodem na to, że otwarcie na zagranicę może przynieść wymierne korzyści. Zespoły Niemoc, Sotei oraz Eric Shoves Them in His Pockets wystąpiły w Lublanie, ponieważ menadżer zobaczył ich koncerty podczas Spring Break. Po tegorocznej odsłonie takich zaproszeń może być więcej, ponieważ poznaniacy rzeczywiście rozwijają relacje międzynarodowe. To pokłosie zaangażowania w europejską sieć showcase'ów INES, czego mniej lub bardziej bezpośrednim rezultatem są tegoroczne zaproszenia dla kilku młodych zespołów z Węgier, Francji i Rosji. Organizatorzy zapowiadają również, że duża część towarzyszących imprezie paneli odbędzie się w języku angielskim.

Mówiąc o nieśmiałym otwieraniu się na świat, organizatorzy Spring Break zapewniają zarazem, że absolutną większość programu wypełnią koncerty artystów z Polski. Bo siłą poznańskiego showcase'u jest siła polskiej sceny muzycznej.

© JAN BŁASZCZAK

Rzeczy naszego świata

PIOTR KOSIEWSKI

Wystawa w krakowskim Muzeum Narodowym to pierwsza tak obszerna prezentacja polskiego dizajnu po 1989 r. Opowiada o projektowaniu przedmiotów, ale też o przemianach, jakie się u nas dokonały.

Na wystawie „Z drugiej strony rzeczy" zebrano ponad 160 obiektów blisko 240 autorów. Są tu ikoniczne już przykłady wzornictwa ostatnich dekad, jak leżanka Mono Tomasza Augustyniaka (2003), stołek Plopp Oskara Zięty (2005-06) czy zastawa stołowa New Atelier (2013) zaprojektowana przez Marka Cecułę dla Polskich Fabryk Porcelany Ćmielów i Chodzież. Można zobaczyć meble, ceramikę, szkło, tkaniny, ale też narzędzia i sprzęt AGD, książki, zabawki i aplikacje internetowe. Jest dokumentacja fotograficzna projektów tramwajów, lokomotyw czy samolotów. Są przedmioty znane, dobrze sprawdzone na rynku, ale też takie, które nigdy nie weszły do produkcji, pozostały na etapie prototypu albo eksperymentu artystycznego.

Wystawę można potraktować jako zapowiedź przyszłego Muzeum Designu i Architektury, które ma powstać w dawnym hotelu Cracovia, zakupionym w 2016 r. dla Muzeum Narodowego. Nie jest to jednak historyczny przegląd dobrze zaprojektowanych przedmiotów, raczej próba uchwycenia tytułowej drugiej strony rzeczy: okoliczności ich powstania, celów, jakim miały służyć, ich obecności na rynku, źródeł inspiracji, wreszcie zmian technologicznych i sposobu podejścia do materiału. To ważne kwestie, przedmioty bowiem wiele mówią „o naszej wrażliwości i aspiracjach, o warto-

MATEUSZ SZCZYPIŃSKI / MNK

Fragment wystawy „Z drugiej strony rzeczy" w Muzeum Narodowym w Krakowie

ściach, którym hołdujemy" – podkreśla Czesława Frejlich, kuratorka.

Przy wejściu przypomniano istotne dla polskiego wzornictwa wydarzenia, m.in.: powstanie Galerii Design BWA we Wrocławiu, pierwsze Biennale Projektowania w Krakowie w 1994 r., wystawę „Rzeczy pospolite" zorganizowaną w 2000 r. w warszawskim Muzeum Narodowym, wydanie pierwszego numeru magazynu „2+3D" (2001), Festiwal Łódź Design (2007). Przypomniano też przełom polityczny '89, otwarcie pierwszego sklepu sieci Ikea w Polsce (1990), wejście naszego kraju do Unii Europejskiej, przystąpienie do strefy Schengen czy fundusze unijne na lata 2014-20 (105,8 mld euro). Można się zastanawiać, które z tych dat miały kluczowe znaczenie – być może wcale nie te, które w pierwszym odruchu łączymy z rozwojem wzornictwa. Znaczący jest zresztą wybór obiektu otwierającego ekspozycję: to banknot 50-złotowy projektu Andrzeja Heidricha z wizerunkiem Kazimierza Wielkiego. Wszedł on do obiegu 1 stycznia 1995 r. wraz z reformą monetarną kończącą pierwszy okres stabilizacji gospodarczej. Trudno o bardziej symboliczne powiązanie dizajnu z przemianami w Polsce.

Czas dizajnu

Dziś stał się tematem modnym, popularnym, obecnym w mediach. Nawet samo słowo *design* zostało spolszczone, także w tytule krakowskiej ekspozycji. Pozostaje jednak pytanie: czy wzornictwo nie jest jedynie elitarną rozrywką?

Wózek Nano-handel, projekt Paulina Ryń, Jacek Ryń, prototyp, 2015 r.

Półbuty Operas, projekt Agata Matlak-Lutyk, Hanna Ferenc Hilsden, produkcja Balagan, 2016 r.

MNK x2

„Designer projektuje przecież nie automaty na bilety, które stworzone są raczej przez »przedstawiciela obcej cywilizacji – kosmitę zatrudnionego w biurze projektów transportu miejskiego«, który, sądząc ze sposobu umieszczenia ekranu, »ma jakieś metr czterdzieści wzrostu i bardzo długie ręce zakończone krzywymi szponami do wyłuskiwania bilonu«" – przestrzega choćby Marcin Wicha w wydanej przez wyd. Karakter książce „Jak przestałem kochać design".

Twórcy wystawy starają się pokazać różne oblicza polskiego dizajnu – chociaż warto byłoby pełniej pokazać także mniej udaną jego twarz. Przede wszystkim jednak zwracają uwagę na zmiany. Lata 90. minionego stulecia to czas odnajdywania się w nowej rzeczywistości. W PRL-u istniał cały system instytucjonalnych rozwiązań, na czele z powołanym w 1950 r. Instytutem Wzornictwa Przemysłowego w Warszawie.

W poszczególnych branżach działały centralnie zarządzane Ośrodki Badawczo-Rozwojowe. Przestrzeń dla poszukiwań, a nawet eksperymentów była dość duża, chociaż tylko część projektów wchodziła do produkcji (nie mówiąc już o nieustannych brakach materiałowych, bo inwencji przecież nie brakowało). ↦

Jednak, jak przypomina Czesława Frejlich, w ostatniej dekadzie PRL-u brak konkurencji niemal wyeliminował wzornictwo. „Przemysł go nie potrzebował. To, co jeszcze w latach 60. i 70. wiązało się raczej z aspiracjami władzy niż potrzebami rynku, w następnej dekadzie praktycznie przestało istnieć". Nie oznacza to, że nie powstawały udane projekty. Jeden z nich pokazano na wystawie – nożyczki Renomed zaprojektowane przez Donatę Rucińską w 1981 r. Szybko zostały wprowadzone do produkcji, ale dopiero od kilku lat dobrze sprzedają się w Polsce.

W projektowaniu z pierwszej dekady III RP widać zresztą pewne rozdarcie. Część autorów, a także producentów stara się kontynuować stylistykę i rozwiązania z czasów późnego PRL-u. Dla innych punktem odniesienia były zachodnie poszukiwania, zwłaszcza dorobek działającej w latach 1981-87 Grupy Memphis Ettorego Sottsassa, zaprezentowany w poznańskim Muzeum Narodowym w 1993 r. Postmodernizm, powstały w odmiennym kontekście artystycznym i społecznym, trafił do nas z dziesięcioletnim opóźnieniem. Mimo to, przefiltrowany przez polskie doświadczenia, ale też możliwości produkcyjne, na długo naznaczył polski dizajn.

Grzejnik Pillou, projekt Marta Szaban, Tomasz Antoni Krzempek, produkcja Terma, 2012 r.

Krzesło Sprężyna, Tomasz Augustyniak, 1992 r.

Ten właśnie przykład dobrze pokazuje, że nie można opowiadać o polskim wzornictwie w oderwaniu od tego, co działo się w innych krajach. Tymczasem przyglądając się kolejnym wystawom czy opracowaniom poświęconym polskiemu dizajnowi można odnieść wrażenie, że jesteśmy samotną, izolowaną wyspą. Międzynarodowy aspekt jest szczególnie istotny w przypadku ostatniego trzydziestolecia – polskie firmy nie tylko muszą konkurować na naszym rynku z zagranicznymi, ale też coraz częściej z powodzeniem wchodzą na cudze obszary, Polacy zaś przygotowują projekty dla zagranicznych producentów. Dobrym przykładem są talerze autorstwa Mai Ganszyniec, które w ubiegłym roku weszły do katalogu Ikei.

Część wystawy poświęcona latom 90. jest ważna, lecz z dzisiejszej perspektywy bardziej intrygująca wydaje się następna, pokazująca próby odnajdywania się na wolnym rynku i w konkurencji z zachodnim wzornictwem, ale też z rodzimą produkcją, często wtórną, wręcz naśladowczą (w tym z całym nurtem projektowania pseudohistorycznego). Nacisk położono na pierwszą dekadę nowego stulecia, jednak dostosowywanie się naszych producentów do wymogów wolnego rynku zaczęło się wcześniej. Przykładami mogą być znane projekty dla Zelmera: produkowany w latach 1997–2001 ekspres do kawy Aroma Master autorstwa Ergo Design (Andrzej Śmiałek, Paweł Pochopień) czy maszynka do mięsa Diana projektu Triada Design (Marek Liskiewicz, Stanisław Półtorak, Marek Suchowiak) z 1996 r., która mimo zmieniających się mód jest nadal wytwarzana.

Pierwsze próby nie zawsze były udane. Pouczająca jest historia włączników i gniazdek elektrycznych Nova Plus autorstwa Jacka Cynkego i Przemysława Gierałtowskiego (1993). Powstał projekt nowatorski, odważny kolorystycznie, a jednocześnie prosty, dobrze wpisujący się w ówczesne tendencje. Spółdzielnia Inwalidów „Powstaniec" produkowała te włączniki i gniazdka do 1996 r., jednak mimo dobrych ocen i nagród projekt ostatecznie został odsprzedany wytwórcy z Niemiec. Dla polskich konsumentów okazał się zbyt odważny.

W nowym stuleciu nasz dizajn znalazł się w całkowicie odmiennej sytuacji. Pokazany na wystawie wybór projektów, które sprawdziły się w komercyjnym obiegu, może imponować liczbą, ale przede wszystkim różnorodnością. Jest tu zarówno wiata przystanku dla historycznych rejonów Warszawy autorstwa Towarzystwa Projektowego (Grzegorz Niwiński, Jerzy Porębski), tramwaj niskopodłogowy 121N zaprojektowany przez Agatę Danielak-Kujdę, Włodzimierza Dolatowskiego i Jana Kukułę dla bydgoskich zakła-

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Słubicach zostało wszczęte, pod sygn. I Ns 484/17, postępowanie z wniosku Moniki Gawęckiej, o stwierdzenie przez zasiedzenie nabycia własności pojazdu BMW X5 o nr. VIN: WBAFF01070LY93156, znajdującego się w posiadaniu Moniki Gawęckiej, zamieszkałej przy ul. Konstytucji 3 Maja 57 w Słubicach.

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosiły się do Sądu i wykazały swoje prawa, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięte w postępowaniu, a sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

Przed Sądem Rejonowym Lublin-Wschód w Lublinie z siedzibą w Świdniku toczy się, z wniosku Janiny Dudek, sprawa o zasiedzenie nieruchomości położonej w Ciechankach Krzesimowskich, gm. Łęczna, stanowiącej działkę o nr. ewidencyjnym 32 i powierzchni 0,23 ha (stanowiącej w części łąkę, a częściowo grunt uprawny).

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, w szczególności zaś właścicieli powyższej działki, by w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili się do Sądu i wykazali swoje prawa, w przeciwnym bowiem razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, o ile zostanie ono udowodnione. Sygn. akt I NS 566/17.

dów PESA, jak i skromne osłonki na zioła Heca autorstwa Doroty Skalskiej-Stefańskiej i Macieja Stefańskiego (2015). Są meble, szkło, sprzęt specjalistyczny i AGD.

Szukając swojego miejsca

Sukces komercyjny to nie jedyny klucz do polskiego dizajnu w XXI wieku. Inne to nowoczesne poszukiwania technologiczne czy wzornictwo jako przestrzeń dla artystycznego eksperymentu. Jest też pytanie o tradycję jako źródło inspiracji. To jeden z najciekawszych fragmentów wystawy. Od dawna mówi się o zwrocie ku ludowości. Długo utożsamiana z Cepelią i traktowana dość nieufnie, nagle stała się modna – za sprawą młodych architektów i dizajnerów, którzy sięgnęli po wzorce formalne i po tradycyjne techniki oraz materiały. Na wystawie pokazano m.in. ceniony dywan Mohohej!DIA Magdaleny Lubińskiej i Michała Kopaniszyna (2005). Dziś te inspiracje ludowością są czymś oczywistym.

„Z drugiej strony rzeczy" pokazuje też inne zjawisko – obecnie chyba ważniejsze. Istotnym punktem odniesienia stają się polskie projekty z lat 50. i 60. (a także wcześniejsze). Doskonałym przykładem jest fotel Clapp autorstwa Piotra Kuchcińskiego (2013). Nawiązuje on wprost do znanego projektu – 366 Józefa Chierowskiego z 1962 r. Nie chodzi jednak o naśladownictwo, tylko o przemyślenie konstrukcji mebla i podejścia do materiału. W ogóle wiele projektów powstałych w ostatnim czasie mniej lub bardziej jawnie wpisuje się w naszą XX-wieczną tradycję wzornictwa, od Warsztatów Krakowskich przez Spółdzielnię Ład po najlepsze doświadczenia doby PRL-u.

Jest też inny sposób nawiązywania do tradycji. Doskonały przykład to słynny dziś fotel RM58 projektu Romana Modzelewskiego (1958), nowatorski, szokujący formą i wykorzystaniem nowoczesnych materiałów. Doceniony przez specjalistów, ale uznany przez decydentów za zbyt awangardowy, nie wszedł do seryjnej produkcji; autor wykonywał ręcznie pojedyncze egzemplarze. Musiało minąć pół wieku, by firma Vzór zaczęła go wytwarzać. Dziś – podobnie jak dzieła wielu wybitnych XX-wiecznych projektantów – należy do klasyki ubiegłowiecznego dizajnu, a równocześnie jest dostępny na rynku. Podobny przypadek to projekty Lubomira Tomaszewskiego z przełomu lat 50. i 60. dla Ćmielowa.

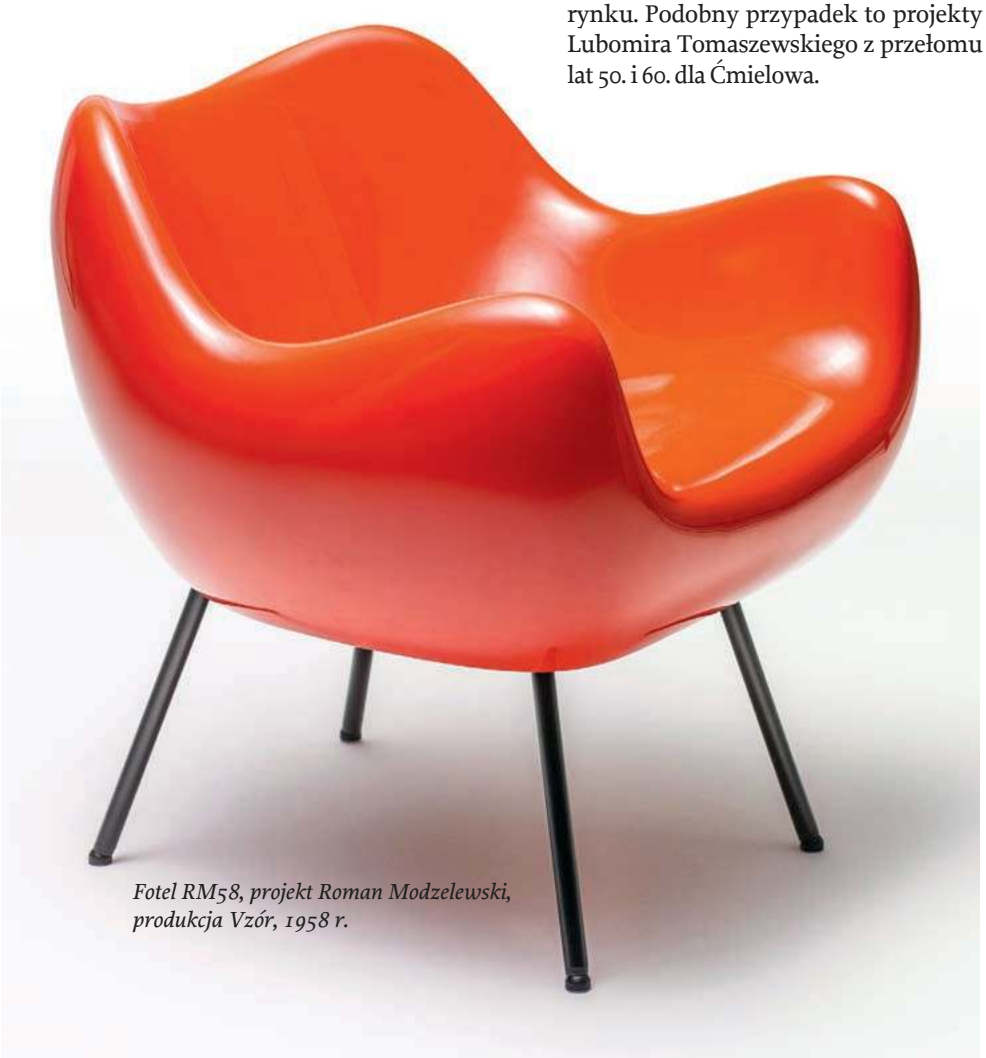

Fotel RM58, projekt Roman Modzelewski, produkcja Vzór, 1958 r.

MNK x 4

Zabawka Żaba, projekt Małgorzata Małolepszy, Wojciech Małolepszy, produkcja Studio MP oraz wznowiona przez Fundację „Być razem", 1987 r.

Ważnym tematem wystawy jest projektowanie społeczne. Projektanci, zwłaszcza młodszego pokolenia, coraz częściej próbują rozwiązywać problemy wynikające z podeszłego wieku odbiorców, ich niepełnosprawności, wykluczenia, dezintegracji społecznej czy stanu środowiska. Wspomnijmy telefon dla seniorów autorstwa Piotra Hojdy (firma MyPhone), zabawkę rehabilitacyjną dla dzieci Memofaktury zaprojektowaną przez Magdalenę Jurek czy buty szyte w Nairobi przez mieszkańców slumsów Mathareod (projekt Alicji Wysockiej wspierany przez Fundację Razem Pamoja). Wszystkie te działania wciąż są słabo dostrzegane, dobrze się więc stało, że w Muzeum Narodowym poświęcono im sporo miejsca.

Znaczenie projektowania społecznego wykracza jednak poza pomoc – niezwykle istotną! – osobom zepchniętym na margines. Ten nurt wymusza ponowne przemyślenie, czym dzisiaj jest dizajn, nie ten alternatywny, lecz powstający w głównym, komercyjnym nurcie. Czy stać nas nadal na dotychczasowy styl życia? Nie uciekniemy od pytania, jak przedmioty dziś produkowane wpływają na nasze relacje społeczne i na środowisko, w którym żyjemy.

Po co nam zatem dizajn? Czy wystarczy sama przyjemność korzystania z dobrze zaprojektowanych przedmiotów? Na wystawie przypomniano uwagę fotografa, rzeźbiarza, autora filmów, ale też projektanta Andrzeja Pawłowskiego z 1975 r.: „Wzornictwo nie powinno dyktować: tak będzie – ale pomagać społeczeństwu w poszukiwaniu odpowiedzi na pytania: jak może być? Jak powinno być?".

© PIOTR KOSIEWSKI

Z DRUGIEJ STRONY RZECZY. POLSKI DIZAJN PO ROKU 1989, *Muzeum Narodowe w Krakowie, wystawa czynna do 19 sierpnia br., kuratorka: Czesława Frejlich. Wystawie towarzyszy obszerny katalog.*

Selfie w rezerwacie

ANITA PIOTROWSKA

Jak nakręcić film przeciwko przesądom, a jednocześnie przesycony magicznym realizmem? Jak połączyć wierność realiom z surrealną aurą? Młoda reżyserka Rungano Nyoni zdaje się nie dostrzegać tych sprzeczności.

NOWE HORYZONTY

Mało co chwyta dziś za serce tak mocno, jak smutna buzia czarnoskórego dziecka. Budowanie wizerunku z jej pomocą nie zawsze jednak się opłaca – o czym mogła się przekonać niedawno Dominika Kulczyk, udzielając wywiadu „Wysokim Obcasom". Wbrew tego rodzaju nadużyciom powstał film „Nie jestem czarownicą", w którym historia dziewięciolatki z Zambii uruchamia znacznie więcej niż tylko powierzchowne, łatwe do sprzedania współczucie.

Pierwsza scena zostaje ustawiona w taki sposób, byśmy poczuli się trochę jak turyści podczas safari, a zarazem odczuli absurd tej sytuacji. Przy dźwiękach „Zimy" Vivaldiego, brzmiącej dość ironicznie w podrównikowej strefie klimatycznej, nasz autokar zatrzymuje się w rezerwacie, gdzie przetrzymywane są starsze kobiety z pomalowanymi na biało twarzami. Jesteśmy w jednym z afrykańskich obozów dla czarownic, tworzonych przez władze, by chronić kobiety oskarżone o czary przed samosądem. Jak się okazuje, „wiedźmy" wykorzystywane są przez rząd nie tylko jako turystyczna atrakcja, ale także do niewolniczej pracy w polu czy w kamieniołomach. Gdyby którejś z nich przyszło do głowy odcięcie długiej białej taśmy, którą przywiązuje się im na plecach, „by nie odleciały zbyt daleko", zgodnie z lokalnymi wierzeniami zostanie zamieniona w kozę. Tu właśnie trafia mała Shula – sierota napiętnowana przez sąsiadów, ale skazana na banicję wyrokiem legalnego sądu. Aczkolwiek z wielką pomocą miejscowego szamana.

Jak nakręcić film przeciwko przesądom, a jednocześnie przesycony magicznym realizmem? Jak połączyć wierność realiom z surrealną aurą? Urodzona w zambijskiej Lusace, lecz wychowana w Wielkiej Brytanii młoda reżyserka Rungano Nyoni zdaje się nie dostrzegać tych sprzeczności.

TP

JUŻ ZA TYDZIEŃ W NUMERZE:

Festiwal Katowice Kultura Natura

Tegoroczna edycja: 11-20 maja 2018 r.

Festiwal wrósł już w pejzaż muzyczny nie tylko Śląska, swymi projektami odznacza się bowiem na kulturalnej mapie całej Polski. Gdzie indziej spotkać można np. najlepsze europejskie orkiestry jako rezydentów? Gdzie indziej przywożone są tak wysmakowane programy? I wreszcie: gdzie indziej można tego wszystkiego doświadczyć w podobnie doskonałej i przyjaznej przestrzeni? W następnym numerze „Tygodnika" najróżniejsze, a za każdym razem nadzwyczajne propozycje festiwalu w poświęconym mu dodatku analizować będą Adam Wiedemann, Dorota Kozińska i Jakub Puchalski. Serdecznie polecamy!

NOSPR

Stowarzyszenie
Katowice Kultura Natura

Zamiast wiercić dziurę w nieczystym, postkolonialnym sumieniu zachodniego widza, w swoim debiutanckim filmie wybiera zupełnie inną strategię, by skłonić go do zaangażowania w historię afrykańskiej dziewczynki. Dzięki podwójnej tożsamości może sobie pozwolić na spojrzenie trochę przekorne. Potrafi dostrzec zarówno krzywdzące, szczególnie wobec kobiet i dzieci, animistyczne przesądy (bo tylko oficjalnie Zambia jest krajem chrześcijańskim), jak i rozmaite patologie rządzące w jej ojczyźnie.

Wolna od dyktatu politycznej poprawności, zapatrzona w chłodne kino Michaela Hanekego, reżyserka opowiada o samotności małej „wiedźmy" bez cienia czułostkowości. Obce jest jej także uwodzenie egzotyką. Afryka sfotografowana w „Nie jestem czarownicą" raczej nie znalazłaby miejsca na rozkładówce „National Geographic", prędzej u Ulricha Seidla, który w głośnym dokumencie „Safari" wyśmiewał współczesną eksploatację kontynentu.

Prócz „Czterech pór roku" na ścieżce dźwiękowej filmu Nyoni słychać mieszankę afrykańskich rytmów i jazzujących fraz. Albowiem opowieść o próbach „ucywilizowania" czarownicy pokazuje przy okazji kulturowe przesunięcia dokonujące się w tej części świata. I nie chodzi tu wyłącznie o zachłyśnięcie się nowinkami technicznymi czy zachodnią popkulturą. Pan Banda, wysoko postawiony urzędnik, który wykorzystuje Shulę do robienia własnych interesów, w perfekcyjny sposób przyswoił lekcję kolonializmu – wystarczy spojrzeć na jego feudalny styl bycia i ociekającą luksusem rezydencję.

Przebywając przez chwilę w takim otoczeniu, a przy okazji poznając żonę pana Bandy, mała bohaterka dostrzega cały fatalizm bycia „czarownicą". Nawet jeśli kiedykolwiek udałoby się jej wyrwać z niewolniczego stanu, np. przez prestiżowe zamążpójście, zawsze będzie tą gorszą, naznaczoną przez swój „dar", który *de facto* jest przekleństwem.

Film Nyoni może budzić wątpliwości. Już czołówka informuje, jak potężne instytucje europejskie – festiwale, organizacje, stacje telewizyjne – stoją za tym zacnym projektem. To natychmiast uruchamia podejrzenie, że dostaniemy kolejny europudding, tyle że wypreparowany w bardzo odległym zakątku świata. „Nie jestem czarownicą" jest jednak opowieścią tworzoną z osobistym zaangażowaniem i wyraźnym autorskim dotknięciem, odżegnującą się z całych sił od uprawiania filmowego safari. Co prawda malownicze wstążki krępujące ruchy „czarownic" to jedna z wielu tutaj poetyckich licencji, ale koniec końców reżyserka bardziej trzyma się rzeczywistości niż własnych fantazji. Przed przystąpieniem do zdjęć spędziła kilka tygodni w obozie dla domniemanych czarownic w Ghanie, by podpatrzyć, jak funkcjonuje mikrospołeczność, w której przemoc realna, uosabiana przez aparat państwowy, stapia się w jedno z przemocą symboliczną, której wcieleniem jest miejscowy zabobon.

Film przekroczył też bezpieczne ramy fikcji, kiedy po zakończeniu zdjęć Nyoni uruchomiła kampanię crowdfundingową, by sfinansować edukację Maggie Mulubwa, grającej w dojrzały i jednocześnie bardzo powściągliwy sposób rolę zaszczutej Shuli. Ów kontekst pozafilmowy sprawia, że opowieść o dzisiejszym polowaniu na czarownice nie staje się kolejnym *selfie* zrobionym w afrykańskim rezerwacie. Ale nawet nie mając tej dodatkowej wiedzy łatwo dostrzec, że pocztówka z obozu dla wiedźm nie jest obrazkiem zafałszowanym, lecz co najwyżej podrasowanym – jakkolwiek ryzykownie może brzmieć to słowo w przypadku europejskiego filmu o Afryce nakręconego przez czarnoskórą reżyserkę z Cardiff. ©

NIE JESTEM CZAROWNICĄ *(I'm Not a Witch) – reż. Rungano Nyoni. Prod. Wielka Brytania/Francja/Niemcy 2017. Dystryb. Stowarzyszenie Nowe Horyzonty. W kinach od 20 kwietnia. Film jest pokazywany także w ramach objazdowego festiwalu AfryKamera (więcej na www.afrykamera.pl).*

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika".

Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM
www.radiokrakow.pl

WARTO ZOBACZYĆ W TV [21 – 27 IV]

1. Okno na tamtą stronę

Teatr TV, reż. Artur Hofman, Polska 2018, TVP1, 23 IV, 20.35

Jedną z ofiar powstania w warszawskim getcie był Władysław Szlengel – poeta, tekściarz, artysta kabaretowy. Na podstawie jego utworów odtworzony zostaje artystyczno-rozrywkowy klimat przedwojennej i wojennej Warszawy, który współtworzyli również tacy artyści jak Władysław Szpilman czy Wiera Gran. Występują m.in. Wojciech Solarz, Artur Barciś i Marcin Przybylski.

2. Praktykant

Dramat, reż. Junfeng Boo, Singapur i inne 2016, Cinemax, 23 IV, 23.45, 24 IV, 11.15

W singapurskim więzieniu o zaostrzonym rygorze rozgrywa się psychologiczny pojedynek pomiędzy doświadczonym w swoim fachu katem a jego pomocnikiem, który dopiero rozpoczyna pracę. Zamknięta przestrzeń staje się polem konfliktów o podłożu nie tylko moralnym. Film stawia też pytania o miejsce kary śmierci w państwowym systemie przemocy.

3. Ikona

Dokumentalny, reż. Wojciech Kasperski, Polska 2016, TVP Kultura, 24 IV, 18.40

Szpital psychiatryczny gdzieś na syberyjskiej prowincji to miejsce skupiające rozmaite zaburzenia i „choroby duszy", ale także współczesne patologie rosyjskiego społeczeństwa. Przewodnikiem po tym świecie jest sędziwy lekarz, dla którego, mimo wieloletniej praktyki, natura ludzka nadal pozostaje tajemnicą.

4. Witamy u Hartmannów

Komedia, reż. Simon Verhoeven, Niemcy 2016, HBO, 26 IV, 20.10, 27 IV, 11.05

Zamożna rodzina z Monachium postanawia udowodnić, że niemiecką otwartość wobec uchodźców można praktykować również we własnym domu. Kiedy Hartmannowie przyjmują pod swój dach młodego uciekiniera z Nigerii, ich tolerancja zostaje wystawiona na ciężką próbę. Twórcy filmu starają się rozładować niewygodny polityczny temat lekkim, prześmiewczym tonem.

JAN

Klata: *Sąd przedostateczny*

Co sądzicie o sondażach? Widzieliście najnowsze sondaże? O raju, coś drgnęło! Ludność ma dość, z jakiegoś bliżej nieokreślonego powodu ludności się odwidziało, żwawo odszczekuje poparcie. Łaska ludu, na pstrych koni stadzie jeżdżąca, zdaje się galopować na inne pastwiska. Sensacja-rewelacja. No, teraz widać na horyzoncie rysujące się pastelowo widoki na przyszłość, jutrzenkę świtu po nocy obaw o ześlizgiwaniu się w miękki autorytaryzm, niepłonną cieszmy się nadzieją, sondaże do nas się śmieją. Dobry suweren, suweren mądry, suweren przejrzał na oczy, suweren wreszcie się przebudził i konstruktywnieje – proszę ja ciebie – racjonalnie. A już za godzinę będzie nowy, jeszcze lepszy sondaż. No, ale przecież każdy sondaż ostatecznie ma dwa końce.

Ssssondaż... Mój sssondaż. Pokaż mi swój sondaż, a powiem ci, kim jesteś. Destrukcyjnie demagogicznym panikarzem, jeśliś u władzy teraz akurat. Demokracja staje się dyskoteką: wszyscy wykonują serie gwałtownych ruchów w różnych kierunkach, a muzyka gra, rżnie ludowa kapela, od ucha do ucha. Jak im leci, to im dalej poleci, z powodu, że im leci. Obniżą wszystkim pensje do zera, a i tak im poleci. Albo i wręcz przeciwnie. Na świętego Hieronima jest deszcz albo go ni ma.

Sodówka. Sondaż. Sąd przedostateczny. Dlaczego akurat teraz, kiedy powodów dotąd było bez liku? Co suwerenowi ni z gruszki, ni z pietruszki strzeliło do głowy, jaki giez go ukąsił, na co suweren łaskaw się nagle boczyć? Wszystkim wszędzie ciśnie się to pytanie. Kto wie? No i rusza *stampede ad hoc* mądrości, festiwal wielce eksperckiego wróżenia z fusów, z wnętrzności „społecznej opinii". Opinie opiniuje doktor Hugo, mówi mądrze, bo niedługo. Mistrzostwa kraju w biegu w różnych kierunkach. Randomowe mądruty. Medialni nakręcacze wyjaśniają mechanizmy dziejów, ekspertyzują do imentu przypadkowe sondy, stuścienne kostki zostały rzucone, a właściwie: rzucane raz po raz. Demokracja snapchata. Mydlana bańka wznosi i podźwiga trony. Instant karma. Porzućmy wszelką nadzieję, którzy w to wchodzimy. Paranoiczne paroksyzmy demosu wytrzęsą z nas długofalowy sens. *Vox populi, vox Dei.*

Władza widzi przyszłe urny. Wytrząsa z nich przyszłe głosy. Głosy wrzeszczą. Władza zamyka oczy i wali głową w ścianę. Konwulsyjnie odwraca tendencję. ©

Lektor: *Epoka w okruchach*

▪ *Antoni Pawlak*
ZAPISKI NA PACZCE PAPIEROSÓW
Wielka Litera,
Warszawa 2018, ss. 292

„Mówiło się o Antku »ojciec symbola«, bo to jego syn był na plakacie I Zjazdu Solidarności. Tymczasem sam Antek może biegać za symbol. Pił i knuł. Swoje odsiedział. Klął i pisał poezje. Śmieszył do łez i wzruszał". Uzupełnijmy tę charakterystykę autorstwa Jacka Fedorowicza. Antoni Pawlak, rocznik 1952, poeta, dziennikarz, ostatnio urzędnik. Jako 18-latek trafił do Duszpasterstwa Akademickiego o. Ludwika Wiśniewskiego, jako 20-latek stanął przed sądem za nawoływanie do bojkotu wyborów. Jego „Książeczka wojskowa" – owoc odbytej z przymusu zasadniczej służby wojskowej – była jednym z najbardziej czytanych tekstów drugiego obiegu. Co do knucia – przypomnijmy współpracę z Komitetem Obrony Robotników, udział w sierpniowym strajku w Stoczni Gdańskiej oraz internowanie 13 grudnia '81.

Tyle wystarczy, więcej dowiecie się z tej książki. Zrodzona z wpisów na Facebooku, ułożyła się bowiem w naznaczoną pokoleniowo autobiografię i zarazem zbiorowy portret środowiska dawnej opozycji, od lat 70. do obecnych dni. Portret od lewa do prawa, obejmujący kilka generacji; nazwisk nie wymienię, bo ich indeks zajmuje pięć gęsto zadrukowanych stron. Niby tylko zbiór świetnie spuentowanych anegdot – w istocie podszyte melancholią pożegnanie epoki, w której poczucie wspólnoty silniejsze było ponad (skądinąd liczne) spory, a zaangażowanie w opozycję nie wykluczało dystansu, humoru, kpiny. „Anegdota nie musi być unikiem – usprawiedliwia się autor. – Czasami jest pigułką rzeczywistości, metaforą, przypowieścią". I tak się dzieje w jego „Zapiskach". To odtrutka na manipulowanie przeszłością i jej brązowienie, lekarstwo na chorobę nadętego kombatanctwa.

Czytając „Rozmowy z pisarzami" – opowiastki o przypadkowych spotkaniach i absurdalnie banalnych dialogach – przypomniałem sobie nagle scenę z „Trazymeńskiego zająca" Kazimiery Iłłakowiczówny. Oto młoda poetka w zakopiańskim pensjonacie posadzona zostaje koło Żeromskiego. Ten bierze ją za sportsmenkę („Czy pani lubi jeździć na ski?"), gdy zaś panna Kazimiera przyznaje się do autorstwa tomu wierszy podpisanego „I.K. Iłłakowicz", reakcja jest niespodziewana. „Twarz wielkiego człowieka chmurniała, kamieniała, oczy traciły powoli zaciekawienie i życzliwość. – Mój Boże – powiedział bezbarwnie – więc I.K. Iłłakowicz jest kobietą!...". Jak widać, Antoni Pawlak wpisuje się w piękną tradycję! ©℗

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOYA

ZAAWANSOWANE TECHNOLOGICZNIE USŁUGI TELEINFORMATYCZNE DLA BIZNESU

INTERNET
TRANSMISJA DANYCH
USŁUGI GŁOSOWE
HOSTING I CLOUD COMPUTING

łatwiejszy dostęp / wyższy poziom niezawodności / więcej usług

WYCIĄGAJ
Z SIECI
ILE SIĘ DA

Kupuj Internet on line*

- NATYCHMIASTOWA weryfikacja zasięgu
- spersonalizowana OFERTA
- sprawny proces zamawiania
- SZYBKA INSTALACJA

*innowacja roku: pierwszy konfigurator usług telekomunikacyjnych w Polsce

www.s-net.pl/konfigurator
Kontakt: +48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl

TERAPIA ŚPIEWEM

Chórzystom od wieków przyświeca idea tworzenia wspólnoty przez muzykę. To najprostszy dla amatorów sposób pogoni za szczęściem.

DOROTA KOZIŃSKA

W Polsce rozśpiewani dziwacy wreszcie zaczęli wzbudzać sympatię. W coraz liczniejszych chórach amatorskich wyżywają się zestresowani pracownicy korporacji, wymęczeni po dyżurach lekarze, samotni emeryci, sfrustrowani bezrobotni i ślęczący dzień w dzień przy komputerach tłumacze. Uczą się otwierać przed ludźmi, rozpoznawać własne emocje, oddzielać projekcje swoich lęków od rzeczywistości. Są tacy, którzy wynoszą z prób więcej niż z sesji psychoterapii – na którą wielu i tak nie byłoby zresztą stać. Ale większość z nich śpiewa, bo to po prostu uwielbia. Powody tej miłości są cywilizacyjnie rozpoznane i przebadane naukowo.

Ku czci

Kiedy byłam mała, nikt przytomny nie zadawał dzieciom pytań, czy fajnie jest śpiewać w chórze. Podobnie jak nikt nas nie pytał, czy lubimy odrabiać lekcje, rysować szlaczki i pokazywać się na ulicy ze szkolną tarczą naszytą schludnie na lewy rękaw zimowego paltocika (rebeliantów, którzy mocowali tarczę na szpilki, klej, ślinę albo łatwą do odprucia fastrygę, woźny ciągnął za ucho do gabinetu dyrektora).

Kiedyś śpiewanie w chórze było niezbywalnym elementem uczniowskiego obciachu, a śmiałkowie, którzy nagminnie urywali się z prób – organizowanych, o ile dobrze pamiętam, raz w tygodniu, na przemian z regularnymi lekcjami muzyki – w rankingu szkolnych bohaterów ustępowali tylko wagarowiczom. W sumie nic dziwnego, bo chór pracował w pocie czoła, by uświetniać rozmaite akademie na cześć – a to Dnia Zwycięstwa, to znów Dnia Nauczyciela albo rocznicy rewolucji październikowej. Repertuar miał wprawdzie bogaty, mocno jednak rozbieżny z gustem większości chórzystów. Byliśmy wówczas na etapie słuchania Radia Luksemburg z tranzystora pod kołdrą i hymn wojny ojczyźnianej przechodził nam przez gardło z najwyższą trudnością.

Ale przechodził, i to na dwa głosy, choć pani od chóru i tak narzekała, że jesteśmy głusi i trzeba było dla nas przygotować

JO HALE / GETTY IMAGES

Chór chłopięcy New College Oxford podczas występu w Royal Albert Hall w Londynie

uproszczoną wersję. Zawsze mogło być gorzej. Pani od polskiego obsadziła mnie kiedyś w przedstawieniu, w którym musiałam grać młodą Niemkę z niemowlęciem, ratowaną spod gruzów Berlina przez oficera Armii Czerwonej. Miałam przechlapane do końca roku szkolnego, zwłaszcza że w roli dzielnego czerwonoarmisty wystąpił chłopak, w którym się wtedy kochałam na zabój.

Nic to jednak w porównaniu ze sromotnym wstydem zbliżających się do mutacji dryblasów, których nasza chórmistrzyni – w ramach pokuty za jakiś idiotyczny wybryk – wydelegowała do wsparcia występu uczniów klas początkowych. W programie akademii znalazła się piosenka „Niebieskie pióreczko", o której dowiedziałam się wiele lat później, że wyszła spod pióra Witolda Lutosławskiego. W drugiej klasie bardzo ją lubiliśmy. W szóstej – na widok tych nieszczęśników, który cali w pąsach mamrotali pod nosem „Porwał ci je dudek, wetknął sobie w czubek" – dostaliśmy takiego ataku śmiechu, że dyrekcja musiała interweniować w połowie uroczystości.

↦

Śpiewanie w chórze to budowanie dojrzałego związku z większą liczbą partnerów, z którymi nie łączą nas ani seksualne, ani rodzicielskie relacje. Czyli śpiewać można do syta i bez grzechu.

Jaka to melodia?

↦ Za to ilekroć trafiła się okazja wykorzystania umiejętności nabytych w chórze w innych, przyjemniejszych okolicznościach, wykorzystywaliśmy ją skwapliwie. Gremialne śpiewy w autobusach wiozących nas na szkolne wycieczki zaczynały się tuż po ruszeniu z parkingu. Prawie wszyscy uczniowie naszej podstawówki zapisywali się do harcerstwa – przede wszystkim dlatego, że drużynowy miał własną gitarę i urządził harcówkę w olbrzymim, nieużywanym schronie przeciwatomowym pod gmachem szkoły. W labiryncie podziemnych korytarzy dźwięk niósł się jak w katedrze gotyckiej, co tym bardziej zachęcało nas do udziału w zbiórkach, na których śpiewaliśmy nie tylko piosenki skautowskie i kanon polskiej pieśni historycznej (odrobinę szerszy niż dziś), ale też przeboje Beatlesów, Abby i Rolling Stonesów. Jedni ryczeli baranim głosem, inni cichutko popiskiwali, było kilka dziewczyn obdarzonych głosem na miarę Joan Baez.

Działo się to wszystko w zwykłej szkole podstawowej, w dość szemranej dzielnicy Warszawy. Nie będę w to wszystko wplątywać moich ówczesnych doświadczeń w dziecięcym chórze Teatru Wielkiego, który wyprowadził mnie na szersze wody – zagranicznych tras koncertowych, występów w regularnych przedstawieniach operowych, współpracy z dyrygentami tej miary, co Igor Markevitch, prawykonań dzieł kompozytorów współczesnych. Nasza buda nie była wyjątkiem. Popsuło się dopiero później: kiedy ze szkół wyrugowano lekcje wychowania muzycznego, a rodzice – zamiast jeździć z dziećmi pod namiot i kończyć dzień wspólnym śpiewem przy ognisku – zajęli się budowaniem nowej tożsamości społecznej w dobie transformacji ustrojowej.

No i się porobiło. Kilkadziesiąt lat później, już po mojej przeprowadzce na drugi brzeg Wisły, otwarto w sąsiedztwie Stadion Narodowy. Mam zwyczaj pracować przy szeroko otwartych oknach, bez względu na porę roku. Ilekroć zaczyna się ważny mecz, podczas prezentacji naszej drużyny zwala mnie z nóg fala uderzeniowa nagłośnionego zwierzęcego ryku naszych kibiców, w którym tylko dlatego rozpoznaję „Mazurka Dąbrowskiego", że sama lubię oglądać mecze piłkarskie i wiem, że w tym akurat momencie powinien zabrzmieć polski hymn narodowy.

A może tylko koloryzuję wspomnienia z dzieciństwa? Może Polacy nigdy nie umieli śpiewać? Z ciekawości weszłam w wyszukiwarkę Google i wpisałam trzy słowa kluczowe. Natychmiast uzyskałam podpowiedź, że Polacy nie potrafią oszczędzać, podrywać, jeździć, pływać, rządzić, pić i czytać ze zrozumieniem. O śpiewaniu ani słowa. Odetchnęłam z ulgą. Przynajmniej pod tym względem Polacy nie odstają od reszty mieszkańców globu. Wrodzony i nieodwracalny brak słuchu muzycznego jest bowiem przypadłością niezwykle rzadką.

Gdyby było inaczej, natura srodze przetrzebiłaby milionowe wspólnoty mieszkańców Azji Południowo-Wschodniej i zachodniej Afryki posługujących się tzw. językami tonalnymi. Europejczyk, niewrażliwy na tonalność języka tajskiego, zapisuje zasłyszane w nim zdanie mniej więcej tak: „Mai mai mai mai?". Dowcip polega na tym, że rodowici Tajowie każde z tych słów wypowiadają inaczej, odpowiednio modulując frazę. To zdanie trzeba „wyśpiewać", wznosząc głos, intonując sylaby wysoko lub nisko, zmieniając wysokość dźwięku w obrębie pojedynczej zgłoski. Dopiero wówczas nabierze sensu, który z grubsza można oddać słowami „Prawda, że świeżo ścięte drewno dobrze się pali?".

Stosunkowo najprościej połapać się w melodii języka tybetańskiego, który wyróżnia „zaledwie" trzy tony dystynktywne. W języku Białych Hmongów z Laosu tonów jest aż dziewięć i trzeba się czasem porządnie wsłuchać w słowa rozmówcy, żeby się upewnić, czy mówi o młotku, ogniu, nerce, czy po prostu odlicza do sześciu. W porównaniu z zawiłościami języków tonalnych występujący w niektórych językach akcent toniczny zdaje się stosunkowo prosty do opanowania – a mimo to trafienie we właściwy dźwięk akcentowanej sylaby przysparza sporych kłopotów osobom uczącym się np. szwedzkiego, japońskiego albo serbskiego.

Chemia śpiewana

Wniosek? Czego się Jaś nie nauczy, tego Jan nie będzie umiał. Nikomu słoń na ucho nie nadepnął. Bywają ludzie mniej lub bardziej muzykalni, nie każdy, nawet po długim i żmudnym szkoleniu, zrobi karierę na międzynarodowych scenach operowych, ale prawie każdy jest w stanie w miarę czysto śpiewać sam, w niewielkim zespole albo w bardzo dużym chórze. Przy odrobinie wprawy także na dwa albo i więcej głosów.

Nie to jest jednak najistotniejsze. Ważne jest to, że kiedy wreszcie uda nam się wyzbyć kompleksów, śpiewanie da nam nie tylko mnóstwo radości, ale też przysporzy wymiernych korzyści zdrowotnych. Ustabilizuje naszą psychikę, wprowadzi znacznie więcej tlenu do krwiobiegu i złagodzi napięcia związane z codziennym stresem, wyzwalając kilka zbawiennych hormonów.

W pierwszym rzędzie endorfiny, tzw. hormony szczęścia, odpowiedzialne za dobre samopoczucie i łagodne stany euforyczne. Endorfiny są także agonistami receptorów opioidowych, czyli mówiąc po ludzku, działają przeciwbólowo, i podobnie jak leki opioidowe powodują silne uzależnienie psychofizyczne. O ile jednak morfina i kodeina wywołują niepożądane skutki uboczne, o tyle śpiewać można, ile dusza zapragnie. Najwyżej uzależnimy się od cotygodniowych prób w chórze osiedlowym albo od wyśpiewywania arii z oper włoskich pod prysznicem.

Drugą ważną substancją uwalnianą podczas śpiewu jest dopamina – istotny neuroprzekaźnik, odpowiedzialny m.in. za prawidłową koordynację ruchową i napięcie mięśni (dlatego śpiewanie w chórze można uznać za skuteczną profilaktykę w chorobie Parkinsona), który poprawia też pamięć i wspomaga prawidłowe procesy poznawcze. Innymi słowy, od śpiewania nikt jeszcze nie zgłupiał, a wielu zmądrzało.

Po trzecie, śpiew stymuluje wydzielanie kortyzolu, zwanego niekiedy hormonem stresu. Ten naturalny hormon steroidowy, wytwarzany przez korę nadnerczy, ma działanie przeciwzapalne, pomaga też walczyć ze stresem, zwiększając poziom glukozy we krwi. Wprawdzie przewlekły nadmiar kortyzolu w krwiobiegu powoduje m.in. otyłość brzuszną i fatalnie

wpływa na cerę, w annałach medycznych nie odnotowano jednak przypadków trądziku ani różowych rozstępów w następstwie długotrwałych prób chóru do „Niemieckiego Requiem" Brahmsa.

Może dlatego, że śpiew uwalnia też do krwi oksytocynę – ten sam hormon, który rozlewa się po ciele matki podczas karmienia piersią, a w zwykłych, codziennych sytuacjach jest pompowany przez podwzgórze, kiedy ktoś nas przytuli, pogłaszcze albo po prostu pocieszy. Poziom oksytocyny wiąże się z całym wachlarzem ludzkich emocji, począwszy od uległości, poprzez zazdrość, skończywszy na chęci współpracy. Muzykowanie w chórze przypomina więc budowanie dojrzałego związku z większą liczbą partnerów, z którymi nie łączą nas ani seksualne, ani rodzicielskie relacje. Krótko mówiąc, śpiewać można do syta i bez grzechu.

Pytanie tylko, gdzie i w jakich okolicznościach.

Wyjście z pustyni

Wiele zależy od miejscowych tradycji chóralnych, które w każdym zakątku Europy rozwijały się nieco inaczej. Proces gwałtownej popularyzacji muzyki rozpoczął się wraz z rewolucją przemysłową i upowszechnieniem niedrogich wydawnictw nutowych. Dotyczy to zwłaszcza Wielkiej Brytanii, która do dziś uchodzi za niewzruszoną ostoję chóralistyki.

W połowie XVIII w. na Wyspach rozkwitło życie festiwalowe, jak grzyby po deszczu wyrastały kolejne towarzystwa chóralne, z których wiele działa po dziś dzień. Epoka wiktoriańska przebiegła pod znakiem rewolucji przemysłowej i potęgi kolonialnej Imperium, a co za tym idzie, stabilizacji społecznej, która wyjątkowo sprzyjała towarzyskiemu muzykowaniu. Zaprzyjaźnieni śpiewacy spotykali się w klubach i domach prywatnych, organizowali amatorskie koncerty. Zaczęły powstawać pierwsze chóry żeńskie.

Brytyjskim chórzystom od wieków przyświeca idea tworzenia ludzkiej wspólnoty przez muzykę. Weterani tamtejszych zespołów szczycą się nie tylko liczbą opanowanych utworów i zaliczonych tras koncertowych: pielęgnują przekazywane z pokolenia na pokolenie anegdoty, odnotowują sukcesy swoich kolegów we wszelkich dziedzinach życia, organizują przyjęcia, pikniki i wycieczki, wymieniają się przepisami na ulubione potrawy.

Jeśli wierzyć statystykom, w Anglii, Walii, Szkocji, Irlandii Północnej oraz „na morzu" (czyli na Wyspach Normandzkich, na wyspie Man i archipelagu Scilly) funkcjonuje bez mała trzy tysiące chórów amatorskich. Każdy znajdzie coś dla siebie. Są zespoły złożone wyłącznie z gejów i lesbijek; są chóry uniwersyteckie i kościelne, są chóry zrzeszające policjantów, górników albo pielęgniarki.

Powołałam się na przykład Wielkiej Brytanii, która ma najbogatszą tradycję chóralną na świecie, a przecież w porównaniu z Polską cały kontynent sprawia wrażenie bardziej rozśpiewanego.

W pewnym momencie nasz kraj – mimo własnej, wcale niebagatelnej historii wykonawstwa wspólnotowego, choćby na Śląsku i w Poznaniu – zaczął przypominać muzyczną pustynię, w której nawet ludzie stęsknieni za śpiewem bali się otworzyć usta gdziekolwiek poza własną łazienką. Z obawy, że zostaną wyśmiani za brak wykształcenia wokalnego, ze wstydu, że nie umieją czytać nut, ze strachu, że sąsiad sprowadzi im na kark policję za zakłócanie porządku publicznego. I kto wie, czy nie zasklepilibyśmy się na dobre w poczuciu domniemanej głuchoty narodowej, gdyby nie internet.

Zaczęło się od wymiany zdań na forach w sieci. Onieśmieleni wielbiciele śpiewu zaczęli się łączyć w grupy wsparcia, szukać podobnych sobie entuzjastów, leczyć kompleksy i przezwyciężać opór przed zgłoszeniem na przesłuchania. Z niedowierzaniem odkryli, że nie muszą od razu śpiewać Brahmsa i Palestriny. Że w pierwszym rzędzie powinni się zorganizować, poznać, polubić nawzajem, sprawdzić, w jakim repertuarze czują się swobodnie, a jaki zupełnie im nie leży – i dopiero wówczas przystąpić do działania. Gdziekolwiek. W klubie osiedlowym, w zakładowej świetlicy, w życzliwie nastawionej kawiarni, w mieszkaniu u kumpla.

Śpiewają wszystko – od muzyki klasycznej, poprzez jazz i popularne piosenki, aż po gospel i etno. Albo nie śpiewają nic. Bo nie mają nastroju, bo akurat tego dnia wolą się pośmiać, popłakać, wyzwierzać z trosk i kłopotów. Nie marzą o występach w filharmonii. Albo wręcz przeciwnie, stawiają sobie za cel koncert w nowojorskiej Carnegie Hall i dopinają swego.

W moim mieście, w mojej wymęczonej, zagonionej Warszawie słychać już pierwsze efekty tej pięknej odmiany. Ludzie skrzykują się na portalach społecznościowych, żeby razem pomuzykować w osiedlowej knajpce, prowadzonej przez muzykalną właścicielkę. Nikt już nie patrzy spode łba na kilku facetów, którzy siedzą na ławce w parku i ćwiczą pod nosem jakiś wielogłos.

Wraca moja młodość. Wracają czasy, kiedy po trzech godzinach intensywnych prób wciąż nam było mało, więc po wyjściu z teatru – bywało, że w dziesięcioro – ruszaliśmy na spacer Traktem Królewskim, śpiewając bez skrępowania całkiem nieraz skomplikowane utwory. Na przykład „Mruczkowe bajki" Stanisława Wiechowicza na czterogłosowy chór mieszany a cappella.

Był wtedy początek lat 80. ubiegłego wieku. Warszawa była wymęczona z całkiem innego powodu. A jednak budziła się z letargu pod wpływem naszych chóralnych wybryków. Do dziś pamiętam uśmiechnięte twarze przechodniów, którzy szli za nami coraz liczniejszą gromadką, żeby dosłuchać do końca, o czym opowiadał Mruczek z wierszy Janiny Porazińskiej. Ludzie potrzebują endorfin. Nie mogą żyć bez dopaminy i kortyzolu. Więdną z tęsknoty za oksytocyną. Po co włóczyć się po lekarzach, skoro wszystkie te dobrodziejstwa można sobie po prostu wyśpiewać?

© DOROTA KOZIŃSKA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

„TP" 15/2018

Dziady kultury i edukacji

Nie mogę sobie odmówić komentarza do opublikowanej w „TP" notki poświęconej wakatom dla szkolnych anglistów oraz płac w oświacie. Nie jestem nauczycielem, ale temat jest mi bliski, ponieważ wiąże się z problemem ogólniejszym, dotyczącym szerszego zjawiska, którego konsekwencje odczuwamy od lat. Otóż chodzi mi o haniebne pensje w miejscach takich jak szkoły, muzea, archiwa i tym podobne instytucje związane z działalnością oświatową i kulturalną. Ze zjawiskiem tym związane jest inne: fatalnie opłacane stanowiska przyciągają tych, którzy gdzie indziej sobie nie poradzą. Niby wszyscy o tym w Polsce wiedzą, ale zmian na horyzoncie nie widać. Wszyscy życzyliby sobie, by nauczyciele, pracownicy muzeów i innych ważnych instytucji związanych z kulturą nieustannie się dokształcali, kupowali książki etc., żeby te miejsca po prostu dobrze funkcjonowały, były profesjonalnie prowadzone, ale tym ludziom płaci się obecnie mniej niż kasjerom w dyskontach! Ja sam powiedziałem: „Dość! Emigruję, by sprzątać hotele". Dam sobie radę, choć chciałem w Polsce zostać. Ale kiedy zobaczyłem, że np. największe muzeum na Górnym Śląsku poszukuje redaktora na etat, mającego pięcioletnie doświadczenie, wiedzę z kilku dziedzin, doskonałą znajomość pracy z tekstem itp., a do tego gotowego do pracy w niedziele, i proponuje się temu redaktorowi pensję 2100 brutto (!), to słowa, które wtedy wyszły z moich ust, nie nadają się tutaj do zacytowania... Przecież takiej kwoty już się nie proponuje kasjerom w Biedronkach, bo wiadomo, że wtedy się ich nie skusi do podjęcia pracy. A już pracownik Lidla to cesarz w porównaniu z takim redaktorem czy archiwistą z pensją 2100 zł. *À propos* archiwistów: od lat słyszę od wszystkich zorientowanych, że mniej niż tam nigdzie się nie zarabia. A oczywiście wykształcenie trzeba mieć. Inny przykład, związany z notką w „TP": tydzień temu na stronie katowickiego urzędu pracy były oferty dla anglistów (i nie tylko) na pełen etat. Oferowana pensja: 2100 brutto. Jak tu jeszcze można się dziwić, że nie ma chętnych? I to w sytuacji, gdy w tym samym czasie ten sam urząd proponuje 2600 czy 2800 brutto bufetowej, magazynierowi, sprzedawcy czy pomocy kuchennej? Moja 60-letnia krewna, magister anglistyki pracująca na publicznej uczelni, po 36 latach pracy zarabia 2200 zł... Znam cały szereg innych przykładów, ponieważ wielu moich znajomych pracuje w kulturze. „Dziady kultury" – hasło, które pojawiło się w 2015 r. przy okazji strajku pracowników tego sektora, jest naprawdę określeniem eufemistycznym i delikatnym. Krótko mówiąc: problem fatalnych warunków bytowych, płacowych takich pracowników przekłada się na wciąż pogarszający się poziom tak istotnych instytucji, bo zatrudniani są tam coraz gorsi pracownicy. Kto tylko może, ucieka tam, gdzie są lepsze pieniądze, albo po prostu emigruje. Dobór więc mamy negatywny. I będzie tylko gorzej, bo pokolenia tzw. milenialsów i młodsi od nich nie mają żadnych problemów z decyzją, gdy pojawia się dylemat: kasa czy ideały? Oni po prostu myślą praktycznie, wolą godny zarobek w korpo lub emigrację do dobrze zorganizowanego zachodniego państwa, w którym w obecnych czasach nie czują się przecież jak za granicą.

MACIEJ,
wieloletni czytelnik

POŻEGNANIA

Ewie Buczek

przekazujemy słowa współczucia i zapewniamy o duchowej bliskości w trudnych chwilach po śmierci

Taty

Przyjaciele z „Tygodnika Powszechnego"

Z głębokim żalem informujemy o śmierci

Ś.† P.

Stefanii Nosowskiej

Zbyszku,
przyjmij od nas wyrazy współczucia
i nasze zapewnienie o modlitwie

Przyjaciele z „Tygodnika Powszechnego"

PROŚBA O POMOC

Serdecznie prosimy o pomoc na dalsze leczenie, rehabilitację i poprawę warunków bytowych naszego syna Rafała, lat 33. W wieku dwóch lat przebył on ciężkie wirusowe zapalenie mózgu, które spowodowało spustoszenie w organizmie. Okrutna choroba pozostawiła postępujący niedowład czterokończynowy oraz padaczkę z agresją. Obecnie cierpi z powodu ślepoty prawego oka, z niedowidzeniem oka lewego. Pogłębił się znaczny niedosłuch dwustronny. W 2004 r. potrącony przez samochód na pasach, nasz syn doznał złamania prawej stopy i stłuczenia podudzia. Na skutek wypadku powstała przewlekła zakrzepica głębokich żył biodrowych. Rafał wymaga leczenia i opieki do końca życia, a nasze dochody są bardzo skromne: oboje mamy orzeczoną niepełnosprawność. Bardzo prosimy o pomoc w zebraniu kwoty koniecznej do zlikwidowania ognisk bólu padaczkowego w skroniach. Częste napady bólu uszkadzają wzrok, słuch i pustoszą cały organizm. Cierpienie jest nie do opisania. Wszelkie wpłaty prosimy kierować na adres: Fundacja Dzieciom „Zdążyć z pomocą", ul. Łomiańska 5, 01-685 Warszawa, Alior Bank S.A.: **42 2490 0005 0000 4600 7549 3994 z dopiskiem „3795 Kacprzak Rafał – darowizna na pomoc i ochronę zdrowia".** Za każdą pomoc z góry serdecznie dziękujemy.

RODZICE:
MARTA I JAN KACPRZAK

NOSTRA CULPA

W poprzednim wydaniu „Tygodnika Powszechnego" pominęliśmy informację, że autorem projektu jego okładki był Marek Trojanowski. Autora i Czytelników przepraszamy.

PAWEŁ

Bravo:
Piazza nad Wisłą

Warszawa wreszcie leży nad Wisłą. „Rów, którym płynie mętna rzeka" – mawiał Herbert, i słowa te do niedawna doskonale opisywały rzeczywistość mojego rodzinnego miasta. Rozciętego na pół przez niemal dziką przestrzeń służącą za wielki kanał wentylacyjny i azyl dla ptaków, ale pozbawioną jakiejkolwiek roli społecznej.

Samo odnowienie bulwarów nie sprawiłoby nagłego zejścia miasta ku wodzie. Nie wystarczy wyszlifować beton, nawieźć sztucznego piasku, postawić parę lekkich pawilonów – w trakcie wlokącej się „rewitalizacji" miałem obawy, że to kolejny przykład przerostu formy nad treścią. I pewnie by się tak stało, gdyby nie jedna drobna rzecz, która więcej świadczy o rzeczywistych przemianach w Polsce niż tysiąc kilometrów ścieżek rowerowych. Na mocy rozsądnej decyzji włodarzy miasta parokilometrowy pas na lewym brzegu jest od tej wiosny strefą, gdzie można wypić piwo, nie łamiąc przy tym prawa.

W sobotni wieczór zmierzałem do prowizorycznej (ale wiadomo, co w Polsce znaczy prowizorka...) siedziby Muzeum Sztuki Nowoczesnej na dyskusję nad książką o zgrabnym tytule „Biedni, ale sexy". Miała mnie przekonać, że „cokolwiek wydarzyło się po roku 1989, Zachód pozostał Zachodem, a Wschód Wschodem". Ale nie dotarłem, bo po drodze nad rzeką właśnie znalazłem Zachód na Wschodzie. Zatrzymał mnie szmer tysięcy ludzi siedzących na schodach prowadzących w stronę nurtu. Każdy z piwem w dłoni – bo w weekendowy wieczór można chcieć czegoś więcej niż cola zero.

A przy tym był to kulturalny, umiarkowany szmer ludzi, którzy przyszli nacieszyć się pierwszą ciepłą sobotą w sezonie. Wokół koszy na śmieci puste butelki ustawione w równych szeregach, niczym pruscy jegrzy na musztrze. Może ktoś przytomny w ratuszu powinien na weekendy rozstawiać znacznie większe kosze, bo każda butelka to potencjalne odłamki, raniące nazajutrz łapę psa na porannym spacerze. Ale nie chcę narzekać. Tenże ratusz zrobił coś naprawdę wielkiego: wyjmując brzeg Wisły spod upupiającej dorosłych, odpowiedzialnych ludzi ustawy o tzw. wychowaniu w trzeźwości, wykonał działanie miastotwórcze.

Czymże jest bowiem miasto? Z wielu definicji interesuje mnie ta, która kładzie nacisk na zagęszczenie przestrzeni publicznych. Przestrzeń jest publiczna, jeśli obywatele suwerennie i spontanicznie biorą ją w posiadanie w celu, który im się zwidzi – nie ma różnicy, czy będzie to ważki protest przeciwko politycznym wrogom, czy bezmyślna chęć pobycia w kupie. Przestrzenie publiczne, czyli takie, do których wstęp jest otwarty i wolny dla każdego z racji tego, że żyje (w tym sensie galerie handlowe przestrzenią publiczną nie są: możemy wejść za darmo, ale z samego założenia powinniśmy coś kupić i jeśli tego nie uczynimy, bo nas nie stać, czujemy się głupio).

PRZEMEK WIERZCHOWSKI / AGENCJA GAZETA

Z bólem obserwowałem, jak pomimo wszelkich transformacji Warszawa pozostaje niby-miastem, jakby utknęła w czasach sarmackich, kiedy była wielkim osiedlem rozrzuconych po szerokim klepisku rezydencji. Samo pojawienie się licznych knajp, które anektują w ciepłym okresie chodniki, było półkrokiem do przodu, nieśmiałym początkiem procesu. Dopiero teraz suwerenny naród, z piwem w garści, ustanawia w paśmie trawnika nad rzeką przestrzeń prawdziwie miejską, niczym piękna *piazza* we włoskim mieście.

Od naszych placów *piazza* różni się nie tylko urodą kościołów i fontann, lecz również tym, że ludziom się chce na niej siedzieć i spotykać. Tworzą zbiorowisko, gwar, ciżbę – a nie hołotę, czerń i bydło. Warszawska władza uwierzyła, że i u nas jest to możliwe, i pozbyła się typowego w naszej praktyce politycznej od prawa do lewa odruchu feudalnego: że jak się ludowi na moment popuści, to ten urządzi piekło.

Włoskie *piazze*, skoro już o nich mowa, niestety zamieniają się w duszne piekło zasłane śmieciem i wymiociną. Burmistrzyni Rzymu zakazała jedzenia i picia w pobliżu – ba! nawet obsiadywania – kilkunastu fontann, nie tylko di Trevi, ale też tych na piazza del Popolo czy Navona. Gdy nagromadzenie choćby najbardziej cywilizowanych ludzi przekracza punkt krytyczny, żadna miejska infrastruktura i służby nie są w stanie zapewnić minimum czystości i bezpieczeństwa. Problem generują jednak nie miejscowi, ale przede wszystkim masowi turyści. I taka jest wielka korzyść z faktu, że Warszawa jest, powiedzmy oględnie, niepiękna: taki najazd jej raczej nie grozi. ©℗

Posiedziawka nad Wisłą to nie piknik, ale gdy już siądziemy na schodkach z piwem (a może winem?), warto zagryźć coś lepszego niż czipsy. Musi to być coś, co da się jeść palcami i za bardzo nie brudzi. Spróbujcie upiec zabawne kulki kaszankowe. Namaczamy miękisz z kajzerki w białym winie. Gotujemy do miękkości (lub pieczemy) 0,5 kg batatów lub słodkich ziemniaków. Po wystudzeniu i obraniu mieszamy je z 250 g kaszanki, odciśniętym miękiszem, drobno posiekaną dymką i pęczkiem szczypiorku, dajemy sól, doprawiamy pieprzem lub papryczką, jeśli lubimy ostro. Potem parę łyżek bułki tartej tak, by osiągnąć masę na tyle lepką, by dała się formować w kulki o 3 cm średnicy. Pieczemy w 180 stopniach ok. 20 min., aż z wierzchu będą chrupkie, a w środku nadal wilgotne.

STANISŁAW

Mancewicz: *Marzenia*

Dopiero co usłyszeliśmy opinię, jakoby czas spadających sondaży miał być momentem ogólnie rzecz biorąc niebezpiecznym, co znaczy tyle, że owe spadki mogłyby wywołać paniczną bądź to brutalną reakcję władzy.

Otóż nasze stanowisko w sprawie badań opinii publicznej i zmian jej nastrojów jest gruntownie pozbawione lęków, a nawet – rzec to trzeba – jest to stanowisko skrajnie entuzjastyczne. Wszelka stabilizacja uderza bowiem w nasz dobrostan oraz samopoczucie. Stabilność opinii wpędza nas w nudę, w konieczność wysłuchiwania monotonnych komentarzy, babrania się w tematach bez potencjału, gimnastykowania się pisarskiego, oraz obciąża nas nieznośnym ciężarem czekania na zmianę. Jednym słowem, gdyby było to możliwe, spadanie poparcia dla dowolnej władzy mogłoby się z naszego punktu widzenia odbywać nieustanie. Do poziomów nawet teoretycznie niemożliwych. Naturalnie gdy u władzy są ludzie przewidywalni, którzy reagują na brak popularności w sposób nudny, nudzimy się po dwakroć, gdy jednak są to osobnicy histeryczni, z potencjałem do odlotów i zachowań panicznych, wtedy rzecz jasna czujemy się świetnie, w żywiole, który odpowiada nam najbardziej.

Oto od lat bardzo wielu, będąc bywalcami kawiarni, których aura nam się podoba z racji szerzenia się w tych miejscach paniki, plotki, kłamstwa, obmowy i wieszczby, słyszymy co jakiś czas, a czas ten zbiega się ze spadkami popularności władzuchny, że będą wsadzać. Polska jest – co uświadomiliśmy sobie w tej chwili – bodaj jedynym krajem, w którym ludzie w kawiarniach mnożą tego typu mniemania z byle powodu, a zwłaszcza z powodu sondaży opinii publicznej.

Wsadzanie – zważmy – jest marzeniem w Polsce powszechnym, nieobcym żadnej ze stron tzw. sporu. Absolutnie wszyscy o wsadzaniu marzą bądź się wsadzenia boją. Jawnie bądź skrycie. Jest to bzik, który nam się bardzo podoba, jest jakby archaiczny, wynikły bodaj z lektur czy może wychowania. Daje on nawet najszarszej wyobraźni pożywną paszę w postaci widzeń wroga naszego stękającego w kajdanach i szarzejącego na niskobiałkowym wikcie, niszczonego przez szkorbut i pogryzionego przez pluskwy. Im władzuchna bliższa ludowi, tym prawdopodobieństwo realizacji tych bzików jest większe. To jasne. Dotychczas żadna władza nie była tak ludowi bliska, by realizować te marzenia, ale dzisiejsza zaiste ma w sobie owo czucie i wrażliwość, więc jej potencjał realizacji zamówień społecznych, też jeśli idzie o wsadzanie, jest wielki. Nie mamy żadnych wątpliwości, że wsadzanie realizowane mądrze – co znaczy tyle, że należy stworzyć taką aurę, by można było wsadzić każdego – musi dać wsadzającym bonus.

Co znaczy „każdego”? – zapyta ktoś dociekliwy i zaniepokojony. Ano znaczy to, co znaczy – odpowiadamy szczerze i bez ściemy. Ta odpowiedź mogłaby być powodem do zmartwień, ale oczywiście nie jest. Czemu? W Polsce, co ciekawe, nie tylko wsadzający ma się dobrze, wsadzanie bowiem cieszy się już tu omówionym poparciem, ale takoż wsadzany ma się nieźle. Otóż opinia publiczna uwielbia równocześnie i więźniów, zwłaszcza wsadzonych przez władzuchnę. Jest to oczywista sprzeczność, której się jednak nie wstydzimy, którą głosimy bez hamulców ani obaw. Osadzenie człowieka, zwłaszcza motywowane politycznie, jest zatem źródłem wielu niespójnych reakcji, jest zdarzeniem ukazującym w pełnym świetle ogromne pomieszanie w tutejszych rozumach, jest apogeum po latach oczekiwań i daje uczucie spełnienia. Dlatego też spadek poparcia w sondażach opinii publicznej traktujemy zawsze jak zapowiedź dodatkowego sylwestra w roku i okazji do bankietowania. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

GOŚCIE FESTIWALU 2018:

MARTÍN CAPARRÓS
WOJCIECH JAGIELSKI

TYGODNIK POWSZECHNY
+
MAGAZYN
CONRAD 01
„TP" 17/2018

ARUNDHATI ROY
AGNIESZKA TABORSKA

Festiwal Conrada
22 – 28 października 2018

GRZEGORZ JANKOWICZ

POP – hasło dziesiątej edycji Festiwalu Conrada – rozumiemy w szczególny sposób. Chodzi o rdzeń naszego aktualnego doświadczenia kulturowego i politycznego.

POP przywodzi na myśl kilka kategorii, takich jak populacja, popularność czy populizm. Wszystkie one wywodzą się z tej samej podstawy etymologicznej, którą stanowi łaciński rzeczownik *populus* oznaczający lud. Ten ostatni natomiast pochodzi od jeszcze starszego – protoitalskiego – słowa *poplos*, którym określano armię. Ciekawe, że pojęcie, za pomocą którego odnosimy się dziś do zbiorowości o charakterze politycznym, u swych początków posiadało sens militarny. Wynika z tego, że pierwotnie dana grupa ludzi przekształcała się we wspólnotę z chwilą, w której na jej drodze pojawiał się wróg. Nie pochodzenie, nie miejsce urodzenia, nie język, lecz zewnętrzne zagrożenie stanowiło i nadal stanowi impuls do zawiązania politycznego aliansu.

Jeśli zadajemy dziś pytanie o pop, to dlatego, że interesują nas zjawiska i siły, które oddziałują na jednostki oraz grupy, skłaniając (nierzadko wręcz zmuszając) je do łączenia się ze sobą w mniej lub bardziej trwałe wspólnoty. Zajmujemy się mechanizmami kulturowymi, politycznymi i ekonomicznymi, które mają na nas przemożny wpływ, które nas ujednolicają, pobudzają, ukierunkowują, ograniczają, zniewalają i obezwładniają.

Poszczególnym dniom tegorocznej edycji przyporządkowaliśmy następujące kategorie: Poprawność, Popularność, Popęd, Populizm, Popkultura, Popłoch i Popyt. Wraz z zaproszonymi pisarkami i pisarzami będziemy się zastanawiać nad zagrożeniami, jakie niosą ze sobą wspomniane procesy, ani na chwilę nie tracąc z oczu literatury, która – jak zawsze – będzie dla nas najważniejszym językiem służącym refleksji na temat współczesnego świata. Refleksji i dyskusji, albowiem jesteśmy przekonani, że właśnie one dwie pozwalają w najskuteczniejszy sposób przeciwstawić się rozmaitym formom opresji, których dziś doświadczamy.

©℗ Grzegorz Jankowicz
dyrektor programowy Festiwalu Conrada

W NUMERZE

03 Michał Paweł Markowski
Popyt na pop

10 Martín Caparrós
Cierpienie nas dopadnie

06 Agnieszka Wądołowska
Opowieść nas wybiera

13 Michał Sowiński
Książki nie płoną

Redakcja Grzegorz Jankowicz
Okładka Marek Zalejski
/ foto Hulton Archive / Getty Images

Skład Artur Strzelecki
Fotoedycja Grażyna Makara,
Edward Augustyn

ZYGMUNT JANUSZEWSKI

CONRAD FESTIVAL Organizatorzy: Kraków, Kraków UNESCO City of Literature, kbf, Fundacja Tygodnika Powszechnego

www.conradfestival.com

Zespół Festiwalu Conrada:
Dyrektor artystyczny – Michał Paweł Markowski
Dyrektor programowy – Grzegorz Jankowicz
Menedżer Festiwalu – Urszula Chwalba (uchwalba@biurofestiwalowe.pl)

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Narodowy Program Rozwoju Czytelnictwa

Popyt na pop

MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI

Tym, co znika (a może już zniknęło) w świecie opanowanym przez populizm, jest rozmowa – jedyne spoiwo społeczne, którego boi się przemoc.

Popyt na pop? Czyli na co właściwie? „*Popularis*" w języku łacińskim oznacza „należący do ludu", i wszystkie słowa z tej rodziny (popularny, populizm etc.) mają to samo źródło. Ale co dziś lud – *populus* – oznacza? Dawniej – i wcale nie musimy cofać się do czasów rzymskich, gdzie cesarz miał swój *populus romanus*, albo do pierwszych słów amerykańskiej konstytucji, „*We, the People...*" – wiadomo było, zwłaszcza w Polsce, że lud to chłopi. Klasa nieposiadająca żadnej własności, ale – szczególnie w oczach inteligencji – posiadająca tajemniczą relację z ziemią, gdzie zakopane są prawdziwe wartości. Zbratanie się z ludem, wykpione przez arystokratę Gombrowicza w „Ferdydurke", było poważnym, choć mało realistycznym celem każdego „lewicowego" polityka w Polsce od połowy XIX wieku.

Wielu z nas żyło jeszcze w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, kiedy to władza pozornie należała „do ludu" (w rzeczywistości trzymałą ją garstka partyjnego i zdemoralizowanego aparatu, osłaniana przez Moskwę). Wciąż jeszcze czasem mówi się o kimś, kto porywa tłumy swoimi przemówieniami, że jest „trybunem ludowym", przez co utożsamia się „lud" z „tłumem" i chyba to znaczenie najbliższe jest dziś potocznego użycia. Gdy twierdzimy z pełnym przekonaniem, że „lud" coś „kupi", albo czegoś „nie kupi", to chcemy powiedzieć, że rządzona masa da lub nie da się omamić jakimiś obietnicami albo argumentami.

Jakkolwiek by więc na „lud" dziś patrzeć, jest to pojęcie polityczne. Oderwane już od chłopskiego folkloru zaczęło w XX wieku oznaczać rządzonych albo tych, którym przyznaje się fikcyjny udział w rządzeniu (jak w Chińskiej Republice Ludowej i innych ludowych republikach). Fikcyjny, gdyż z politycznego punktu widzenia „lud" był i jest synonimem wykluczenia. Od chłopstwa, które w Polsce krwawo weszło na scenę polityczną w 1846 r., do niezróżnicowanej masy wyborczej, którą łatwo jest manipulować w społeczeństwach autorytarnych, „lud" nigdy nie miał rzeczywistego udziału w rządzeniu, choć zawsze stanowił drugą, ciemną, stronę władzy, trzymaną w szachu albo w odwodzie, w zależności od celów kolejnych władców. Rewindykacja „ludu" mogłaby więc, gdyby ktoś zechciał ją wziąć na serio, oznaczać upodmiotowienie tych, którzy są bezwzględnie uprzedmiotowiani, użyczenie głosu tym, których się zagłusza lub przemilcza, nadanie praw tym, którzy praw są pozbawieni.

Rewindykacja „ludu" wciąż jest zadaniem do wykonania, coraz pilniejszym w świecie ekonomicznych oraz prawnych nierówności i niesprawiedliwości.

Teraz my

Ale że nic w dzisiejszym świecie politycznym nie istnieje bez swojego rewersu, rewindykacja „ludu" podejmowana jest w imię ostrej wojny kulturowej. Uznając „lud" czy „naród" za suwerena, który dał władzy wyborczą legitymizację, traktuje się go jako kartę przetargową w walce z politycznym przeciwnikiem, który – rzecz jasna – nabiera znamion zdegenerowanych, bo oderwanych od prawdziwego życia elit. W ten sposób rodzi się populizm.

Populizm wyrasta z przekonania, że władza znajduje swe wyłączne ugruntowanie w – oczywiście bardzo zagadkowo definiowanym – „ludzie" i jest jego jedynym autentycznym głosem, którego doniosłość zagaduje wszystkie inne próby ekspresji politycznej. Koło się zamyka i przekręca: „lud", najpierw dziedzina wykluczonych i zmarginalizowanych, dziś sam staje się narzędziem wykluczania. Ten odwetowy mechanizm jest niewątpliwie źródłem popularności dzisiejszych populizmów, z pogardą odnoszących się do tradycyjnych reguł demokracji.

Populizm nie jest ani władzą ludu, ani władzą dla ludu, ale władzą zamiast ludu, który sam udziału we władzy nie ma, bo deleguje do niej tych, którzy obiecują skopanie tyłków innym. W tym sensie „lud", czyli populistyczny elektorat, zajmuje dziwne miejsce pośrednie: ani w polityce (bo nie interesuje go dyskusja i negocjacja), ani poza nią (bo utrzymuje pozory demokracji idąc do wyborów), tworzy niezróżnicowaną magmę, która porusza się dość bezwładnie mocą emocjonalnych impulsów. Jeśli społeczeństwo obywatelskie przyjmuje zasadę zgody na niezgodę z innymi („zobaczmy, co nas różni, i znajdźmy jakiś wspólny grunt"), społeczeństwo populistyczne kieruje się głównie niezgodą na zgodę: „nikt nie będzie nam mówił, co mamy myśleć, mówić i robić".

> Populizm nie jest ani władzą ludu, ani władzą dla ludu, ale władzą zamiast ludu, który sam udziału we władzy nie ma, bo deleguje do niej tych, którzy obiecują skopanie tyłków innym.

„Lud" jest tą grupą ludzi, którą należy upodmiotowić, nadać jej prawa, godność i publiczną postać, bo żadnego ↦

↦ z tych przywilejów nie posiada. Jednak „lud" upodmiotowiony przestaje być „ludem" i staje się pełnoprawnym uczestnikiem polityki, budząc zgorszenie państwowego aparatu. W społeczeństwie obywatelskim nie ma żadnego „ludu", bo wszyscy, na zasadzie wspólnej zgody, szukają dla siebie miejsca wśród innych, miejsca, które pozwoli im i innym (zwłaszcza innym) lepiej żyć: za większą dniówkę, z większym ubezpieczeniem społecznym, bez dyskryminacji rasowej, płciowej, kulturowej i wiekowej. Wybierają przeto do swoich władz tych, których celem jest dobro wspólne, wspólna rzecz, *res publica*, a nie dobro frakcji, partii czy tej lub tamtej oligarchii.

Inaczej jest w społeczeństwie populistycznym, którego hasłem przewodnim jest „teraz my": teraz my będziemy dyktować warunki gry, teraz my zmienimy prawa, teraz my zbudujemy mur na granicy, teraz my powiemy, co jest prawdą. Kto się sprzeciwi, ten pójdzie w odstawkę. „Lud", *populus*, istnieje więc tylko w świadomości populistycznej, czyli takiej, która dzieli świat na tych, którzy są z nami, i tych, którzy są przeciwko nam.

Popularność populizmu bierze się stąd, że oferuje on prosty obraz świata, podzielonego na wyzyskiwanych, którzy powinni stać się wyzyskującymi, i wyzyskujących, których należy strącić do strefy wyzyskiwanej. Populizm opiera się bowiem na idei społecznej zemsty i emocjonalnej manipulacji. Wyklucza zaś społeczną kooperację i polityczną negocjację. Krótko: populizm jest wyrazem niewiary w politykę. Jest ruchem politycznym likwidującym polityczne (racjonalne) podstawy wspólnoty i starającym się zbudować ją na nowo na podstawie nienegocjowalnych afektów.

Iluzja bezpośredniości

Czy to przypadek, że wraz z eskalacją populizmu na świecie jesteśmy świadkami bezprzykładnego kryzysu mediów społecznościowych? Otóż nie: od popkultury do populizmu jest jeden krok. Tym, co łączy obydwa zjawiska, jest iluzja bezpośredniości. Tak jak demokracja opiera się na kategorii reprezentacji (władza jest adekwatną reprezentacją wspólnoty), tak wszelka próba ominięcia reguł demokratycznych musi dokonywać się na ukróceniu zapośredniczeń, czyli mediów. Każdy populista walczy z mediami, albo dokładniej: z mediami, które mówią co innego, niż chciałby słyszeć.

Czy nie jest to także definicja kultury popularnej? Że ma nam mówić, co chcemy usłyszeć, pokazać, co chcemy zobaczyć, dać to, czego chcemy? Czy nie dlatego na Facebooku są lajki, ale nie ma dyslajków? Czy nie jest tak, że lubimy, jak inżynier Mamoń, wyłącznie to, co już lubimy (po prawdzie tak samo definiuje ludzkie poznanie filozoficzny idealizm), a najbardziej lubimy samych siebie, o czym świadczy niepowstrzymana kariera *selfie*? Tak zdefiniowana kultura popularna wychodzi poza tradycyjny podział kultury wysokiej i niskiej, arystokratycznej i masowej, bo także kultura wysoka, inteligencka, intelektualna hurtem zaspokaja gotowe oczekiwania i ma swoje wyrafinowane profile na Facebooku. „Swój do swojego po swoje" było i jest zawołaniem politycznym (w dwudziestoleciu oznaczał bojkot żydowskiego handlu), jest jednak również hasłem kulturowym. Nigdy jeszcze upodobania kulturalne nie znalazły się w takiej rozsypce. Dawniejsze podziały pionowe (góra–dół, wysokie–niskie) ustąpiły podziałom horyzontalnym. Rację miał Miłosz, który już pół wieku temu diagnozował zanik wyobraźni religijnej, lokującej sens życia w górze (niebie). Nie miał jednak racji, gdy z innymi arystokratami kultury potępiał pospolitość ludzkiej egzystencji.

Szalony rozwój mediów publicznych nie poszedł, jak się jeszcze całkiem niedawno spodziewano, w stronę pluralizacji przez odróżnienie, lecz w stronę separacji przez utożsamienie. Media społecznościowe – Twitter, Instagram, Facebook – traktowane są wyłącznie jako miejsca bezpośredniej ekspresji w zamkniętym kręgu odbiorców o jak najszybszym obiegu, nie zaś jako fora dyskusyjne, na których miałoby się dopiero wypracować społeczne – mniej lub bardziej udane – porozumienie. Anonimowość internetu jest radykalnym zaprzeczeniem przestrzeni publicznej, w której każdy występuje pod własnym nazwiskiem i styka się z innym człowiekiem.

Absolutna dominacja sfery internetowej ma kolosalne znaczenie polityczne. Nie dlatego nawet, że za pomocą botów (czyli bezosobowych aplikacji) można, jak pokazały ostatnie wybory w USA, swobodnie manipulować społecznymi nastrojami i opiniami, ale dlatego, że internet – dzięki

W TYM ROKU NA FESTIWALU CONRADA stawiamy krytyczne pytanie o „pop" rozumiany jako rdzeń naszego aktualnego doświadczenia kulturowego i politycznego. Poszczególnym dniom tegorocznej edycji przyporządkowaliśmy następujące kategorie: **Poprawność, Popularność, Popęd, Populizm, Popkultura, Popłoch, Popyt.**

RODRIGO RUIZ CIANCIA / GETTY IMAGES

Szalony rozwój mediów publicznych nie poszedł, jak się jeszcze całkiem niedawno spodziewano, w stronę pluralizacji przez odróżnienie, lecz w stronę separacji przez utożsamienie.

iluzji bezpośredniego uczestnictwa w świecie – zneutralizował swoją własną medialność (swoje pośrednictwo), dokładnie tak jak Trump swoimi sfrustrowanymi tweetami zneutralizował przestrzeń publicznej debaty.

Jeśli demokracja jest systemem, który odwleka iluzję bezpośredniego rządzenia na rzecz dyskusji (znienawidzonej przez wszystkich polityków autorytarnych, dla których dyskusja jest oznaką słabości), internet zdaje się skracać drogę do rzeczywistości, choć tak naprawdę tę ostatnią likwiduje. Tym, co znika (a może już zniknęło) w cyberprzestrzeni, jest rozmowa – jedyne spoiwo społeczne, którego boi się przemoc.

Witajcie w po-ponowoczesności!

Zasadnie można argumentować, że kultura popularna narodziła się w momencie, w którym dostęp do sfery kulturowej przestał być domeną wykształconej elity. Dlatego słuszna jest teza, że za demokratyzację kultury odpowiada romantyzm. „Ballady i romanse" Mickiewicza były, co przyznawał ich autor, książką popularną na dworach. Głównie dlatego, że litewskie służące odnajdywały w nich swój własny świat, w którym nie było miejsca na epickie wzniosłości, za to swobodnie hulały w nim duchy i nastroje. Spór klasyków z romantykami był w istocie przygrywką do późniejszych wojen kulturowych, w których nieodmiennie padało fundamentalne pytanie: co ma organizować naszą kulturę – emocjonalność („czucie i wiara") czy rozumność („szkiełko i oko")? Linia romantyczna będzie walczyć o prawa do nieograniczonej irracjonalności (Jarosław Marek Rymkiewicz nazwie ją „polskim szaleństwem"), linia oświeceniowa o prawa do racjonalnej oceny rzeczywistości. Z tego sporu wywodzi się ostre przeciwstawienie kultury i cywilizacji. Zwolennik kultury będzie nazywał zwolennika cywilizacyjnego rozwoju nędznym materialistą, z kolei dla podmiotu cywilizacyjnego kultura to zawracanie gitary.

Spór kultury i cywilizacji od 200 lat definiuje naszą nowoczesność. Ostre dystynkcje między kulturą wysoką i medialną popkulturą również należą do jego uprzywilejowanych wariantów. Zniesienie tych dystynkcji miało charakteryzować kulturę ponowoczesną, czyli postmodernizm. Pomieszanie tych dystynkcji (ich powrót w nowej postaci) jest charakterystyczne dla nowej ery – po-ponowoczesnej, która nastała z chwilą, w której ostatni etap globalizacji zlikwidował granice między prywatnym i publicznym, nadając sferze publicznej charakter całkowicie sprywatyzowany. Wielkim heroldem tej zmiany jest Donald Trump („Hemingway 140 znaków", według własnego określenia), którego polityka konsekwentnej prywatyzacji rzeczy publicznej idzie ręka w rękę z twityzacją komunikacji społecznej (nawiasem: *twit* (a nie *tweet*) to po angielsku „przygłup").

W epoce nowoczesnej emocje i technologia walczyły ze sobą na noże. W czasach ponowoczesnych emocje zniknęły z listy pożądanych atrybutów kultury i zostały zastąpione przez chłodną ironię. Z kolei w epoce po-ponowoczesnej cywilizacyjne urządzenia zostały wciągnięte w grę emocji do tego stopnia, że możemy dziś śmiało mówić o kulturze stechnicyzowanego afektu. Jej najwyrazistszym przejawem jest oczywiście internetowy hejt.

Kultura stechnicyzowanego afektu używa mediów tylko po to, by zlikwidować ich pośredniczący charakter i zainstalować się w natychmiastowej bezpośredniości, niosącej obietnicę błyskawicznego zaspokojenia pożądania. Tak jak nowoczesnym zawołaniem było „szybko, jak najszybciej!" (na drodze postępu), hasłem zaś tradycyjnie pojmowanej ponowoczesności była dwuznaczność cudzysłowu, tak hasłem prawdziwie po-ponowoczesnym jest „afekt tu i teraz!". Po-ponowocześni użytkownicy popkultury nienawidzą wolno ciągnącego się czasu, którego zakręty uniemożliwiają natychmiastowe spełnienie marzeń. Wszystko ma się dokonać tu i teraz.

Jeśli istotą pragnienia jest dystans od upragnionego przedmiotu, po-ponowoczesność jest wielką likwidatorką pragnienia. Jest też wielką groźbą dla demokracji. I, oczywiście, literatury. ©

MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI (ur. 1962) jest profesorem na Wydziale Polonistyki UJ oraz Hejna Family Chair in Polish Language and Literature na University of Illinois w Chicago. Dyrektor artystyczny Festiwalu Conrada. Współpracownik „Tygodnika".

Opowieść nas wybiera

AGNIESZKA WĄDOŁOWSKA

Arundhati Roy od najmłodszych lat chodzi własnymi ścieżkami, buntuje się i staje w obronie uciśnionych. Jest niezależna, a przy tym opowiada o nas wszystkich.

STUART FREEDMAN / CORBIS / GETTY IMAGE

Arundhati Roy w swoim domu w New Delhi, Indie, 2007 r.

W świecie intelektualnego kumoterstwa i masowo wytwarzanych pseudoinformacji jej ożywcze pisarstwo wciąż uczy, jak patrzeć, myśleć i czuć" – przekonywał magazyn „Time", gdy w 2014 r. umieścił ją w zestawieniu stu najbardziej wpływowych intelektualistów świata, obok papieża Franciszka czy Malali. Indyjska pisarka od lat pojawia się w takich zestawieniach. Regularnie nazywana jest „sumieniem Indii" i „głosem uciśnionych", choć ma też zażartych wrogów i nieprzejednanych krytyków. Trudno się dziwić, skoro tłumacząc Zachodowi paradoksy swojej ojczyzny, nigdy nie szczędzi surowej krytyki ani Indiom, ani reszcie świata.

Oto kilka fotografii ukazujących różne oblicza i etapy jej barwnego życia, które wypełniłoby wiele tomów.

Dom prawdziwy i powieściowy

To lekko wyblakłe czarno-białe zdjęcie wisi w salonie jej delhijskiego mieszkania. Przedstawia rozłożysty parterowy dom, który ocieniają konary wielkich drzew. Do szerokich kamiennych schodów prowadzi przez trawę wąska ścieżka. Obraz ma w sobie jakąś zagadkę; chciałoby się zakraść i zajrzeć na ocienioną werandę. W ogrodzie niemal słychać echo cichych kroków Esty czy głos Rachel. Ścieżki postaci z jej debiutanckiej powieści krzyżują się tu z tymi, którymi chodziła mała Roy.

Zdjęcie zrobiono w miasteczku Aymanam w wiecznie zielonym stanie Kerala, w południowych Indiach.

– Tylko nie pisz, że to ja tam dorastałam – prosi mnie pisarka. – Mieszkałam tuż obok. To dom, który odziedziczyły dzieci najmłodszego brata mojej babci. Nie spodobało im się, że opisałam go, jakby był moim własnym. Ale to jest właśnie dom, który posłużył mi za inspirację do „Boga rzeczy małych". Choć musiałam go w wyobraźni trochę architektonicznie przerobić – wyjaśnia ze śmiechem Roy, z wykształcenia architektka.

Sposób, w jaki przedstawiła ten dom, mieszając prawdę z fikcją, dobrze oddaje jej literackie założenia. Rzeczywistość w jej utworach zostaje przetworzona, ale impuls przychodzi ze świata, a nie z wyobraźni: „To opowieści wybierają sobie pisarzy. Opowieści same nam się ujawniają. Relacje publiczne, relacje osobiste – kolonizują nas. Wynajmują. Nalegają, żeby je opowiedzieć".

Na przestrzeni tych wszystkich lat stworzyła dom dla wielu takich historii i występujących w nich postaci.

Wróg publiczny

Rok 1997. To jej pierwsze zdjęcie w zagranicznej prasie. Kaskady loków, eleganckie sari, na twarzy cień uśmiechu, a w dłoniach egzemplarz książki dopiero co wyróżnionej najbardziej prestiżową brytyjską nagrodą – Man Booker Prize. Roy nie wygląda na tym zdjęciu na swoje 37 lat; wydaje się bardzo młoda i przejęta. Do tej pory zarabiała jako scenarzystka telewizyjna, dorabiała grając w filmach i prowadziła zajęcia z fitnessu. W wolnych chwilach pisała do szuflady. Nad książką, którą trzyma w dłoniach, pracowała cztery lata. Miała nadzieję, że zainteresuje się nią jakiś niewielki indyjski wydawca. Nie doceniła tego, co napisała.

Poetycka, na poły autobiograficzna historia dorastania bliźniaków-wyrzutków w konserwatywnej społeczności rządzonego przez komunistów stanu Kerala podbiła serca czytelników na całym świecie i sprzedała się w milionach egzemplarzy. Wystarczyło kilka tygodni, by prawa do powieści o kastowych podziałach i rodzinnych tragediach kupili wydawcy z 21 krajów. Niespodziewanie dla siebie pisarska zarobiła na tym milion dolarów.

Z premiery zrobiono wydarzenie. Ukazała się tego samego dnia w wielu krajach anglojęzycznych. Powieść zachwyciła czytelników i błyskawicznie trafiła na listy bestsellerów. Recenzenci porównywali sposób pisania Roy do realizmu ↦

↦ magicznego Garcíi Márqueza, a John Updike piał z zachwytu na łamach „New Yorkera", zapewniając (w nieco żenujący sposób), że to „debiut na miarę Tigera Woodsa". Do pełni szczęścia brakowało tylko ważnej nagrody. Jeszcze w tym samym roku dostała właśnie Bookera. Sukces był tym większy, że snobistyczna komisja nigdy wcześniej nie nagrodziła autora, nie mówiąc już o autorce, z Indii. (Rushdiego, do którego zresztą porównywano Roy, przynajmniej oficjalnie wyróżniono jako obywatela Wielkiej Brytanii). Dla Roy szczególnie ważne było też to, że udało jej się przebić do grona indyjskich autorów piszących po angielsku – do tej pory składającego się wyłącznie z mężczyzn.

Ponoć nie spodziewała się wyróżnienia, nie miała nawet przygotowanego przemówienia. Ze łzami wzruszenia w oczach dziękowała jurorom. A już chwilę później z wrodzoną sobie przekorą mówiła dziennikarzom, że nie przywiązuje większej wagi do wyróżnień, bo „są znacznie ważniejsze dla czytelników niż dla pisarzy".

„Gdy tak siedzi po turecku na podłodze w białym bawełnianym podkoszulku i luźnych spodniach, wygląda bardziej na pięknie zbuntowaną nastolatkę niż na literackie objawienie" – pisał tuż po sukcesie książki korespondent „The Independent", który spotkał się z nią w Delhi. Była idealną postacią-tematem i dla poważnych tytułów, i dla prasy kolorowej. Gazety na całym świecie rozpisywały się o jej urodzie i silnym temperamencie, o jej mężu (reżyserze Pradipie Krishenie) i o pełnej przygód młodości (w wieku 17 lat uciekła z chłopakiem do stolicy i zamieszkała w slumsie niedaleko Nizamuddin).

Jednak nie wszystkim się podobała. W zachodnim świecie literackim pojawiły się głosy, że wyróżnienie tej rangi nie powinno trafić do autorki „wioskowej love story". Z kolei w jej rodzinnych Indiach książka wywoływała oburzenie. Opisem miłości chrześcijanki i nietykalnego, Roy naruszyła tabu. Niechęć budziło też to, że w powieści pokazała brutalność indyjskich władz i powszechne przyzwolenie na przemoc.

Oprócz ataków osobistych czy krytyki ze strony rządzącej w Kerali Partii Komunistycznej, musiała zmierzyć się z zarzutami o obrazę moralności (sprawa trafiła do sądu i zapoczątkowała ciągnące się przez dekadę rozprawy). „Doszliśmy do etapu, w którym każdego pisarza można w ten sposób zastraszyć. Wychodzi na to, że jeden obywatel może szantażować całą literaturę" – komentowała ówczesne wydarzenia dla zachodniej prasy, nie wiedząc jeszcze, że to dopiero początek jej kłopotów z indyjskim wymiarem sprawiedliwości.

Nie zważając na przeciwności, Roy ruszyła w *tournée* po Europie i Stanach. Wydawało się, że miała wszystko, by cieszyć się pozycją międzynarodowej literackiej celebrytki. Stała się też cenna wizerunkowo dla indyjskiego rządu, który szukał nowych twarzy potwierdzających wyjątkowość kraju świętującego właśnie półwiecze autonomii.

MUKUL DUBE / EN.WIKIPEDIA

ARUNDHATI ROY (ur. 1961) jest indyjską pisarką, autorką esejów politycznych, aktywistką społeczną i feministyczną. Debiutowała powieścią „Bóg rzeczy małych" w 1997 r., której tematem jest dyskryminacja kobiet w Indiach; otrzymała za nią Nagrodę Bookera. W 2017 r. została wydana po polsku jej druga powieść „Ministerstwo Niezrównanego Szczęścia". W polskim przekładzie ukazały się również eseje „Algebra bezgranicznej sprawiedliwości" oraz reportaż „Indie rozdarte". Mieszka w Delhi.

NA FESTIWALU CONRADA pisarka opowie o tym, w jaki sposób literatura może nam pomóc w zrozumieniu najważniejszych problemów współczesnego świata, a także – jak przy użyciu narzędzi literackich prowadzić krytykę opresywnych struktur społecznych i politycznych. Tematem spotkania z Arundhati Roy będą również lęki i zagrożenia krążące w krwiobiegu zglobalizowanego świata.

Tyle że nie miała na to najmniejszej ochoty.

Kwiaty za kratami

Jest tylko kilka zdjęć, na których ma tak krótkie włosy. Wszystkie pochodzą z 2002 r. Na jednym przez więzienne kraty podaje umundurowanym strażnikom czerwoną różę. Uśmiecha się do nich, jest rozpromieniona, we włosach ma kwiaty. Zdjęcie zrobiono chwilę po tym, jak uzyskała zwolnienie z więzienia. Spędziła w nim tylko jeden dzień, ale groziły jej nawet trzy miesiące, które ostatecznie zamieniono na karę finansową. Jak celebrytka trafiła za kratki? Okazało się, że ma niewyparzony język i bardzo jasne zdanie na temat działań indyjskiego rządu. Poza tym niczego ani nikogo się nie boi.

Choć czytelnicy czekali na kolejną powieść, Roy postanowiła, że jej pozycja nie pozwala na neutralność, a jej obowiązkiem jest zabrać głos w kluczowych dla kraju kwestiach. Tematów w Indiach nie brakowało. Zaczęła od ostrej krytyki prób nuklearnych przeprowadzonych przez jej kraj w ramach wyścigu zbrojeń z Pakistanem. W eseju „Koniec wyobraźni" ambicje posiadania broni jądrowej przedstawiła jako absurdalne. Pokazywała, jak głębokie konsekwencje społeczne przynosi zbrojeniowa fiksacja. Już wtedy przepowiedziała, że nieuchronnie doprowadzi ona do nowej fali hinduskiego nacjonalizmu.

Co ważne, za jej tekstami szły działania. Kolejnym jej tematem stał się flagowy projekt modernizacji Indii – budowa wielkiej tamy na rzece Narmada w stanie Gudźarat. Pieniądze z Nagrody Bookera przekazała organizacji broniącej wysiedlanych z terenów przeznaczonych pod budowę tamy i osobiście przyłączyła się do protestujących mieszkańców. To właśnie w związku z tymi demonstracjami i petycją w sprawie tamy stanęła przed sądem, co skończyło się dla niej symboliczną odsiadką. Protesty, w których uczestniczyła, okazały się jednak nieskuteczne. W 2017 r. premier Narendra Modi zainaugurował otwarcie tej drugiej największej na świecie tamy. Warto przypomnieć, że w związku z zagrożeniem dla środowiska przeciwko budowie ostro wypowiedział się m.in. Bank Światowy, który początkowo miał ją współfinansować.

Największym przegranym tego projektu są masowo przesiedlani ludzie – w większości Adivasi i Dalitowie. I to

o ich prawa upominała się i wciąż upomina Roy.

„Co się stało z tymi wszystkimi milionami ludzi? Gdzie oni są? Jak zarabiają na życie? Nikt tego nie wie. (...) Etniczna »inność« ofiar zdejmuje ciężar odpowiedzialności z Budowniczych Narodu. (...) Ktoś inny płaci rachunek. Ludność z innego kraju. Z innego świata. Najbiedniejsi ludzie Indii subsydiują styl życia najbogatszych" – pisała w eseju „Większe dobro ogółu".

Na pierwszej linii frontu

Kolejne zdjęcie zostało zrobione w Moskwie, w pokoju 1001 hotelu Ritz. Elegancko ubrana Roy leży w poprzek hotelowego łóżka obok dziennikarza „The Guardian". Oboje wpatrują się w opowiadającego coś sygnalistę Edwarda Snowdena. Ten ostatni przywitał ją uśmiechem i stwierdzeniem: „Wiem, po co przyjechałaś. Chcesz mnie zradykalizować". I faktycznie – rozmawiali nie tylko o kwestiach bezpieczeństwa, rosnącej kontroli i inwigilacji, ale też o zaangażowaniu USA w Iraku i Afganistanie. To kolejne ważne tematy dla indyjskiej pisarki. „Zbombardowanie Afganistanu nie jest zemstą za Nowy Jork czy Waszyngton. To kolejny akt terroryzmu wymierzony w ludzi tego świata" – pisała w październiku 2001 r., już wtedy przekonana, że konsekwencje politycznych decyzji Busha przyniosą więcej destrukcji.

Roy spotkała się też z założycielem WikiLeaks, Julianem Assange'em, w ambasadzie Ekwadoru w Londynie. Te spotkania, jak i wiele innych, które odbyła, pokazują ją jako obywatelkę świata. Ciągnie ją do outsiderów, do tych, którzy, jak ona, kwestionują zastany porządek i nie boją się rzucać wyzwania władzy, bez względu na to, gdzie ta władza ma swoje siedziby i jakie ma możliwości.

Jej eseje nazywano „histerycznymi" i „niepoważnymi". Ją samą określano mianem „wystawnie żyjącej i niedojrzałej idealistki". Wielokrotnie niszczono wystawy z jej książkami, demolowano miejsca, gdzie miały się odbyć spotkania z nią. Najczęściej były to reakcje na jej kolejne teksty czy wypowiedzi w sprawie Kaszmiru. Milionerzy i politycy, których rozliczała, nigdy wprost nie dali jej odczuć swojego niezadowolenia. Ale, jak sama twierdzi, ataki, których doświadczyła, nie mogły być przypadkowe.

Przez lata nazywano ją zdrajczynią i skłaniano do opuszczenia Indii. Długo pozostawała na te zawołania obojętna.

> Nazywana jest „sumieniem Indii" i „głosem uciśnionych", choć ma też swoich zażartych wrogów i nieprzejednanych krytyków. Trudno się dziwić, skoro nigdy nie szczędzi surowej krytyki ani Indiom, ani reszcie świata.

Dopiero kończąc swą drugą powieść, wydaną po 20 latach od debiutu, uciekła do Londynu. Kupiła bilet, gdy w wiadomościach usłyszała, że to ona jest inspiratorką i reżyserką studenckich protestów, które wybuchły w różnych częściach Indii po wykonaniu egzekucji na kaszmirskim separatyście. Roy nieraz pisała o tej sprawie, broniła samego skazanego. W czasie studenckich strajków, jak i później – w czasie rozpraw na salach sądowych – dochodziło do wielu pobić, zdarzały się lincze. Wyglądało na to, że rozwścieczone bojówki są gotowe na wszystko. Właśnie dlatego wyjechała. I w Londynie dokończyła „Ministerstwo Niezrównanego Szczęścia".

Co ciekawe, jedną z głównych bohaterek powieści Tilo – *alter ego* pisarki – Roy wysłała właśnie do Kaszmiru. Udało jej się ukazać dramatyzm i zawiłość losów ludzi żyjących na spornych terenach pod rządami armii. W powieści pojawia się też inna ważna dla Roy postać: pięknej, ekscentrycznej i wybuchowej hidźry Amdźun. Rozdarta między swoim męskim ciałem i kobiecym duchem Amdźun tworzy przytulny dom na cmentarzu, enklawę wolności dla wyrzutków i tych, którzy sami odchodzą, nie mogąc przystosować się do coraz ciaśniejszych norm społecznych i religijnych. Czy to tylko przypadek, że tuż obok delhijskiego mieszkania Roy leży XVII-wieczny cmentarz?

Tak jak w „Bogu rzeczy małych", tak i w „Ministerstwie Niezrównanego Szczęścia" pisarka porusza kwestie fundamentalne, a przez to tak bliskie czytelnikom w różnych częściach świata. „Byłam w Niemczech w czasie wyborów, w Göteborgu w Szwecji w czasie wielkiego marszu nazistów, w Barcelonie w czasie niepodległościowego referendum. O wszystkich tych sprawach mogłam rozmawiać, odnosząc się do »Ministerstwa Niezrównanego Szczęścia«. To niesamowite jeździć teraz po Europie i rozmawiać o rosnącej w siłę prawicy i szaleństwie, jakie spowodował neoliberalizm. Wszyscy od razu wiedzą, o czym mówię" – mówiła niedawno w wywiadzie dla „Financial Times".

Życie samotne

Nic dziwnego, że tak wiele z jej postaci to osoby wykluczone. Sama w dzieciństwie doświadczyła, co znaczy być outsiderką. Może właśnie to pozwala jej zachowywać niezależność. Miała też dobre wzorce. Jej matka, Mary Roy, aktywistka walczącą o prawa kobiet, założyła eksperymentalną szkołę dla dziewcząt, do której zresztą chodziła przyszła pisarka.

Ale dom rodzinny naznaczył ją też w inny sposób. Ojciec Roy – właściciel plantacji herbaty pod Kalkutą – był alkoholikiem. Jej matka porzuciła go i z dziećmi (dwuletnią Arundhati i starszym o półtora roku Lalithem), przejechawszy niemal całe Indie, wróciła do rodzimej społeczności syryjskich chrześcijan na wybrzeżu Kerali. Konserwatywna społeczność niechętnie patrzyła na rozwódkę i jej dzieci. Na dodatek Roy od początku była rogata. Chodziła własnymi ścieżkami, dyskutowała z nauczycielami, buntowała się na studiach. Ponownie zobaczyła ojca już jako dorosła kobieta. Opowiada, że choć była przy nim, gdy umierał, nigdy nie nauczyła się z nim rozmawiać.

Sama nigdy nie założyła rodziny. Nie rozwiodła się, więc formalnie nadal ma męża, z którym jednak rozstała się bardzo dawno temu. Od lat żyje sama. Wyjaśnia, że to cena, jaką płaci za swoje zaangażowanie. „Nie chciałam nikomu rujnować życia ciągłą zmiennością, narażać na ataki, których jestem celem. Jak już wzniecasz ogień, niech on pochłonie ciebie, a nie ludzi, którzy stoją obok". ©

AGNIESZKA WĄDOŁOWSKA jest dziennikarką i tłumaczką. Z wykształcenia anglistka. Od lat związana jest z tytułami Agory. Pisze o prawach kobiet i problemach mniejszości. Współautorka 37-38 numeru „Krytyki Politycznej": „Indie – nowoczesność na peryferiach".

Cierpienie nas dopadnie

MARTÍN CAPARRÓS:

Problemy mieszkańców innych krajów są naszymi problemami. Nie ma mojej czy twojej biedy. Jest doświadczenie krzywdy, które nas ze sobą łączy.

GRZEGORZ JANKOWICZ: We wstępie do „Głodu" piszesz, że książka okazała się porażką. Dlaczego?

MARTÍN CAPARRÓS: Czy to nie jest oczywiste?

W przypadku opowieści o tak ważnych tematach społecznych nic nie jest oczywiste.

Według mnie każda książka jest porażką. Gdy to, co napisane, porównujemy z tym, co zamierzaliśmy zrobić, nieuchronnie pojawia się dojmujace uczucie zawodu. Przystępując do pracy, czuję oszałamiającą ekscytację, której źródłem jest nieskończona potencjalność każdego z moich konceptów. Potem muszę te pomysły wtłoczyć w określone ramy reporterskiej narracji. Odrzucam lub po prostu przypadkiem gubię całe mnóstwo wspaniałych rzeczy: postaci, miejsc i tematów.

Jednak w przypadku tej konkretnej książki pisarskie fiasko ma jeszcze inną przyczynę. Zajmując się jedną z największych cywilizacyjnych klęsk – a głód ze wszech miar zasługuje na to miano – nie można marzyć o sukcesie. Byłoby to świadectwem próżności.

Czy nie jest jednak tak, że Twoja wierność przegranej zmniejsza szanse na pozytywną zmianę?

Motto do mojego reportażu wziąłem z „Hej na dno" Samuela Becketta: „Spróbować jeszcze raz. Chybić jeszcze raz. Chybić lepiej". Jeśli za każdym razem chybiamy lepiej, to znaczy, że nasz wysiłek przynosi jednak jakiś pożytek. Wierność przegranej uwrażliwia nas na krzywdę, której doświadczają inni, pozwala nam tę krzywdę dostrzec, zrozumieć, uznać za niesprawiedliwą. Tylko w ten sposób możemy wywołać pozytywną zmianę.

Współczesny świat domaga się jednak sukcesu.

Jest to jeden z symptomów choroby, która nas toczy. Mam zupełnie inne podejście: dużo chętniej angażuję się w rozmaite projekty, gdy wiem, że wcześniej nie udało się ich zrealizować. Odczuwam wówczas przemożną potrzebę działania, pragnę pomóc w rozwiązaniu problemu. Według mnie ideologia sukcesu nas paraliżuje. Mówiąc wprost: sukces mnie nie interesuje.

Czy reportaż może zmienić świat, w którym żyjemy?

Jedynie kilka tekstów spowodowało taką zmianę i zazwyczaj nie były to reportaże. Wystarczy jednak, że materiał dziennikarski wywoła w odbiorcach dyskomfort. Jeśli po jego lekturze ludzie nie będą mogli spokojnie zasnąć, jeśli przebudzi się ich sumienie i zwrócą uwagę na zjawisko, które wcześniej ignorowali, zadanie zostanie wykonane.

To według Ciebie najważniejszy cel pisania?

Powinienem zapewne odpowiedzieć twierdząco, ale są też inne cele, bardziej samolubne. Pisanie sprawia mi ogromną frajdę. Siadając przed komputerem, nigdy nie mówię sobie: teraz napiszę kawałek, który wywoła w czytelnikach dyskomfort. Myślę za to z pasją o moich bohaterach, zastanawiam się, w jaki sposób ich opisać, jak ułożyć ich historię. Niezbywalną częścią mojej pracy jest przyjemność, którą czerpię z samego aktu pisania. Bez tego nie byłbym w stanie niczego stworzyć.

W obu wydanych po polsku książkach sugerujesz, że problemy współczesnego świata nie istnieją poza ludźmi, którzy ich doświadczają. To ułatwia sprawę reporterowi – wyrazisty bohater jest na wyciągnięcie ręki. Jak jednak pisać o problemach systemowych?

Cóż, to jedno z najważniejszych pytań. Pisząc o problemach, zawsze staram się unikać abstrakcji i generalizacji, dlatego zajmuję się konkretnymi przypadkami, opisuję ludzi z krwi i kości, przybliżam czytelnikom historię osób, które naprawdę spotkałem, których historii wysłuchałem. Mam jednak świadomość ograniczeń, jakie posiada ta metoda. Łatwo wpaść w pułapkę reporterskiej pornografii. Dając zbliżenie na jakąś postać, w pewien sposób ją obnażamy. Odbiorcy przez chwilę się tym pasjonują, po czym biorą do ręki kolejną książkę. Historię jednego człowieka zastępują historią drugiego, ale tylko po to, by po kilku dniach o wszystkim zapomnieć. Żeby uniknąć takiej sytuacji, staram się łączyć opowieści o postaciach i ich doświadczeniach z opowieściami o systemowych przyczynach cierpienia. Tylko w ten sposób – za pomocą narracyjnej mieszanki – możemy ogarnąć całość, zrozumieć sytuację pokrzywdzonych i na nią zareagować. Uważam, że naszą pamięć jest w stanie pobudzić wyłącznie zrozumienie jakiegoś problemu czy zjawiska. Pamiętamy jedynie to, co udało nam się zrozumieć. I odwrotnie: zapominamy o zdarzeniach, które pozostają dla nas nieprzeniknione.

Uczniowie szkoły średniej, z którymi jakiś czas temu omawiałem Twoją książkę o głodzie w ramach jednej z Tygodnikowych lekcji czytania, pytali mnie, dlaczego mają zajmować się sytuacją innych, skoro ich własne życie pełne jest problemów. Co byś im odpowiedział?

Przede wszystkim wytłumaczyłbym im, że w zglobalizowanym świecie nie ma żadnych innych. Problemy mieszkańców Afryki są naszymi problemami. Różnice mogą dotyczyć skali danego zjawiska, czasem również przyczyn, a co za tym idzie potrzebnych środków zaradczych, ale na pewnym poziomie wszyscy mieszkańcy

dzisiejszego świata tworzą wspólnotę cierpiących. Nie ma mojej czy twojej biedy. Jest doświadczenie krzywdy, które nas ze sobą łączy. Nie tylko na poziomie emocjonalnym, ale też na poziomie codziennego doświadczenia. Nie uciekniemy przed tym, nawet jeśli wzniesiemy wobec siebie najgrubsze i najwyższe mury. Cierpienie bez trudu się przez nie przeciśnie i nas dopadnie.

Czy można kiedykolwiek porzucić takie tematy, jak głód czy migracje? Książka jest gotowa, krąży między ludźmi, ale problem pozostaje. Jak sobie z tym radzisz?

Nawet nie próbuję. Napisałem swoje książki m.in. po to, by cały czas rozmawiać z innymi. Rozmowa jest wymianą informacji, więc każde spotkanie inspiruje mnie do dalszych poszukiwań. Nie sądzę, bym dożył dnia, w którym ogarnie mnie poczucie, że praca dobiegła końca. Poza tym wciąż mnie te zagadnienia interesują. Konfrontując się z nowymi sytuacjami, uświadamiam sobie, co można było opisać inaczej, na co powinienem zwrócić uwagę. Książka jest skończona, temat jednak żyje i wciska się do moich kolejnych tekstów.

A czy interesujesz się losami bohaterek i bohaterów swoich reportaży?

Często próbuję się dowiedzieć, co się z nimi dzieje, ale nie zawsze jest to możliwe. Poznaję tych ludzi przez pośredników, np. przez lekarzy, którzy w danym miejscu im pomagają. Gdy moi bohaterowie opuszczają szpital, bardzo trudno nawiązać z nimi kontakt. Znikają. Trudno jednak o nich nie myśleć. Nie jest tak, że ich widma nawiedzają mnie w snach, ale nie można zapomnieć ludzi, których los próbowało się zrozumieć i opisać.

Nie kusi Cię czasem, by opowiedzieć o tych ludziach za pomocą fikcji?

Niedawno wydałem niewielką książkę z fotografiami, które zrobiłem podczas moich podróży. Jedno ze zdjęć – wykonane w Sri Lance – przedstawia dziwną scenę. Pojechałem tam, by napisać materiał o pedofilach. Potwornie mnie to przytłoczyło. Czułem mieszankę odrazy i złości. Po tygodniu postanowiłem wybrać się na chwilę w góry, żeby złapać oddech. Podróżowałem samochodem. Podczas jednego z postojów spostrzegłem w oddali mężczyznę, który w pozycji poziomej lewitował nad ziemią. ↦

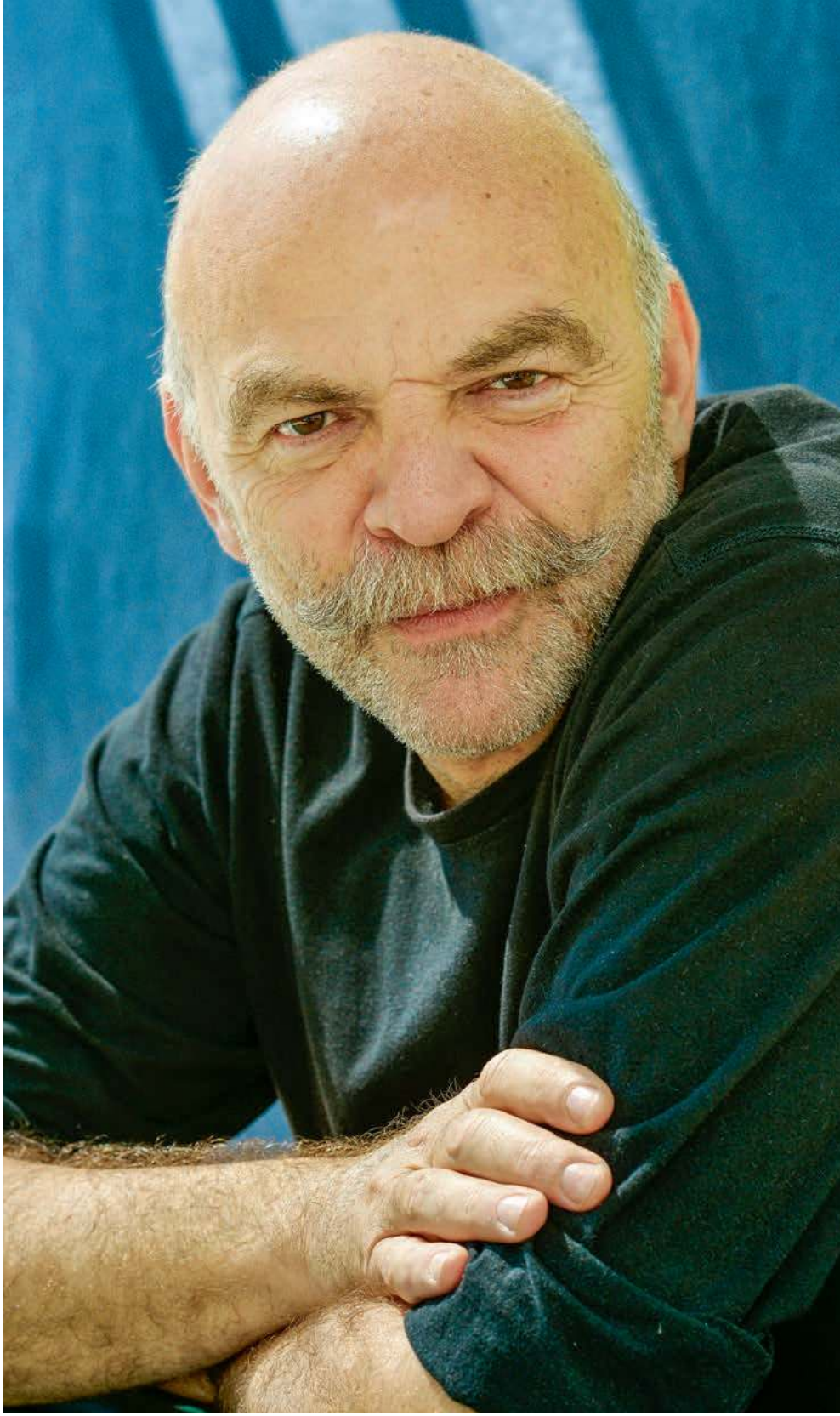

ULF ANDERSEN / GETTY IMAGES

MARTÍN CAPARRÓS (ur. 1957) jest argentyńskim reporterem, powieściopisarzem i tłumaczem (przekładał m.in. Woltera i Szekspira). Pracował w radiu, telewizji i prasie. Jest autorem ponad dwudziestu reportaży tłumaczonych na wiele języków. Po polsku ukazały się następujące jego książki: powieść sensacyjno-przygodowa „Tajemnica markiza de Valfierno", nominowana do Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego kronika bezdomności, ubóstwa i biedy „Głód" (2016) oraz reportaż „Księżyc. Od nowiu do nowiu" (2018), opisujący problem migracji, wykluczenia i wojen, zlecony autorowi przez Organizację Narodów Zjednoczonych.

↦ Zrobiłem zdjęcie i pojechałem dalej. Było to przed wynalezieniem aparatów cyfrowych, więc nie mogłem powiększyć fotki na wyświetlaczu, by sprawdzić, co tam się tak naprawdę wydarzyło. Gdy kilka tygodni później wywołałem fotografię, uświadomiłem sobie, że był to ofiarnik zwisający na haczykach wbitych w skórę jego pleców i nóg. Napisałem o nim tekst, który w całości jest dziełem fantazji. Nosi tytuł „Niewiedza". Wyobraziłem go sobie jako kogoś, kto chciałby się uwolnić od siebie, by stać się kimś innym. Kim chciałby zostać ofiarnik ze Sri Lanki? O tym opowiada mój kawałek.

Przyjeżdżasz do jakiegoś miejsca, przez pośredników docierasz do bohatera swojego reportażu. Okazuje się, że ten człowiek potrzebuje natychmiastowej pomocy. Zdarza Ci się bezpośrednio interweniować w takich sytuacjach?

Czasem. Ale nie chcę, żeby mieli wrażenie, że „kupuję" od nich historie. Ty mi daj opowieść o swoim życiu, ja ci dam pieniądze.

Zdarza mi się jednak reagować od razu. Spójrz na to zdjęcie: przedstawia Afrykankę, która przez lata cierpiała z powodu przetoki, co zmieniło jej życie w koszmar. Została odtrącona przez swoją społeczność. Żyła na marginesie, w samotności. Żeby jej pomóc, wystarczyłby prosty zabieg, ale nie miała dostępu do służby medycznej. Na szczęście organizacja pomocowa, która pojawiła się w tamtej okolicy, sfinansowała operację (kosztowała jakieś pięćdziesiąt euro). Spotkałem ją już po wszystkim.

W jej chatce znajdował się tylko jeden przedmiot: drewniana tabliczka, na której wyryte były wersety Koranu. W krajach, w których brakuje papieru, ludzie wciąż jeszcze używają takich tablic, by utrwalać na nich sury. Uczą się ich na pamięć, a następnie ścierają ryty i rzeźbią kolejną część. Pod koniec rozmowy zapytała mnie przez tłumacza, dlaczego tak się przyglądam tej tabliczce. Powiedziałem, że bardzo mi się podoba; myślałem, że w ten sposób sprawię jej przyjemność. Chcę, żebyś ją ze sobą zabrał – odparła bez zastanowienia. Nie mogę tego zrobić – broniłem się. Tłumacz wyjaśnił mi jednak, że moja odmowa będzie dla niej obrazą. Wpadłem na pewien pomysł. Wiedziałem, że brakuje jej samca dla dwóch młodych kóz (reszta stada zdechła z głodu). Zaoferowałem, że w podzięce kupię jej kozła i zostawię jej pieniądze na karmę. Poprosiłem, by na pamiątkę tego zdarzenia nazwała go Martin.

Kilka dni później wylądowałem w Paryżu i poszedłem na śniadanie do mojego kuzyna. Po drodze kupiłem kilka croissantów. Na miejscu opowiedziałem jemu i jego żonie całą historię. Gdy zapytali mnie, ile kosztował kozioł, uświadomiłem sobie, że kwota ta była niższa niż cena croissantów. Kilka euro – dokładnie tyle było trzeba, by zmienić życie tej kobiety.

> Zajmując się jedną z największych cywilizacyjnych klęsk – a głód ze wszech miar zasługuje na to miano – nie można marzyć o sukcesie. Byłoby to świadectwem próżności.

W jaki sposób pobudzić wyobraźnię zamożnych mieszkańców Zachodu, by zdali sobie z tego sprawę?

Opowiadając historie i pokazując im ich świat w maksymalnym przybliżeniu. Napisałem wczoraj artykuł na temat niewyobrażalnej liczby rzeczy, które znajdują się w naszych mieszkaniach. Punktem odniesienia dla tych rozważań uczyniłem szałas stojący w amazońskiej dżungli, w którym się kiedyś zatrzymałem. Znajdowało się tam raptem kilkanaście rzeczy; to był cały dobytek jego właścicielki. W internecie znalazłem informację, że w przeciętnym amerykańskim domu znajduje się trzysta tysięcy obiektów. Trzysta tysięcy! Żyjemy w świecie, w którym brak sąsiaduje z nadmiarem. Byłoby dobrze, gdybyśmy wreszcie pojęli rozmiary tej nierówności.

PODCZAS WIZYTY W KRAKOWIE
Martín Caparrós opowie o problemach, które łączą ze sobą ludzi żyjących w różnych miejscach współczesnego świata. Wspólnie z nim będziemy się zastanawiać, w jaki sposób mówić i pisać o takich zjawiskach jak głód, ubóstwo, wykluczenie i migracja, by ci, którzy nie doświadczyli ich na własnej skórze, potrafili je zrozumieć i podjęli działania pomocowe.

W „Głodzie" piszesz o rewolucji francuskiej, że wybuchła w gruncie rzeczy z błahego powodu: robotnikom wzbroniono chleba. Czy wyobrażasz sobie coś podobnego w bliższej lub dalszej przyszłości: rewolucję uciśnionych?

Przez wieki głód był największym źródłem społecznych niepokojów. Różnica polega na tym, że dziś głód spychany jest w miejsca, które nie rzucają się w oczy. Nie oznacza to, że w społeczeństwach zachodnich ludzie nie głodują. Powtórzę: ten problem dotyczy nas wszystkich. Ale Zachód jest niezwykle sprawny w wytwarzaniu rozmaitych zasłon uniemożliwiających bezpośredni kontakt ze starymi i nowymi formami cierpienia. Udajemy, że ich tu nie ma. Ale wraz z migrantami powraca to, co wyparte. Ci ludzie opuszczają swoje domostwa, gdyż nie mogą już w nich mieszkać. Uciekają przed wojną, czyli przed przemocą, czyli także przed głodem. Niektórym wydaje się, że jeśli zatrzymamy tę migracyjną falę na granicy, problem zostanie zażegnany. Wirus nie przedostanie się do naszego społecznego krwiobiegu. Ale nasze społeczeństwa sukcesywnie się starzeją. Za kilkadziesiąt lat odsetek pracujących będzie rekordowo niski. Kto nas wtedy będzie utrzymywał? Zamykamy drzwi przed potrzebującymi, na dodatek skazując samych siebie na zatratę.

Jeden z moich znajomych, który prowadzi w Polsce międzynarodową firmę, opowiadał mi, że zatrudnieni przez niego pracownicy z Niemiec czy z Anglii doceniają atmosferę, która panuje w naszym kraju: na ulicach są wyłącznie biali. Wreszcie czują, że są u siebie...

Każdy z nas odczuwa taką potrzebę: być u siebie, między swoimi. Ale dla naszych ojców i matek to bycie u siebie znaczyło coś zupełnie innego niż dla nas. Współczesny świat zmusza nas do większej elastyczności. Możemy oczywiście wykonać gest reakcyjny: zamknąć drzwi i okna, odwrócić się plecami, skoncentrować się na sobie i swoich bliskich. Jednak to nie zatrzyma globalnych procesów. Przecież ci biali Anglicy czy Niemcy, o których opowiadał twój znajomy, również są migrantami. Co więcej, oni też uciekają, tyle że nie przed wojną czy głodem, lecz przed innymi ludźmi, którzy pewnego dnia zapukali do ich drzwi i wyciągnęli rękę o pomoc.

©℗ Rozmawiał GRZEGORZ JANKOWICZ

JIM WATSON / AFP/ EAST NEWS

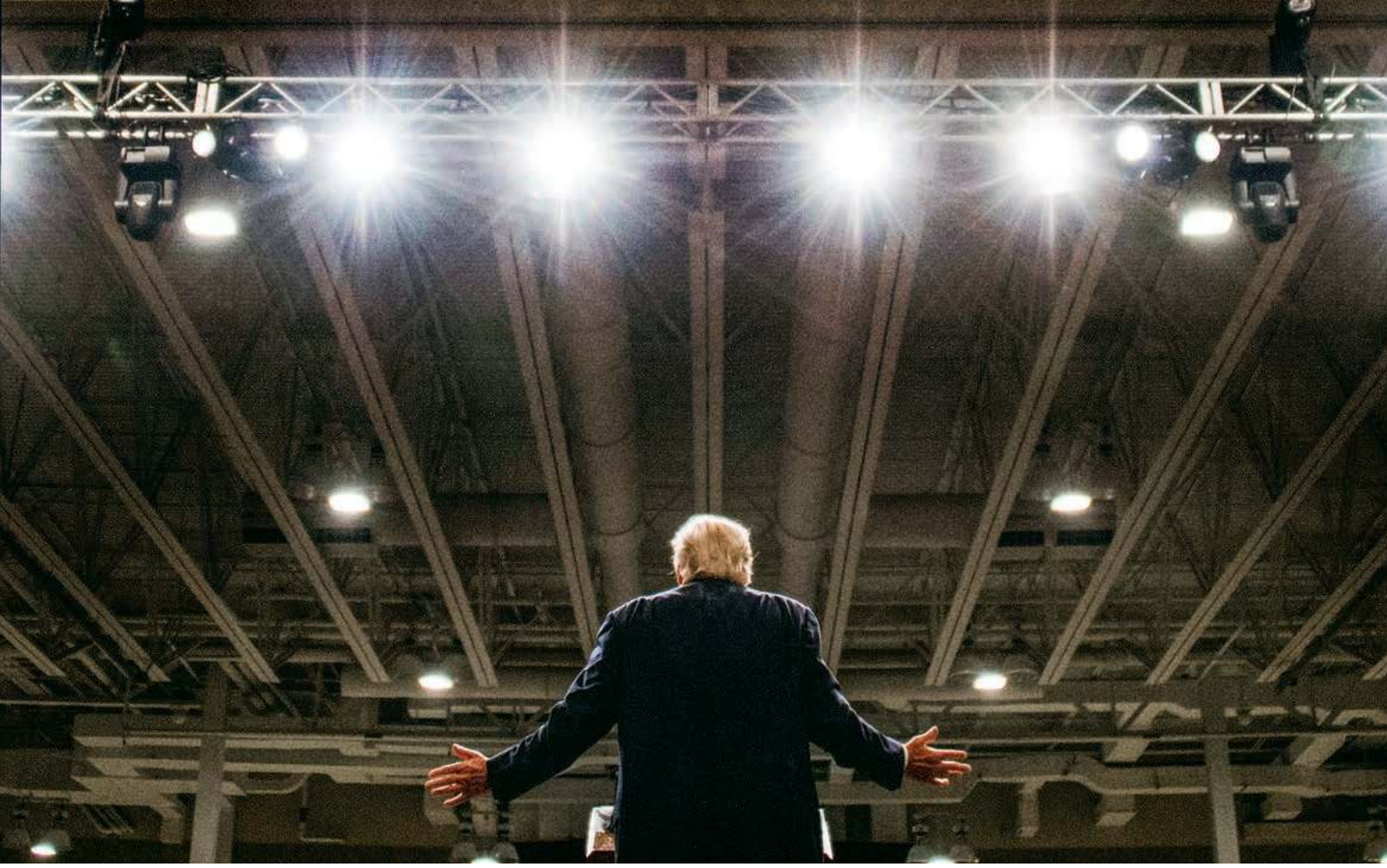

Donald Trump jako kandydat na prezydenta podczas wiecu wyborczego w North Charleston, Południowa Karolina, 19 lutego 2016 r.

Książki nie płoną

MICHAŁ SOWIŃSKI

Istnieją pojęcia znajdujące się w ciągłym kryzysie. Jednym z nich jest bez wątpienia prawda.

Historia tego pojęcia, gdyby ktoś zechciał ją napisać, byłaby opowieścią o największej z naszych nadziei i zarazem największym z rozczarowań. Stworzone w ciągu wieków definicje prawdy układają się w rodzaj labiryntu, w którym błądzimy z nadzieją, że wreszcie uda nam się znaleźć formułę uniwersalną i niepodważalną. Ciągłe porażki, które ponosimy na tym odcinku, mimo że frustrujące, powinniśmy jednak przyjmować z wdzięcznością, to bowiem dzięki nim z jednej strony cały czas rozwijamy dziedzinę, z drugiej zaś zachowujemy (nie wszyscy i nie wszędzie, ale jednak) dystans wobec fundamentalizmu.

Widmo prawdy nawiedza nas od tysiącleci. Wciąż się o nią kłócimy, o nią toczą się intelektualne spory i wojny, w jej imię podejmujemy wysiłek budowy świątyń i więzień. Pozostaje dla nas efemeryczna i trudno uchwytna, a jednak nawet zanegowana – wciąż powraca. Zarówno ci, którzy żywią przekonanie o możliwości poznania prawdy, jak i ci, którzy to przekonanie odrzucają, są na nią skazani.

Prawda w epoce postprawdy

Mówić o prawdzie w 2018 r. nie jest łatwo. Swego czasu obiecywano nam, że nie będzie już do niczego potrzebna, że jest reliktem przeszłości, dla którego w ponowoczesnym świecie nie ma miejsca. Być może dlatego samo słowo „prawda" wydaje się dziś nazbyt patetyczne, a nawet banalne. Nastały jednak czasy (można się było tego spodziewać), które zmuszają do podjęcia refleksji nad znaczeniem podstawowych kategorii. Parafrazując popularne powiedzenie: jeśli nie będziesz interesował się losami prawdy, prawda zainteresuje się tobą. A raczej – staniesz się obiektem zainteresowania ludzi, którzy wiedzą, jak zrobić z jej zmanipulowanej formy niebezpieczną broń.

Tym bowiem rodzajem oręża są nowe mechanizmy wytwarzania treści, które określa się mianem „postprawdy" lub „fake newsów". Żeby się przed nimi obronić, musimy najpierw zrozumieć ich sposób działania.

Przykładem polityka, który z postprawdy i fake newsów uczynił fundament swojego działania politycznego, jest ↦

↦ oczywiście Donald Trump. Wystarczy jeden obrazowy przykład: podczas pierwszej samodzielnej konferencji prasowej prezydent elekt ogłosił, że oto odniósł największe zwycięstwo w wyborach od czasów Ronalda Reagana. Jeden z dziennikarzy błyskawicznie zripostował, zwracając uwagę na fakt, że w 2008 r. Barack Obama miał o 61 głosów więcej. Trump półgębkiem dodał, że chodziło mu o kandydatów z Partii Republikańskiej. Na to inny dziennikarz przypomniał znacznie wyższe zwycięstwo George'a H.W. Busha z 1988 r. Zapytał też, jak obywatele mają wierzyć prezydentowi, który kłamie. Trump bronił się argumentując, że ktoś mu takie informacje przekazał.

To pierwsze starcie z dziennikarzami – tylko na pozór przegrane przez Trumpa – było interpretowane na różne sposoby. Dla zwolenników prezydenta, gotowych na przyjęcie od niego każdej – nawet najbardziej fantastycznej – informacji, słowa te stały się impulsem wzmacniającym radość z politycznej zmiany. Dla przeciwników sytuacja oznaczała koniec epoki, w której politycy jeśli nie wstydzili się kłamać, to przynajmniej starali się lepiej swoje nieprawdy maskować. Najradykalniejsi krytycy twierdzili, że oto społeczeństwo otrzymało dowód na patologiczną skłonność Trumpa do kłamstwa, która powinna stać się podstawą jego odwołania. Nikt jednak nie przypuszczał, że maszyna do wytwarzania fake newsów dopiero się rozkręca.

Na czym polega skuteczność tego mechanizmu? Tak jak fotomontaż towarzyszy fotografii od momentu jej wynalezienia, tak fałszywe wiadomości nierozerwalnie wiążą się z historią polityki i dziennikarstwa. To element każdej wojny informacyjnej, której celem jest upowszechnienie konkretnego obrazu rzeczywistości. *Fake news* to jednak nie to samo, co kłamstwo. Powołując się na tajemnicze źródło, Trump zmienił kwalifikację swojego czynu: nie powiedział nieprawdy, lecz popełnił informacyjny błąd, który może się przecież przydarzyć każdemu. Część odbiorców zareagowała oburzeniem, ale byli też tacy, którzy nie zauważyli sprostowania dziennikarzy i wzięli słowa prezydenta na serio. I właśnie to było celem. Za pomocą kategorii „postprawdy" (przez redaktorów Słownika Oksfordzkiego uznanej za słowo roku 2016) opisujemy sytuację, w której nie fakty, lecz emocje mają decydujące znaczenie dla kształtowania opinii jednostek i zbiorowości, intensywność samego spektaklu zaś jest dużo ważniejsza niż obiektywne dane. Chodzi o wciągnięcie odbiorców do gry, w której emocjonalne pobudzenie skłania ich do uznania za prawdę czegoś, co urąga logice lub stoi w jawnej sprzeczności ze zweryfikowanym obrazem rzeczywistości. Dla kogoś, kto posługuje się postprawdą jako narzędziem politycznego działania, już samo współwystępowanie obok siebie różnych wersji zdarzeń jest sukcesem. Sytuacja taka czyni społeczeństwo podatniejszym na manipulację.

Szybkość rozprzestrzeniania się i siła oddziaływania fake newsów w świecie, w którym każdy może zostać własnym wydawcą, jest potężna. Czy w konfrontacji z nimi jesteśmy całkowicie bezradni? Otóż nie. To, co decyduje o skuteczności fake newsów, stanowi zarazem ich słabość. Usieciowiona społeczność internetu jest oczywiście podatna na manipulacje, ale potrafi także wykształcić nowe mechanizmy obrony. Pierwsza fala fake newsów zaatakowała z zaskoczenia. Szybko jednak pojawiły się instytucje weryfikujące prawdziwość wytwarzanych informacji. To żmudna i trudna praca, w której kluczową rolę odgrywa edukacja upowszechniająca wiedzę na temat nowych technologii komunikacyjnych oraz narzędzi umożliwiających krytyczne rozumienie określonych komunikatów.

> Widmo prawdy nawiedza nas od tysiącleci. Wciąż się o nią kłócimy, o nią toczą się intelektualne spory i wojny, w jej imię podejmujemy wysiłek budowy świątyń i więzień.

Końce historii

Powszechnie krytykowany Francis Fukuyama ostatecznie nie pomylił się aż tak bardzo, jak się zazwyczaj uważa (a przynajmniej nie we wszystkim). W kontrowersyjnym eseju „Koniec historii" postawił tezę, zgodnie z którą w przyszłości żadna doktryna ani system polityczny nie będzie w stanie zagrozić liberalnej demokracji. Jego argumentacja miała na celu przede wszystkim ukazać społeczną efektywność mariażu między tą formą rządów a kapitalizmem. Książka miała zatem charakter propagandowy. Mimo wszystko jednak trzeba Fukuyamie oddać sprawiedliwość: do dziś nie pojawił się żaden projekt polityczny, który mógłby zagrozić *status quo*, przynajmniej na Zachodzie. Fundamentalizm religijny, choć niebezpieczny i groźny, z zachodniej perspektywy zawsze będzie siedliskiem zła i jako przeciwnik posłuży do umocnienia panującego w tej części świata porządku ekonomiczno-ideologicznego.

Nie znaczy to, rzecz jasna, że liberalna demokracja rozwija się w płynny i efektywny sposób. Przeciwnie – jest pogrążona w kryzysie, którego źródeł nie powinniśmy szukać na zewnątrz, lecz w samym sercu Zachodu. Fala populizmu, która w USA dała władzę bezczelnemu i cynicznemu kłamcy, doprowadziła do brexitu i nieustannie zagraża wszystkim państwom Unii Europejskiej, nie jest efektem pojawienia się nowej formy rządów, lecz wynika wprost z wadliwego sposobu funkcjonowania neoliberalizmu.

„Populista" to chyba najczęściej używana obelga w debacie publicznej każdej demokracji, aczkolwiek tej łatki nie da się połączyć z konkretną opcją polityczną (poglądy są tu zawsze wtórne względem modelu działania). Populistą jest każdy, kto uważa się za wykonawcę woli narodu (nazywanego również „ludem" czy „suwerenem"). W demokracji władza jest jedynie reprezentacją społeczeństwa wyłonioną większością głosów – nigdy, nawet gdyby otrzymała 100 procent głosów, nie jest „głosem ludu". Populista to ten, kto twierdzi, że prawdę ma zawsze po swojej stronie, co jest jednoznaczne z wykluczeniem niezbędnego dla każdej demokracji dialogu.

Żywe biblioteki

Dlaczego temat prawdy podejmowany jest na festiwalu literackim? Z dwóch powodów. Pierwszy jest prosty (co nie znaczy, że oczywisty): od samego początku Festiwal Conrada jest przestrzenią, w której za pomocą narzędzi literackich prowa-

dzona jest refleksja na temat najważniejszych i najdotkliwszych problemów współczesnego świata, a problem prawdy ze wszech miar mieści się w tej grupie. Po drugie literatura jest polilogiem: ścierają się w niej różne głosy i wyrażane za ich pomocą stanowiska, niekoniecznie polityczne. Populizm uniemożliwia debatę, wszelkimi środkami stara się do niej nie dopuścić, zastępując ją monologiem, z którego wyłania się homogeniczna wizja świata zarezerwowanego dla pewnej grupy ludzi (pozostali są z niego wykluczani). Literatura prowokuje debatę, inspiruje do sporu, pozwala rozwijać umiejętność krytycznego myślenia.

Jeśli wszystkie formy manipulacji są przede wszystkim przemocą dokonywaną na języku, to literatura – chroniąca język – daje narzędzia, za pomocą których można odeprzeć populistyczną nawałnicę. Przypomnijmy oczywistość: każda książka pisana jest z innej niż nasza perspektywy, dlatego też daje nowe możliwości percepcji. Im więcej punktów widzenia, im szerszy ogląd świata, tym skuteczniejsza obrona przed informacyjną manipulacją.

W wydanej w 1953 r. powieści „451 stopni Fahrenheita" Ray Bradbury przedstawia nieodległą przyszłość, w której ludzie, za sprawą farmakologii i łatwego dostępu do prostych rozrywek, żyją we względnej szczęśliwości. Władza, choć oczywiście autorytarna, nie gnębi w żaden wymyślny sposób swoich obywateli. Wręcz przeciwnie – zapewnia im beztroskie i przyjemne życie. Nie jest to więc ponury świat totalitaryzmu i permanentnej inwigilacji, który znamy z „Roku 1984" Orwella, ani obowiązkowego hedonizmu z Huxleyowskiego „Nowego wspaniałego świata". Jedyny przejaw bezpośredniej opresji ze strony władzy dotyczy zakazu posiadania książek. Każdy, kto ukrywa choćby niewielki tom, uznawany jest za wywrotowca.

Stanisław Lem naigrywał się z wizji Bradbury'ego jako zbyt łagodnej, ale według mnie to właśnie ona najlepiej wytrzymała próbę czasu. W „451 stopniach Fahrenheita" władzy nie reprezentuje żadna scentralizowana instytucja. Nawet strażacy, którzy nie gaszą pożarów, tylko palą resztki biblioteczek, robią to raczej na pokaz. Żadna z góry narzucana propaganda nie jest potrzebna, bo wraz z książkami zniknęła również potrzeba krytycznego myślenia i dyskusji.

Ta rozkosznie prosta (ale wcale nie naiwna) historia być może lepiej pasuje do naszych czasów niż do rzeczywistości lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Guy Montag – główny bohater, świeżo nawrócony na czytanie strażak – ucieka z miasta i dołącza do grupy podobnych sobie odszczepieńców, którzy raz zetknąwszy się z literaturą, nie są w stanie wrócić do poprzedniego życia. Dysydenci nie przechowują jednak bezcennych książek – byłoby to zbyt niebezpieczne. Zamiast tego – podobnie jak intelektualiści pod sowieckim jarzmem – uczą się ich na pamięć, zamieniając własne umysły w żywe biblioteki. U Bradbury'ego to jedyna forma oporu wobec opresyjnej miałkości i bylejakości otaczającego świata.

Jedyna, ale najskuteczniejsza. ©

MICHAŁ SOWIŃSKI (ur. 1987) jest doktorantem na Wydziale Polonistyki UJ, redaktorem literackim w zespole organizacyjnym Festiwalu Conrada, redaktorem w wydawnictwie Korporacja Ha!art, współtwórcą (obok Katarzyny Trzeciak) audycji literackiej „Book's not dead" w radiu radiofonia.net.

W PROGRAMIE TEGOROCZNEJ EDYCJI FESTIWALU CONRADA znajdzie się pasmo poświęcone prawdzie, w ramach którego odbędą się tematyczne dyskusje oraz warsztaty (zarówno dla młodzieży, jak i dla dorosłych) z weryfikowania informacji medialnych oraz przekazów pojawiających się w przestrzeni publicznej. W dyskusjach i warsztatach wezmą udział m.in. AGNIESZKA TABORSKA, która przedstawi zjawisko prawdy z perspektywy twórczyni fikcji literackiej, oraz WOJCIECH JAGIELSKI, który o prawdzie opowie z perspektywy dziennikarza.

GRAŻYNA MAKARA

AGNIESZKA TABORSKA (ur. 1961) jest pisarką, tłumaczką, historyczką sztuki i romanistką. Autorka m.in. „Sennego żywotu Leonory de la Cruz", „Abecadła Topora", „Okruchów amerykańskich" oraz „Wieloryba, czyli przypadku obiektywnego", a także kilku książek dla dzieci wydanych w Polsce, Korei, Japonii oraz Niemczech, m.in. „Rybaka na dnie morza". Od 1988 r. wykłada historię sztuki w Rhode Island School of Design w Stanach Zjednoczonych.
22 kwietnia będzie gościem Conrad Festival w Krakowie.

GRAŻYNA MAKARA

WOJCIECH JAGIELSKI (ur. 1960) jest dziennikarzem, redaktorem „Tygodnika Powszechnego". Wcześniej wieloletni pracownik Polskiej Agencji Prasowej, były publicysta „Gazety Wyborczej", współpracownik BBC oraz „Le Monde". Świadek najważniejszych wydarzeń politycznych przełomu wieków na całym świecie. Relacjonował rozpad rosyjskiego imperium, kres apartheidu w RPA, połączenie Hongkongu z Chinami, wojny, zamachy stanu, upadki dyktatorów w Afryce i Azji. Autor książek o Kaukazie („Dobre miejsce do umierania", 1994, wydanie uzupełnione 2005), Czeczenii („Wieże z kamienia", 2004, wydanie rozszerzone 2008, międzynarodowa nagroda „Literatura z frontu" 2007 przyznawana przez miasto Cassino we Włoszech), Afganistanie („Modlitwa o deszcz", 2002, nominowana do Nagrody Nike 2003, zdobyła Nagrodę im. ks. Józefa Tischnera, Nagrodę Czytelników w konkursie Podporiusz 2003 oraz Bursztynowego Motyla w Konkursie im. Arkadego Fiedlera) oraz Ugandzie („Nocni wędrowcy", 2009). W 2018 r. do księgarń trafił jego najnowszy reportaż, tym razem poświęcony Indiom, czyli „Na wschód od zachodu".

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYLKO 300 ZŁOTYCH NA CAŁY ROK!

Jeśli masz poniżej 25 albo powyżej 65 lat – możesz kupić krajową, ekonomiczną prenumeratę wydania papierowego „TP" w ofercie POKOLENIA za 300 zł rocznie.▪

Aby z niej skorzystać, wystarczy opłacić ją zgodnie z ogólnymi zasadami zakupu opisanymi poniżej.

▪ Zastrzegamy sobie jednak prawo skontaktowania się z wybranymi osobami w celu weryfikacji prawa do ulgi.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY:
Prenumeratę krajową można zamówić przez:
- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
  Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków,
  Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP", ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl, na której podane są ceny.

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł

Oferta POKOLENIA – 300 zł na rok
▪ Regulamin oferty na powszech.net/regulamin

Szczegółowych informacji udziela Joanna Mazur-Polańska pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

PARTNER MARKETINGOWY SALES MANAGO marketing automation